

KOBIETY Z ULICY GRODZKIEJ

A vintage, sepia-toned photograph of a woman in a dark coat and hat walking through a field. She is carrying a long-handled tool, possibly a scythe or hoe, and a suitcase. The background shows a line of trees and a fence.

Matylda

*Powieść o kłótnie, trudnych relacjach rodzinnych,
ale i o konieczności wybaczenia, przywołująca ducha
dziewiętnastowiecznych sag we współczesnym wydaniu.*

LUCYNA OLEJNICZAK

Prószyński i S-ka

KOBIETY Z ULICY GRODZKIEJ



Matylda

LUCYNA OLEJNICZAK

Prószyński i S-ka

Książkę tę dedykuję mojemu synowi Tomkowi

CZĘŚĆ I



ROZDZIAŁ 1

KRAKÓW, LISTOPAD 1931

Napięcie za kulisami sięgało zenitu.

W roli księdza Piotra miał wystąpić gościnnie słynny Juliusz Osterwa, więc wszyscy byli ogromnie przejęci.

- Przed chwilą go widziałam. – Matyldzie trudno było zachować spokój. – Popatrzył na mnie.
- Niemożliwe – skrzywiła się fryzjerka. – On nigdy nie zwraca uwagi na takie siksy.
- Ale naprawdę gapił się na mnie.
- Proszę nie poruszać głowy.

Nie tylko obecność mistrza wywołała nerwowy nastrój, obawiano się też, że z powodu zamieszek w mieście widownia będzie świeciła pustkami. Garderobiana, fryzjerka, rekwizytor i inspicjent, nie mówiąc już o aktorach, wszyscy w napięciu spoglądali przez szparę w kulisie, żeby sprawdzić, ilu widzów przyszło tego popołudnia na przedstawienie.

Chaos, jaki zapanował w Krakowie po zamordowaniu polskiego studenta przez bojówki żydowskie w Wilnie, sprawiał, że wielu mieszkańców po prostu obawiało się wyjść z domu. Grupy rozjuszonych studentów, do których dołączyły, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, męty społeczne i zwykli chuligani, krążyły po mieście, rozbijając szyby wystawowe żydowskich sklepów i plądrując, co się dało. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego zawiesił wykłady i ćwiczenia aż do odwołania. Szpitale bez przerwy przyjmowały rannych w czasie zamieszek

- Jedyne pożytek z tego, że nie chciałaś pójść na uniwersytet. – Matka wciąż nie mogła

przeboleć, że Matylda zrezygnowała ze studiów na rzecz aktorstwa. – Przynajmniej nie włączysz się teraz z tą dziką hordą po mieście.

Wiktoria miała żal do córki, że ta nie chciała pójść w jej ślady. Wprawdzie sama wciąż pracowała w rodzinnej aptece przy Grodzkiej i miała ją komu zostawić, bowiem studia farmaceutyczne ukończyła Joasia, córka ciotki Kasperkowej, ale nie o tym przecież marzyła spadkobierczyni Franciszka Bernata. Apteka miała być własnością rodzinną i przechodzić z matki na córkę. Matylda jednak od najmłodszych lat sprawiała kłopoty. Uparta i krnąbrna, zawsze musiała postawić na swoim.

– Mamo – dziewczyna niezbyt grzecznie przerywała te wywody – to są twoje marzenia. Pozwól mi spełniać moje.

Miłość Matyldy do teatru nie znajdowała zrozumienia u jej matki, chociaż Wiktoria, za namową męża, pozwoliła córce na uczęszczanie do prywatnej szkoły aktorskiej, prowadzonej przez Madame Ciesielski, aktorkę kształconą w Paryżu. Tak przynajmniej ta korpulentna kobieta o mocnym głosie i władczej postawie sama się rekomendowała. Antoni Borucki finansował owe lekcje, otrzymawszy wcześniej zapewnienie od Matyldy, że ta nie zaniedba nauki w gimnazjum. Zajęcia odbywały się wieczorami w prywatnych salonach Madame Ciesielski.

Wiktoria, chociaż starała się nie przeszkadzać, patrzyła niechętnie na poczynania córki, uznając, że to tylko rozrywka i mrzonki, które nie zapewnią bytu dziewczynie. Sporadycznie grywane role w podrzędnym teatryku – jego nazwy nawet nie starała się zapamiętać – uważała za zbyt kruchą podstawę, by budować na niej przyszłość. To było dobre w dzieciństwie, owszem, występy małej Matyldy zawsze bawiły rodzinę, ale teraz dziewczyna dorastała i czas już najwyższy, by porzuciła dziecinne zachcianki.

– Tak, ale nie da się żyć samymi tylko marzeniami – odpowiadała więc córce. – Dziękuj Bogu, że masz gdzie mieszkać i co jeść. Na razie, bo przecież nie jestem wieczna i kiedyś mnie zabraknie. Co wtedy zrobisz?

Matylda z wrażenia nie mogła zasnąć w nocy. Oto spełniało się jej największe życiowe marzenie, czyli występ na scenie Teatru Słowackiego. Już jako dziecko uciekała ze sklepu ojca przy Szpitalnej i przemknąwszy pod okiem portiera, udającego, że nic nie widzi, biegła za kulisy, aby tam przez wąską szparę śledzić z zapartym tchem próby, a potem całe przedstawienia. Znała na pamięć niemal wszystkie kwestie z wystawianych sztuk. To pewnie dlatego, kiedy aktorka grająca rolę wieśniaczki z chóru w *Dziadach* zachorowała, właśnie Matyldzie zaproponowano zastępstwo.

Rola nie wymagała zbyt wielkich umiejętności, ale dla dziewczyny było to i tak spełnienie marzeń o zagranju w prawdziwym teatrze. Zdobyciem prawdziwej roli postanowiła się martwić później. Najważniejsze, by się tam dostać, a potem trzeba tylko zostać zauważoną.

Nie raz i nie dwa starała się o pracę w tym teatrze, choćby tylko statystki. Była nawet na

wstępny przesłuchaniu, po którym dyrektor wyglądał na zainteresowanego. Nie słuchała zawistników, którzy twierdzili, że jest zainteresowany każdą młodą dziewczyną.

– Ma pani wrodzony talent – stwierdził z uznaniem na koniec. – Taki nieoszlifowany diament to skarb dla każdego dyrektora teatru. Skontaktuj się z panią w odpowiednim czasie. Proszę zostawić mi jakiś kontakt, może numer telefonu, jeśli pani takowy posiada.

Matylda dziękowała Bogu za telefon w aptece, w ten sposób bowiem dyrektor mógł ją szybko odszukać. Nie wszystkie krakowskie aktorki miały to urządzenie w swoich domach.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy na zapleczu pomagała matce rozpakowywać nową dostawę leków.

– Zgodzi się pani zastąpić naszą chorą? – To było najpiękniejsze pytanie, jakie ostatnio zdarzyło jej się słyszeć. – Wprawdzie czasu na próby nie zostało zbyt wiele, bo za tydzień premiera, ale spokojnie da pani radę. To rola wieśniaczki w chórze, w dramacie *Dziady*, więc nie ma zbyt wiele tekściku do opanowania. Zapewne pani zna?

Rozbawiło ją owo zdrobnienie, ale udało jej się nie roześmiać. Zwłaszcza że uraziło ją pytanie o znajomość dramatu Mickiewicza.

– Znam tekst czy *Dziady*?

Wprawdzie poczuła się wręcz oburzona, ale spokojnym i pełnym godności tonem odparła, że owszem, zna *Dziady* i nawet spore fragmenty utworu na pamięć. Rola ducha Zosi, pasterki, była jej numerem popisowym w szkolnych przedstawieniach i do dziś ją pamięta.

– No nie, rolę Zosi mamy już obsadzoną. – Kwiatkowski zaśmiał się głośno. Od początku podobała mu się utalentowana, zadziorna dziewczyna. – I nie ma co się obrażać o moje pytanko. Zdziwiłaby się pani, ile osób tego nie czytało.

Matylda biegła na próby jak na spotkania z ukochanym. Zostawała do samego końca, wysłuchując kwestii wygłaszanych przez innych aktorów, z przeświadczeniem, że w wielu przypadkach sama zrobiłaby to lepiej. Zwłaszcza postać Zosi wydawała jej się źle obsadzona. Tamta dziewczyna grała szczerze, a swoje kwestie wypowiadała drewnianym, pozbawionym emocji głosem.

Szkoda, że to nie ty zachorowałaś, myślała Matylda, z zawścią spoglądając na młodą aktorkę. To ja powinnam była dostać tę rolę!

Przedstawienia cieszyły się ogromnym powodzeniem, bilety znikaly w ciągu kilku godzin.

I nagle aktorka grająca Zosię uległa wypadkowi. Wychodząc z domu do teatru, spadła ze schodów, łamiąc przy tym kilka żeber. O udziale w przedstawieniu nie mogło być mowy.

Zdenerwowany dyrektor omal nie zerwał z głowy misternie wykonanego tupecika.

– I co teraz będzie? Dzisiaj ostatni występik.. Kto ją teraz zastąpi?! Nikt! O mój Boże!

Przesunął zrozpaczonym wzrokiem po stojących w milczeniu aktorkach, szukając u nich ratunku. Ale żadna nie była w stanie mu pomóc. Nad całym zespołem zawiśła groźba odwołania przedstawienia. Ostatniego, zapowiedzianego jako pożegnalne, w dodatku z gościnnym występem Osterwy. Wszystkie bilety już dawno zostały wyprzedane, zapowiadało się, że zajęte będą nawet miejsca stojące na schodach, a tu nagle taka sytuacja. Spektakl miał się rozpocząć za dwie godziny.

– Zaraz, zaraz... – Kwiatkowski gwałtownie chwycił Matyldę za ramię. – Dziecko, czy ty aby nie mówiłaś, że znasz kwestię Zosi na pamięć?

– Owszem. – Matylda odruchowo potarła ramię, czując, że po tym uścisku zostanie jej spory siniec. – Znam i mogę zagrać.

– Ale nie zdążymy już zrobić próby. Jezu Chryste...

– Niepotrzebne mi żadne próby. – Dziewczyna uniosła dumnie brodę. – Poradzę sobie na pewno. Znam tekst jeszcze ze szkoły, poza tym ostatnio słyszałam go codziennie.

Nie dodała, chociaż ją korciło, że to, co słyszała, było drewniane i do niczego. Z trudem hamowała radość. Ale w końcu to nie ona zepchnęła tamtą ze schodów. Niezdara powinna była lepiej patrzeć pod nogi.

Pozostała jeszcze kwestia znalezienia kogoś do jej roli, ale tę dostała córka fryzjerki. Gdyby się pomyliła, jej głos mógł zniknąć w chórze.

Matylda nie posiadała się ze szczęścia. Doczekała się w końcu. Prawdziwej roli, w prawdziwym teatrze, w dodatku u boku Juliusza Osterwy. Nawet niechętna do tej pory matka była pod wrażeniem i obiecała przyjść na przedstawienie. Matylda wystarała się o bilety w jednym z pierwszych rzędów. Teraz z niepokojem zerkła co chwila przez szparę na widownię w poszukiwaniu znajomych twarzy. Rodzice mieli pojawić się razem.

Nie mogła się doczekać widoku ich min, kiedy się zorientują, że ona gra rolę Zosi, a nie wieśniaczki w chórze. Tego nikt nie mógł przewidzieć.

Postanowiła, że zadziwi wszystkich. A zwłaszcza matkę.

Widownia, wbrew obawom aktorów, powoli się zapelniała. Jak widać, publiczności nie przstraszyły zbyt mocno zamieszki w mieście.

– Kto mi powie, o co chodzi z tymi studentami? Czemu oni tak się burzą?

Inspicjent odsunął się od kurtyny i spojrzął na Matyldę. Chociaż pytanie nie było skierowane do nikogo konkretnego, wszyscy wiedzieli, że kto jak kto, ale córka aptekarki była zawsze najlepiej poinformowana. Jej matka śledziła na bieżąco wszystko, co dotyczyło uczelni, poza tym zawsze wiedziała, co się dzieje w kraju i za granicą. Potrafiła też wyciągać odpowiednie wnioski z czasami sprzecznych informacji, podawanych w gazetach. Ludzie szanowali Wiktorię Borucką, właścicielkę apteki i żonę znanego kupca, nie tylko za jej dobroć, ale i za mądrość.

– A co to, gazet pan nie czytasz? Przecież tam wszystko jak byk napisane – prychnęła fryzjerka, która nie przepadała za Matyldą.

Uważała, że ta szorstka w obejściu dziewczyna cieszy się w teatrze niezасłużoną sympatią. Było tyle innych, bardziej nadających się na to zastępstwo. Choćby jej córka, piękna jak marzenie Halszka. Też знаła rolę Zosi. Ale nie, dostała resztki w chórze po jakimś rudym czupiradle.

– Czytam, czytam. – Inspicjent machnął ręką. – Ale tyle z tego wiem, że polscy studenci starli się z żydowskimi w Wilnie i że Żydki naszego zabili. Ale dlaczego? I co to ten *numerus clausus*, o którym piszą? Może mi pani wytłumaczy, wdzięczny będę, bo sam chyba jestem za głupi.

– No, to jest ten... tego...

– To, ogólnie rzecz biorąc, sprawa ograniczenia przyjęć studentów żydowskich na polskie uczelnie.

Matylda miłosiernie wyręczyła czerwoną jak piwonia fryzjerkę. Z premedytacją też użyła uczonego tonu matki, która zawsze w ten właśnie sposób tłumaczyła ważne sprawy.

– Do tej pory przyjmowani byli w równych proporcjach, a powinno to być procentowo odpowiednie do ich liczebności w danym miejscu. Wiadomo, że Żydów jest jednak mniej niż Polaków, a przyjmowani po równo blokują miejsca innym.

– No właśnie – przytaknęła energicznie fryzjerka, jakby Matylda wyjęła jej te słowa z ust.

– Chodziło też o „sprawę trupią”. – Dziewczyna z zadowoleniem dzieliła się swoją wiedzą. – Wiadomo, że judaizm uważa sekcję zwłok za ich zbezczeszczenie, więc studenci żydowscy muszą pracować w prosektorium na zwłokach chrześcijan. I na to studenci polscy też nie chcą się godzić.

– A nasze to mogą bezcześcić? – nie wytrzymał maszynista, odpowiedzialny za zmiany dekoracji.

Słuchający ze zrozumieniem pokiwali głowami.

– No właśnie, tego im jakoś religia nie zabrania. Nic dziwnego więc, że nasi się burzą.

Zbliżała się pora rozpoczęcia przedstawienia, toteż wszyscy wrócili na swoje miejsca. Matylda jeszcze raz spojrzała na widownię, ale fotele zarezerwowane dla rodziców nadal stały puste.

No tak, uśmiechnęła się gorzko, matce pewnie znów coś wypadło w aptecce. Jakis zapóźniony klient, który dostał obstrukcji i nie może poczełać do rana. Zawsze to samo...

Wybiegła na tyły teatru, żeby zapalić papierosa na uspokojenie. Za kulisami i w garderobach było to surowo zakazane, a gdzieś musiała. Niektórzy aktorzy wspomagali się w takich chwilach kieliszkiem koniaku, prawie każdy miał zachomikowaną jakąś butelkę. Matylda nie, ale wiedziała, kto jej nie odmówi w razie potrzeby. Miała ochotę na jeszcze jednego papierosa, lecz nie było już czasu.

Rzuciła niedopałek na ziemię i pobiegła do garderoby, żeby poprawić kostium i ogarnąć się przed wyjściem na scenę. Do tego potrzebna była pani Zielińska, garderobiana, która znała Matyldę od lat. Tym razem zamiast umozliwić dziewczynie, jak zwykle, oglądanie przedstawienia za kulis, przygotowywała ją do występu jak prawdziwą aktorkę.

– Kochana moja, pięknie wyglądasz! – Pani Zielińska odsunęła się o krok i aż klasnęła w dłonie z zachwytu. – Chodź, upnę ci tylko lepiej ten wianek bo się przekrzywił. I widzisz – mówiła dalej, nie zwracając uwagi na smutną minę dziewczyny – doczekałaś się w końcu. A mama jaka będzie z ciebie dumna. Paliłaś?...

Matylda krnąbrnie wysunęła brodę.

– Musiałam się uspokoić. Nie zdradzi mnie pani, prawda?

– Dobrze, twoja sprawa. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ale to głupia moda i dziewczynie nie pasuje. W dodatku śmierdzi.

– Kogo to obchodzi. Mam to gdzieś.

– Co się tak naprawdę stało?

– Nie pani sprawa – fuknęła dziewczyna.

Garderobiana odwróciła głowę, niemile zaskoczona.

– Przepraszam, nie powinnam była. – Głos Matyldy złagodniał. – Mamę nie ma, więc nie będzie miała okazji do dumy. Pewnie znowu coś ją zatrzymało w ostatniej chwili. Jak zwykle.

– Udała, że daje jej lekkiego kopniaka. Na szczęście.
– Udała, że daje jej lekkiego kopniaka. Na szczęście.

Niestety, miejsca rodziców na widowni nadal były puste. Matylda starała się powstrzymać łzy, żeby nie rozmazać starannie nałożonego jej przez panią Zielińską makijażu.

Całą uwagę zwróciła na nowego kurtylniarza, który z przejściem, wycierając spocone dłonie o nogawki spodni, słuchał rad starszego kolegi, wygłaszanych głośnym szeptem.

– Jak usłyszysz tę kwestię, masz, tu ci ją zapisałem, to w zupełnych ciemnościach zwolnisz wyciąg. Odciągniesz klin mocujący liny, ale cały czas trzymaj wyciąg w równowadze, opuścisz wtedy linę w dół, żebyś mógł zawiązać na niej węzeł...

– Jezuuu... którą linę?...

W pograżonej w ciemnościach widowni nie dało się rozróżnić żadnych twarzy, jednak dwa puste fotele w drugim rzędzie widać było doskonale. W każdym razie Matylda widziała je tak, jakby ze sceny padał na nie snop światła. Nieobecność matki odebrała jej połowę przyjemności z gry w wielkim teatrze. Prawdziwym, w prawdziwych aktorami, u boku prawdziwej gwiazdy. Zaczęła pięści w niemym buncie.

Cholera... Nie odezwę się do niej więcej. Widać, jak jej na mnie zależy. Skoro tak, to i mnie nie będzie zależęć. Trudno, bez łaski...

Odwróciła wzrok od widowni i powoli, spokojnie nabrała powietrza w płuca.

*Na głowie mam kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
Przedemną bieży baranek,
Nademną leci motylek.*

Dźwięczny głos Matyldy wypełnił całą scenę. Recytowała swoją kwestię spokojnie, z uczuciem, wkładając w tekst całe serce. Nie zauważyła błysku uznania w spojrzeniu aktora grającego Guślarza ani uradowanych min członków ekipy zgromadzonych za kulisami.

Była Zosią, a właściwie duchem Pasterki, żalącym się na obojętność i nudę, zawieszonym między niebem a ziemią. Poczwała łzy w oczach.

*Ach, i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną jak piórkiem pomiata.*

Kiedy skończyła swoją kwestię, jej spojrzenie znów powędrowało w stronę pustych foteli. Nagle coś ścisnęło ją za gardło, a w miejscu euforii pojawił się nieokreślony strach. I silne przeczucie jakiegoś nieszczęścia.

ROZDZIAŁ 2

Po przedstawieniu kulisy teatru wypełniły się licznymi gośćmi. Przychodzili głównie do Juliusza Osterwy, każdy chciał zobaczyć na własne oczy znanego artystę, dotknąć jego ręki i zdobyć podpis, ale Matyldzie także gratulowano udanego występu. Zgrabna, wysoka dziewczyna z burzą rudych włosów i bladą, jakby porcelanową cerą wzbudziła zachwyt męskiej części publiczności. Niejeden z widzów czuł miłe podniecenie na widok jej niebieskich, niemal granatowych oczu błyszczących z emocji i radości.

– Byłaś rewelacyjna, moje dziecko! Uratowałaś nam przedstawienie! – Uszczęśliwiony dyrektor objął Matyldę i wycałował w oba policzki. Założony na odwrót tupecik zsuwał mu się na jedno ucho. – Co za talencik! Ludzie, co za talencik!

Oszołomiona dziewczyna dziękowała aktorom, pracownikom technicznym, garderobianej, wszystkim, którzy podchodzili, żeby jej pogratulować. Na koniec sam mistrz Osterwa uścisnął z uznaniem jej dłonie.

– Koleżanka, jak rozumiem, weszła na scenę z marszu? Bez żadnego przygotowania? No, no... Pogratulować prawdziwego talentu.

Dyrektor zaprosił wszystkich na bankiet do pobliskiego hotelu. Obecność, jak zaznaczył, udając srogą minę, obowiązkowa.

– Ciebie, moja kochanieńka, też chcę tam widzieć – zwrócił się do zaczerwienionej z emocji Matyldy. – A może nawet przede wszystkim ciebie. Wprawdzie Osterwa zajrzy tylko na chwilę, bo dzisiaj wyjeżdża, ale będzie mnóstwo innych ludzi, którzy mogą ci się przydać. Poznasz odpowiednie osoby, nawet mam kogoś konkretnego na myśli... – Zrobił tajemniczą minę, mrużąc oko. – Teraz, kiedy wszyscy widzieli, jak świetnie radzisz sobie na scenie, to najlepsza okazja. Nie zmarnuj jej. Chodź, porywam cię ze sobą.

– Dziękuję, przyjdę na pewno. – Przez otwarte drzwi garderoby Matylda zauważyła czekającą na nią grupkę osób. – Muszę się tylko z kimś przywitać, a potem dojdę do hotelu sama.

Nic mnie nie powstrzyma przed przyjściem, proszę być pewnym.

Pożegnała się szybko i wybiegła na korytarz. Tam, popychana przez tłoczących się wciąż wielbicieli Juliusza Osterwy, stała ciocia Zosia, przyjaciółka mamy z lat szkolnych. Obok niej bliźniaki, Małgosia i Jaś. Małgosia od zawsze traktowała Matyldę jak starszą siostrę i wszędzie za nią chodziła. Z początku dziewczynę to drażniło, jednak z biegiem lat polubiła przyszywaną siostrę i z pobłażaniem traktowała jej uwielbienie. Dzieliła je niedużą różnicą wieku, zaledwie trzy lata, w dzieciństwie niemal przepaść, teraz już prawie niezauważalna. Gdyby Matylda była bardziej towarzyską, mogłyby się nawet zaprzyjaźnić.

– Kochanie, byłaś wspaniała! – Ciotka Zosia objęła mocno Matyldę. – Jestem z Ciebie dumna.

Jaś tylko mruknął coś pod nosem, bardziej skupiony na lustrowaniu garderoby, z której Matylda gościnnie korzystała, niż na samej bohaterce wydarzenia. Był w wieku, kiedy okazywanie uczuć chłopcy uważali za oznakę słabości i zniewieścienia.

Małgosia natomiast zasypała ją pocałunkami.

– Byłaś najlepsza! Najlepsza! Ja też zostanę aktorką, tak jak ty.

– Najpierw skończ szkołę – ciocia Zosia roześmiała się głośno i pocałowała córkę w czubek głowy – potem zobaczymy.

Mówi zupełnie jak moja mama, pomyślała Matylda, patrząc na ciotkę, ale jakże inaczej reaguje. Bez niechęci, z miłością.

Ta przedwcześnie posiwiata kobieta była zupełnie inna niż jej matka. Wcześniej straciła męża, który zginął bohaterską śmiercią na wojnie. Nie wyszła drugi raz za mąż i całkowicie poświęciła się wychowaniu dzieci. Pomagali jej w tym rodzice, lecz kilka lat później, niestety, matka zmarła, a ojciec po śmierci żony sam wymagał opieki. Ciotka miała więc niełatwe życie, ale znosiła wszystko z pogodą. Niejednokrotnie podtrzymywała też na duchu matkę Matyldy, Wiktorię. Przyjaciółki nie rozstawały się niemal nigdy.

– Ciocia widziała gdzieś moją mamę?

– Nie, ale przecież powinna być. Wiem, że szykowała się na twój występ.

– Ale nie przyszła. – Matylda posmutniała na nowo. – Ani ona, ani ojciec.

– Coś musiało im wypaść. – Zofia z trudem ukryła zaniepokojenie. – Nie martw się.

– Tak. Coś jej wypadło. Jak zwykle... I ojcu też?

Ciocia pokręciła głową w zamyśleniu.

– Kochanie, zbieraj się, pójdziemy razem do waszego domu i tam się przekonamy, co ich zatrzymało.

Zosię ogarniał coraz większy niepokój. To, że Wiktorია nie przyszła, nie było czymś nadzwyczajnym. Nieraz zapominała, że się z kimś umówiła, albo zatrzymywały ją jakieś pilne sprawy, najczęściej związane z apteką i klientami. Ale żeby i Antoni nie przyszedł? Miał bardzo dobry kontakt z Matyldą, kochał ją jak rodzoną córkę i za nic w świecie nie sprawiłby jej zawodu. Nie wygłądało to dobrze. Oj, nie wygłądało.

Matylda zmyła makijaż sceniczny z twarzy, zmieniła kostium na prywatne ubranie i przeciskając się przez tłum zebrany na korytarzu, wyszła wraz z ciotką i jej dziećmi na ulicę.

Gnani złym przeczuciem, poszli szybko w stronę Grodzkiej, mijając po drodze obecne jeszcze gdzieś grupki demonstrantów, a właściwie tych, którzy przyłączali się ostatnio do studentów, by korzystać z każdej okazji do chuligańskich wybryków.

Na Grodzkiej widać było zniszczenia po ich przejściu. Szkło z wybitych okien wystawowych zalegało chodniki, odłamki chrzęściły pod stopami uczestników manifestacji. Właściciele rozbitych sklepów stali na zewnątrz i obejmując głowy dłońmi, przyglądali się szkodom, jakby nie mogli uwierzyć w to, co się stało.

Grupa gapiów zebrała się również pod sklepem Wolfa Borucha, który sąsiedował z apteką. Przez wybite szyby widać było ślady plądrowania i grabieży.

Stary Żyd z przejściem chwycił przechodzącą Matyldę za ramię.

– I co z mamusią panienki? To nie było nic poważnego, prawda?

Przerażona dziewczyna wysłuchiwała bezładnej opowieści starego Żyda i stojących obok ludzi o wypadku, jakiemu uległa jej matka. Powoli do Matyldy zaczęła docierać tragedia, jaka się tu wydarzyła.

Chuligani, włóczący się po mieście, wyrwali kawałki bruku, by rzucać nimi w okna żydowskich sklepów. Grad kamieni posypał się w stronę sklepu na Grodzkiej. Jeden z nich, zamiast w szybę, trafił w stojącą przed domem dorożkę, płosząc przy tym konia. Ogromne zwierzę zaczęło rzucać łbem, szarpać wędzidło i tańczyć w miejscu, przysiadając na zadzie. Bat woźnicy tylko pogorszył sprawę; przerażony koń stanął dęba i uderzył ogromnym kopytem stojącą na trotuarze Wiktorię Borucką.

Wypadki potoczyły się tak szybko, że nikt nawet nie zauważył, kiedy Antoni Borucki zdążył doskoczyć do konia i, nie dbając o własne bezpieczeństwo, odciągnął go od leżącej na bruku żony. Były żołnierz wiedział, jak radzić sobie ze sploszonym i oszalałym ze strachu zwierzęciem.

– Pani ojciec uratował matkę życie – tłumaczyli z przejściem świadkowie wypadku – gdyby nie on, bestia stratałaby ją na śmierć. A tak to tylko została zraniona w głowę.

Mimowolny sprawca wypadku, jakiś wyrostek zaczął krzyczeć, że nie chciał, że to nie jego wina, ale rozjuszeni ludzie natychmiast rzucili się ku niemu. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, chłopak znikł w jednej z bocznych uliczek, kryjąc się prawdopodobnie w jakiejś bramie.

Mój Boże, mama szła na przedstawienie. Oboje szli – to była jedyna myśl, jaka tłuła się teraz w głowie oszołomionej Matyldy.

Bardziej opanowana ciotka Zosia zatrzymała przejeżdżającą dorożkę i wypytawszy ludzi, do jakiego szpitala zawieziono ranną, wsiała wraz z Matyldą i poleciała się tam zawieźć. Nieznoszącym sprzeciwu tonem nakazała bliźniętom wracać do domu.

W szpitalu Świętego Łazarza natknęły się na siedzącego samotnie na korytarzu Boruckiego. Antoni tkwił tam nieruchomo, zdając się nawet nie poznawać Matyldy ani Zosi. Z pochyloną głową kiwał się w przód i w tył, jakby żarliwie się modlił.

– Co z mamą?! Gdzie jest?

– Gdzie Wiktoria?!

Głosy obu kobiet zlały się w jeden krzyk

Borucki podniósł na nie ciężkie spojrzenie i przetarł twarz zmęczonym gestem. Czy miał czerwone od płaczu.

– Operują ją teraz. Operują...

Niczego więcej nie można było z niego wydobyć. Na każde pytanie odpowiadał drewnianym głosem, że ją operują.

Matylda pobiegła szukać lekarza czy kogokolwiek, kto mógłby jej udzielić informacji na temat stanu matki. Polecono jej jednak usiąść spokojnie i czekać. Dowiedziała się tylko, że stan rannej jest ciężki, ale nie beznadziejny. Wszystko zależało teraz od wyniku operacji, a także od tego, jak poważny okaże się uraz i czy mózg nie został uszkodzony.

– Proszę się modlić. – Starsza pielęgniarka podała Matyldzie krople do wypicia. Dziewczyna wyczuła zapach waleriany i jeszcze czegoś, jednak nie zastanawiała się nad tym, tylko niemal automatycznie wypila zawartość szklanego kieliszka, cały czas spoglądając na drzwi do sali operacyjnej.

– Jak pani myśli?... – Spojrzała z nadzieją na pielęgniarkę.

– Módl się, moje dziecko, po prostu się módl. Z gorszych ran ludzie tu wychodzili. Będzie dobrze.

Czekanie było prawdziwym koszmarem. Mijały godziny, a wciąż nic nie było wiadomo. Lekarze przechodzili szybkim krokiem, pielęgniarki przebiegały, od czasu do czasu otwierały się drzwi sali operacyjnej. Matylda i ciocia Zosia podrywały się wtedy gwałtownie z nadzieją, ale powstrzymane ruchem dłoni przez wychodzących opadały z powrotem na ławkę.

W końcu w drzwiach pojawił się chirurg i ruszył w stronę zebranych na korytarzu ludzi. Poszkodowanych tego dnia było sporo, jak zwykle przy takich ulicznych zamieszkach. Pacjenci, którzy przy ciskali do ran prowizoryczne opatrunki, z nadzieją patrzyli na każde otwierające się drzwi.

– Czy jest tu ktoś z rodziny Wiktorii Boruckiej? – spytał lekarz, nie zwracając uwagi na szarpącego go za rękaw mężczyznę z rozbitym czołem.

– Tak – Matylda poderwała się na równe nogi. – Co z mamą? Wszystko w porządku?

– Cóż... – Chirurg spojrzał ze współczuciem na bladą, przerażoną dziewczynę z resztkami szminki na twarzy. – W każdym razie operacja się udała. Usunęliśmy kilka odłamków kości, które wbiły się w czaszkę. To było końskie kopyto, prawda?

Matylda skinęła potakująco głową, a lekarz westchnął nieznacznie.

– No tak. Teraz musimy tylko czekać i mieć nadzieję, że żaden ważny ośrodek w mózgu nie został uszkodzony. I że nie wda się infekcja. Decydujące będą najbliższe dwadzieścia cztery godziny, ale pacjentka ogólnie jest w niezłym stanie, więc powinna sobie poradzić. Oczywiście zawsze musimy liczyć się z tym najgorszym. Stan nadal jest ciężki.

Ciocia Zosia musiała jechać do domu, ale obiecała wrócić z samego rana. Antoni wraz z Matyldą zostali na posterunku. Nie wyobrażali sobie, że mogliby siedzieć w domu, gdy tutaj Wiktorcia walczyła o życie. Jeśli miałoby nadejść to najgorsze, chcieli być przy niej.

Kiedy została przewieziona na salę, z trudem wyprosilili pozwolenie, by mogli czuwać przy jej łóżku. Zwykle zaraz po operacji nikomu z zewnątrz nie wolno było odwiedzać pacjenta, lecz

ominęto ten przepis ze względu na stan Wiktorii. Wbrew zapewnieniom lekarza, że powinno być dobrze, wszyscy liczyli się z jej śmiercią w każdej chwili. Najbliżsi powinni być przy chorej, żeby zdążyli się z nią pożegnać.

– Tatku. – Matylda spojrzała na poszarzałego z bólu ojca. – Usiądź wygodnie w tamtym fotelu przy oknie, odpocznij trochę, bo za chwilę sam będziesz potrzebował pomocy.

Borucki pokręcił przecząco głową, nie spuszczając oczu z leżącej nieruchomo żony. Bał się, że jeśli choć na chwilę odejdzie, stanie się to najgorsze.

– Nie potrafiłem jej uchronić od nieszczęścia, nie potrafiłem... Powinienem był ją stamtąd odciągnąć, kiedy tylko koń zaczął wierzgać. A ja nie zrobiłem nic, nie miałem żadnego złego przeczucia... Pozwoliłem ją zabić...

Powtarzał to półgłosem, jakby wyznawał swoje grzechy, wpatrując się z bólem w zmienioną twarz Wiktorii. Ten odważny mężczyzna, bohater wojenny, któremu śmierć nieraz zaglądała w oczy i który zawsze potrafił zachować zimną krew, teraz nie umiał sobie poradzić z rozpaczą i bólem na widok leżącej bez ruchu żony. Czuł się zupełnie bezsilny.

Dawną Wiktorię można już było poznać tylko po szczupłych, zniszczonych przez odczynniki dłoniach, leżących teraz nieruchomo wzdłuż ciała na szpitalnej pościeli. Spod zwojów bandaży, które tworzyły rodzaj koszmarnego turbanu, widać było tylko obrzęknięte i zasiniałe powieki oraz bladą, jakby pozbawioną krwi twarz.

– Nie, kochanie – powiedział w końcu głośno Antoni, nie wiadomo, czy do Matyldy, czy żony. – Zostanę tutaj.

Wierzył, że dopóki będzie trzymał ukochaną za rękę, Wiktoria nie odejdzie. Że tylko w ten sposób zatrzyma ją i nie pozwoli, by umarła.

Do pokoju weszła starsza pielęgniarka, niosąc dzbanek z herbatą i dwa kubki.

– Proszę, na pewno jesteście spragnieni. Tylko, broń Boże, nie próbujcie pić tym pacjentki.

Matylda uśmiechnęła się z wdzięcznością i kiwnąwszy głową na znak, że zrozumiała, odebrała dzbanek. Nalała herbatę do kubka i podała ojcu. Antoni uniósł kubek do ust, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Zakrzuszył się natychmiast i dopiero gwałtowny kaszel przywrócił go do przytomności.

– O mój Boże! – wychrypiał w końcu, ocierając łzy z oczu. – Nawet nie wiedziałem, że jestem taki spragniony. Dziękuję. Choć to jakaś podła herbata.

Spojrzał z niechęcią na kubek, a Matylda odetchnęła z ulgą. To był ten sam człowiek, co zwykle, jej ukochany ojciec. Wrócił z dalekiej podróży w głąb siebie samego.

– Podła ta herbata, jakieś popłuczyny – powtórzył – ale smakuje mi teraz jak żadna inna.

Antoni, właściciel sklepu z herbatą, znał się na niej jak nikt inny. Obrzydliwy smak szpitalnego napoju przywrócił go na chwilę do życia. Wyprostował się na krześle i rozejrzał wokół, jakby do tej pory bał się spuścić oczu z żony.

– Czysto tu nawet – podsumował swoje oględziny. – Tyle złego się nasłuchiłem o tych szpitalach.

Jakby w odpowiedzi Wiktoria jęknęła cicho. Nachylił się nad nią oboje z nadzieją, ale dźwięk już się nie powtórzył. Z wpeł otwartych ust chorej zaczęło się wydobywać jakby lekkie

pochrapywanie.

– Czy mama nie powinna już się obudzić? – spytała Matylda wezwanego natychmiast lekarza. – Nie za długo śpi?

– Powinna – w głosie lekarza brzmiał lekki niepokój – ale poczekajmy jeszcze trochę. To była poważna operacja, a każdy pacjent inaczej reaguje. Dajmy chorej czas.

Wyszedł, przekazując półgłosem zlecenia towarzyszącej mu pielęgniарce. Tymczasem z korytarza dobiegły do nich odgłosy jakiegoś zamieszania. Matylda rozpoznała głos babci Kasperkowej. Zdyszana staruszka, podtrzymywana przez wuja Stefana, szamotała się z pielęgniarką, broniącą wejścia do pokoju.

– Pacjentka jest po operacji, nie można jej teraz odwiedzać!

Matylda wyszła na korytarz, zostawiając uchylone drzwi do salki.

– Babciu kochana – chwyciła Kasperkową w objęcia – lepiej, żeby jak najmniej osób teraz tam było. Babcia może zajrzeć przez szparę, o proszę. – Podprowadziła ją do drzwi. – Operacja się udała, teraz czekamy, aż mama się obudzi. Nie możemy jej niepokoić.

– Jezusie Nazareński! – Staruszka oparła się ciężko o framugę. – Dopiero teraz mi powiedzieli. A tak coś czułam od rana, miałam jakieś złe myśli. Że też akurat dzisiaj musiałam się pochorować. Gdyby nie to, wyszłabym z biedaczką do tego teatru i może to ja bym pod tego konia wpadła, a nie ona...

– Co też babcia opowiada. – Matylda odciągnęła Kasperkową od drzwi i usadziła na ławce w korytarzu. – Nie wolno tak mówić. – Przytuliła ją do siebie i zaczęła kołysać jak małe dziecko.

Wuj Stefan, który od powrotu z Wiednia nie rozmawiał prawie z nikim oprócz Wiktorii, również usiłował dostać się do chorej.

– Chcę do Isi, chcę zobaczyć Isię – powtarzał głuchym głosem, odpychając pielęgniarkę.

Kobieta zawałała się, widząc jego ból i desperację. Odsunęła się od drzwi i pozwoliła mu zajrzeć do sali.

– Proszę, ale tylko z daleka. To dla dobra chorej, musi mi pan uwierzyć.

Stefanek stał w progu i jak skamieniały wpatrywał się w nieruchomą postać leżącą na szpitalnym łóżku. Nie rozpoznawał w niej siostry, opuchnięta twarz widoczna spod bandaży należała do kogoś innego. Na pewno nie do Wiktorii.

Odszedł od drzwi uspokojony. To nie jego Isia, chwała Bogu, to nie ona. Przecież znał swoją siostrę jaknikt inny.

Matylda wciąż tuliła zapłakaną babcię Kasperkową, która nagle odsunęła się, otarła łzy i zaczęła splatać jej rozpuszczone włosy w warkocz. Nie lubiła, kiedy wnuczka chodziła potargana.

– Mama nie może zobaczyć takiego czupiradła, jak się obudzi – stwierdziła stanowczo, wciąż jeszcze pociągając nosem i ocierając łzy napływające jej bez ustanku do oczu.

Matylda nie protestowała, czesanie zawsze ją uspokajało. Starła się nie myśleć przy tym o niczym, jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że o czymś zapomniała.

Gdzieś miała być, z kimś się spotkać, ale zupełnie nie pamiętała gdzie, z kim i po co.

ROZDZIAŁ 3

Nad ranem wydawało się, że Wiktoria odzyskuje przytomność. Zeszywniały od siedzenia w fotelu Antoni zerwał się nagle, słysząc jakiś ruch dobiegający od strony łóżka, i niemal w tej samej chwili upadł jak długi na podłogę.

– Co się dzieje, tatku?! – Matylda również obudziła się z męczącej drzemki przy łóżku matki. Podbiegła do niego przestraszona.

– Nic, moje dziecko, nic. Spokojnie. – Uspokajającym gestem uniośł dłoń i podniósł się niezgrabnie z podłogi. – Po prostu noga mi „usnęła”, musiałem jakoś ją przycisnąć, kiedy spałem w tym fotelu. Ale już dobrze, czuję mrowienie, czyli krew znów zaczyna w niej krążyć. Sprawdźmy lepiej, co z mamą, chyba nareszcie się budzi.

Niestety, to, co wzięli za świadomy ruch chorej, było tylko mimowolnym drganiem jej prawej nogi. Twarz wylaniająca się spod bandażu była znacznie bardziej opuchnięta, błyszcząca i czerwona niż poprzedniego wieczora.

Sprowadzony przez Matyldę lekarz z zafrasowaniem pokręcił głową.

– Wygląda na to, że jednak wdała się jakaś infekcja. Pacjentka zaczęła gorączkować, a to nie jest dobry znak. Jak i to, że jeszcze nie odzyskała przytomności.

– Ale porusza się przecież. – Zrozpaczony Borucki wskazał na drgającą coraz mocniej nogę Wiktorii.

Lekarz popatrzył na niego ze współczuciem.

– Nie traćmy nadziei. Póki pańska żona żyje, wszystko może się zdarzyć. Ale proszę też przygotować się na najgorsze – dodał ciszej, wychodząc z pokoju, żeby znów wydać dyspozycje pielęgniarce.

Borucki opadł na kolana przed łóżkiem Wiktorii. Ujął jej białą, jakby pozbawioną krwi dłoń i przycisnął do ust.

– Isieńko, najdroższa, nie opuszczaj mnie, błagam!

– Tatku, nawet tak nie myśl. Mama dojdzie do siebie, jest silna. Z każdej choroby wychodziła najszybciej ze wszystkich. I jeszcze miała siłę, żeby się nami opiekować. Pamiętasz, jak

chorowaliśmy na...

– Tym razem nie dojdzie do siebie, czuję to. – Antoni zdawał się nie słyszeć słów córki. – Odejdzie i zostawi mnie samego na tym świecie. Nie przeżyję tego. To wszystko moja wina...

– Ojczy – Matylda chwyciła go za ramiona i zmusiła, żeby spojrział jej w oczy – zabraniam ojcu tak mówić, mama wyzdrowieje. A jeśli, co nie daj Bóg, stanie się inaczej, przecież masz jeszcze mnie, swoją córkę. Krew z krwi. Nie zostaniesz zupełnie sam.

Borucki odwrócił wzrok i przetarł twarz zmęczonym gestem.

– Kocham cię, Matysiu, nad życie, ale nie jesteś moją rodzoną córką – powiedział cicho, jakby się obawiał, że obudzi Wiktorię, która będzie miała mu za złe to wyznanie. Zamierzali przecież razem powiedzieć o tym Matyldzie.

Rozmowę przerwało wejście lekarzy i pielęgniarek. Zaczynał się obchód, więc wyproszono oboje z sali. Oszołomiona wciąż Matylda usiadła bez słowa na ławce w szpitalnym korytarzu. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w postarzałego nagle Antoniego.

– Tatu... – wychrypiła w końcu, bezskutecznie usiłując przełknąć ślinę. – Tatu, co ty opowiadasz? Jak to nie jestem twoją córką? Przecież jestem... No, powiedzże coś w końcu.

– Przepraszam, kochanie. – Potrząsnął głową, jakby chciał coś od siebie odegnąć. – Nie miałem zamiaru tego mówić, straciłem nad sobą kontrolę. Mieliśmy ci o tym powiedzieć razem z mamą. Przepraszam raz jeszcze. Dla mnie zawsze byłaś, jesteś i zostaniesz najukochańszą córeczką. Moją dumą.

– Kto jest moim ojcem?

Głos Matyldy stwardniał. Poczuli się oszukana; ten, którego przez całe życie uważała za swojego ojca, nagle okazał się obcym człowiekiem.

– Matysiu...

– Kim on jest? Muszę to wiedzieć.

Jak przez mgłę pamiętała jakiegoś straszego mężczyznę bez ręki, przez którego mama często płakała. Ten mężczyzna przeganiał ją, ilekroć znalazła się na jego drodze, nazywał francuskim bękartem. Wspomnienia jak żywe stanęły jej przed oczami.

– Czy to ten straszny człowiek bez ręki?

– Pamiętasz go? – Zdumiony Borucki podniósł głowę. Z jego oczu na chwilę zniknął ból. – Pamiętasz Filipa? Przecież nie miałaś wtedy więcej jak pięć lat...

– A więc mój ojciec miał na imię Filip... Co się z nim stało?

– Nie, on nie był twoim ojcem. – Antoni pokręcił przecząco głową. – To skomplikowana historia. Twój ojciec był Francuzem, nazywał się Pascal Castillon du Man...

Zbladł nagle i osunął się na podłogę. Zaalarmowany lekarz przybiegł natychmiast, ale Antoni już zaczął dochodzić do siebie. Wypił przyniesioną przez pielęgniarkę wodę i słabym głosem usiłował zapewniać, że czuje się dobrze.

– Proszę iść do domu i odpocząć – polecił mu surowym tonem lekarz. – Siedzi pan tu od wczoraj, tak być nie może. Gdyby cokolwiek się działo, natychmiast zawiadomimy, ma pan przecież telefon w domu.

– Tak będzie najlepiej. – Matylda położyła dłoń na ramieniu Antoniego. Chciała dodać „tato”,

ale słowa uwięzły jej w krtani.

– Paniencie też radzę się przespać. – Lekarz zwrócił się do dziewczyny. – W niczym tu oboje nie pomożecie, a potrzebne wam będą siły.

Próbowali jeszcze protestować, ale stanowczym gestem zatrzymał ich przed salą, w której leżała Wiktoria.

– Chora potrzebuje teraz spokoju. Dostała leki na obniżenie gorączki i pozostaje nam tylko czekać. Proszę iść do domu, mogą państwo wrócić tu wieczorem.

Matylda i Borucki nie opierali się zbyt mocno. Sami uznali, że potrzebny im nie tylko odpoczynek, ale i kąpiel oraz zmiana ubrania. Upewnili się tylko raz jeszcze, że Wiktorii nic na razie nie grozi, i wyszli ze szpitala.

Wilgotny wiatr przyjemnie chłodził ich twarze. Obojgu nie przeszkadzał nawet unoszący się w powietrzu zapach dymu węglowego, tak inny od wyziewów szpitala. Matylda chciała zatrzymać dorożkę, jednak Antoni odmówił.

– Muszę się trochę przejść i zebrać myśli. Ale jeśli ty, kochanie, nie czujesz się na siłach, jedź dorożką. Spotkamy się w domu.

– No co też tata – prychnęła Matylda. – Możemy porozmawiać w drodze o moim prawdziwym ojcu.

– Prawdziwym twoim ojcem jestem ja – poprawił ją zmęczonym głosem. – Nie ja wprawdzie dałem ci życie, ale ja do tej pory prowadziłem cię przez to życie. I prowadzę nadal. Nie zapominaj o tym, skarbie.

Szli przez chwilę w milczeniu. Matylda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z jednej strony czuła złość i rozżalenie, że dopiero teraz o tym wszystkim się dowiaduje, z drugiej zaś rozumiała, że sprawiła ból człowiekowi, którego kochała najbardziej na świecie. To on zwykle miał dla niej najwięcej czasu, do niego biegła z każdym dziecęcym zmartwieniem.

– Porozmawiamy później, dobrze? – Antoni pierwszy przerwał milczenie. – Obiecuję, że wszystko ci opowiem, ale to nie jest rozmowa, którą można prowadzić podczas spaceru.

Matylda skinęła tylko w milczeniu głową. Czuła się podle, widząc, że go zraniła. Nie zasłużyła na to.

Kiedy tylko dotarli do apteki, wybiegła stamtąd Joasia, zastępująca teraz Wiktorię.

– Matysiu, telefon do ciebie! – zawołała podekscytowana. – Jakiś strasznie zdenerwowany jegomość kazał natychmiast cię prosić. Myślałam, że nadal jesteś w szpitalu, i chciałam mu to powiedzieć, ale nawet nie dał mi dojść do głosu. Dobrze, że cię zauważyłam przez okno. Chodź szybko.

Matylda i Antoni spojrzeli po sobie przerażeni.

– O Boże, tylko nie to...

Okazało się jednak, że nie był to telefon ze szpitala. Dzwonił obrażony i nadęty Kwiatkowski.

– To niepojęte i wprost bezczelne! – wykrzyczał, usłyszawszy głos Matyldy. – Przez panią wyszedłem na dumnia. Umówiłem kilka ważnych person, chcieli się z panią spotkać na bankiecie, a księżniczka nie raczyła przyjść ani nawet zawiadomić. Proszę zapomnieć o jakimkolwiek angażu.

Ze zdenerwowania niemal przestał zdrabniać wyrazy.

– O Jezu... – westchnęła Matylda z ulgą, że to nie wieści o matce.

– O Jeeeezu... – przedrzeźniał ją piskliwym głosem, źle odczytując jej reakcję. – Pewnie zapomniała, co? Osoba z taką pamięcią nie nadaje się na...

– Pan wybaczy – weszła mu w słowo – ale moja mama miała wypadek i nie mogę teraz myśleć o niczym innym. Żegnam.

Nie czelając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę na widełki.

Zapomniała o bankiecie. Miała tam poznać kogoś wpływowego, może nawet podpisać jakiś korzystny kontrakt. Przepadło. Trudno, widać tak miało być. Matylda nawet nie była w stanie martwić się tym teraz. Wszystkie jej myśli krążyły wokół walczącej o życie matki i ojca, tego, o którego istnieniu właśnie się dowiedziała.

Z kuchni dobiegły do niej stłumione odgłosy, szcęk wiadra i pluskanie wody nalewanej do ogromnego gara stojącego zazwyczaj na piecu. O gorącą wodę do mycia dbała zwykle babcia, dziś jednak staruszka nie mogła niczym się zająć. Modliła się w swoim pokoju, błagając na kolanach o zdrowie i życie Wiktorii. Antoni przygotowywał kąpiel dla Matyldy i dla siebie. Sły chać też było, jak wraz z wujem Stefanem ściągają ze stry chu metalową wannę.

Dziewczyna poczuła, że oczy same jej się zamykają. Postanowiła położyć się na chwilę, zanim kąpiel będzie gotowa. Piec, o który z kolei dbał wuj Stefanek, był wygaszony, zapowiadało się więc dłuższe czekanie. Matylda chciała jak najszybciej porozmawiać z ojcem. To znaczy z człowiekiem, którego od zawsze za ojca uważała. Nie miała jednak siły. Czuiła, że musi się choć na chwilę położyć. Na chwileczkę.

Poszła do swojego pokoju i w ubraniu padła na łóżko, zdjawszy tylko buty. Zanim zdążyła o czymkolwiek pomyśleć, sen spadł na nią jak czarna kurty na.

Kiedy się obudziła, było już ciemno. Przerazona zerwała się z łóżka i objając się o sprzęty, pobiegła do kuchni. Babcia Zuzanna siedziała przy wielkim stole i kroila jarzyny na jutrzejszą zupę.

– Babciu, a gdzie tato? Poszedł sam, beze mnie?

– Gdzieżby tam, moje dziecko! – Zuzanna machnęła ręką, w której trzymała mały nóż. – Śpi, biedaczysko. Położył się zaraz po kąpeli, prosząc, żeby go obudziła pod wieczór. Właśnie miałam to zrobić.

Matylda odetchnęła z ulgą.

– A... ze szpitala nie dzwoniли?

– Nie, nie dzwoniли, czyli wszystko dobrze. Ogarnij się trochę, Matysiu, weź kąpiel, woda grzeje się cały czas na piecu. Dobrze, że ojciec o to zadbał, bo ja... – Głos jej się załamał niebezpiecznie. Otarła napływające do oczu łzy i szybko zmieniła temat. – Jak skończy sz, obudzę ojca, zjecie kolację i pójdziecie na noc do mamy. Musicie przecież przy niej być, jak się obudzi.

Pomogła Matyldzie napełnić blaszaną wannę wodą, do której dodała świeżego naparu

z rozmarynu i majeranku. Przyjemny aromat rozszedł się po całym pomieszczeniu. Dziewczyna z ulgą zdjęła nieświeże już ubranie i zanurzyła się w ciepłej, pachnącej kąpieli, z rozkoszą mrucząc oczy.

– Postaraj się nie zmoczyć włosów, dziecko – upomniała ją Kasperkowa, zasuwając kwiecistą zasłonę oddzielającą kuchnię od kąpielicy. – Bo nie wyschną przed wyjściem i jeszcze mi się zaziębisz.

Matylda zwinęła w ciasny węzeł swój gruby warkocz i upięła go wysoko na głowie. Leżące na taborecie obok szydełko, którym babcia dziergała jakąś serwetkę, posłużyło za szpilkę do włosów.

Przez wąską szparę w zasłonie widać było piec i suszące się nad nim zioła oraz brunatne sznury grzybów. Znad garnków unosiła się para osiadająca na szybach kuchennego okna. Gotowała się już zupa na następny dzień i coś smakowitego na obiecaną kolację. Pachniało jak gulasz, popisowa potrawa babci.

Dopiero teraz dziewczyna poczuła głód. Przez uchylone drzwiczki pieca widać było czerwony żar; migoczące złotem iskry wpadały do popielnika, gasząc po drodze. Rozkoszne ciepło i znajome zapachy rozluźniły nieco Matyldę. Cały czas, nawet podczas snu, była spięta, jakby w oczekiwaniu na cios. Teraz starała się myśleć tylko o przyjemnych sprawach.

Kochała tę kuchnię i piec. To było najprzyjemniejsze miejsce w całym, dość ponurym i zimnym, mieszkaniu. To tu babcia czytała jej bajki, w których dobro zawsze zwyciężało, a zło spotykała zasłużona kara. To przy tym wyszorowanym do białości drewnianym stole odrabiała lekcje w towarzystwie ojca. Tutaj też słuchała opowieści mamy o podróżach, malarstwie i sztuce. O Francji i o ciotce Iwonnie, którą odwiedziły, kiedy Matylda była jeszcze zupełnie małą.

Wspomnienia napływały do niej falami: znów widziała ogromne sale, gdzie można się było zgubić, biegła po kamiennych, błyszczących posadzkach, patrzyła na rzekę płynącą tuż za ogrodem, oglądała portrety przedstawiające dziwnie ubranych ludzi o surowym spojrzeniu. Jak przez mgłę zobaczyła ciotkę – kobietę o włosach rudych, jak jej własne, mówiącą niezrozumiałym wtedy dla niej językiem.

Teraz Matylda władała biegle francuskim; Wiktoria przykładła do tego szczególną wagę, uważając, że córka powinna móc w przyszłości porozumieć się ze swoją rodziną. Czasami, chcąc zrobić wrażenie na Julku, którego od zawsze uważała za swojego brata, dziewczynka odzywała się przy nim do mamy po francusku.

Julek sierota wojenny, został przygarnięty przez dziadków Michalskich, którzy traktowali go jak własnego wnuka. Dali mu nawet swoje nazwisko, z czym, jak opowiadała babcia, ich własny syn nie mógł się pogodzić. Krzyczał do matki, że przygarnęli przybłędę, jakby nie mieli własnego syna. Nie mógł im tego darować.

Filip... kim on był dla matki? Dlaczego mieszkał w tym domu? I dlaczego mama go wygoniła?

Matylda ocknęła się, w brzuchu burczało jej coraz głośniejszemu głodu. Zresztą i tak woda zaczynała stygnąć, należało więc zakończyć kąpiel.

– Matysiu – jakby na potwierdzenie babcia Kasperkowa zajrzała za zasłonę – a ty aby żyjesz jeszcze? Przecież zaraz cała się pomarszczysz jak zimowe jabłuszko. Wychodź szybko, bo ojciec już schodzi na kolację. Pójdziecie na noc do mamy, a rano ja was zmienię. Tak się umówiłam z ciocią Zosią, posiedzimy tam obie, żebyście mogli odpocząć przed kolejną nocą.

Będzie dobrze, zobaczysz. Damy radę.

ROZDZIAŁ 4

Stan Wiktorii pogarszał się z godziny na godzinę. Temperatura nie spadała, drgawki zaczęły się nasilać.

– Robimy, co w naszej mocy – doktor rozłożył bezradnie ręce – ale szanse są coraz mniejsze, przykro mi. Jeśli państwo dacie radę – dodał po chwili wahania – dobrze byłoby, żeby tej nocy ktoś z nią został.

Matylda i Antoni zapewnili lekarza, że nie mają zamiaru ruszyć się stąd nawet na krok, i z ciężkim sercem usiedli po obu stronach łóżka, ściskając rozpalone dłonie Wiktorii.

– Musimy ją trochę schłodzić.

Matylda wstała energicznie i pobiegła do pielęgniarek po miskę z zimną wodą i ręczniki. Po chwili owinęła mokrymi kompresami i nadgarstki Wiktorii i obie nogi nad kostkami.

– Mamusiu kochana – nachyliła się nad chorą – słyszysz mnie, prawda? Opowiem ci, jak było w teatrze. Wiem, że chciałaś przyjść na przedstawienie... – Głos załamał jej się na chwilę. – Było wspaniale – opanowała się szybko. – W ostatniej chwili dostałam rolę Zosi, bo aktorka, która ją grała, miała wypadek. Stałam na tej samej scenie, co Osterwa. Byłabyś ze mnie dumna, mumulku...

Od dzieciństwa nie nazywała tak matki. Łzy popłynęły jej po twarzy i nawet nie próbowała ich ocierać. Gorączkowo, jakby się bała, że nie zdąży, mówiła Wiktorii, jak bardzo ją kocha i jak żałuje tych wszystkich chwil, kiedy sprawiała jej przykrość. Miała tylko nadzieję, że mama wszystko słyszy.

– Posłuchaj mojej kwestii, mamusiu. – Głos Matyldy drżał od wstrzymanego płaczu. – Pamiętaj, jak kiedyś ćwiczyliśmy razem?

*Na głowie mam kraśny wianek,
W ręku zielony badylek,
Przedemną bieży baranek,*

Nie mogła mówić dalej, nie była w stanie zapanować nad głosem.

– Matysiu – głos ojca dobiegał do niej jak z oddali – mama wie i zawsze wiedziała, jak bardzo ją kochasz. Nie musisz jej o tym zapewniać. Nie płacz, dziecko, bo i tak serce mi pęka. Porozmawiajmy lepiej o twoim ojcu, mama posłucha.

Matylda spojrzała na niego przygaszonym wzrokiem.

– Nie wiem, czy jeszcze mi na tym zależy.

– Jak uważasz, dziecko, ale postanowiliśmy, że powiemy ci o tym razem. Chciałbym teraz... póki...

Urwał nagle, a Matylda poczuła w sercu bolesny skurcz. Było dla niej jasne, że ojciec stracił już nadzieję i chce wykorzystać ostatnie chwile, kiedy mama jest jeszcze z nimi.

Antoni starał się opanować i zebrać myśli. Tyle spraw było do wyjaśnienia, tyle rodzinnych tajemnic, nieznanych do tej pory dziewczynie, czekało, by je ujawnić. Westchnął i poprawił się na niewygodnym stołku.

– Zaczę chybą od Filipa.

– Po co? – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Przecież to nie on był moim ojcem.

– Nie on, ale od niego wszystko się zaczęło.

Matylda sprawiała wrażenie, jakby jej było obojętne, co i o kim usłyszy. Całą uwagę skupiła na matce i na zmianie okładów, które szybko się ogrzewały.

– Filip był największą miłością twojej mamy – zaczął Borucki. Z trudem wypowiedział na głos te słowa. Widać było, jak bardzo wciąż go to boli.

Zdumiona Matylda chciała coś powiedzieć, ale podniósł rękę, dając znak, żeby mu nie przerywała.

– Poznali się, kiedy twoja mama jeszcze chodziła do szkoły. Pokochali się pierwszą miłością i planowali ślub, jak już oboje skończą studia. Wtedy wydarzyło się nieszczęście.

Przerwał na chwilę, by znów zebrać myśli.

– Jej ojciec, a twój dziadek, oznajmił nagle, że nie zgadza się na to małżeństwo, ponieważ Filip jest jego synem.

– Jak to jego synem? – zdziwiła się Wiktoria. – Przecież to wujowie Adam i Stefanek byli jego synami.

– Synami z prawego łóża. I jedynymi prawowitymi potomkami. Natomiast Filip miał być jego nieślubnym dzieckiem. Jak zresztą wiele innych.

– Jedynymi prawowitymi?... A mama? – Matylda spojrzała ze zdziwieniem na leżącą nieruchomo Wiktoria.

Antoni opowiedział jej o podwójnych narodzinach w domu przy Grodzkiej, o zamianie noworodków, a także o kłótwie rzuconej przez umierającą Hanke, która nie zdążyła się dowiedzieć, że jej córeczka została uratowana.

– Filip natomiast miał być synem innej służącej. Jego matce udało się odejść ze służby, będąc już w błogosławnym stanie. Inne, które miały mniej szczęścia, umierały przy porodzie, a jeśli nawet przeżyły, traciły swoje nowo narodzone dzieci.

Matylda zamarła z mokrym okładem w ręce, wpatrując się w ojca, jakby nie rozumiała sensu jego słów.

– Tak, traciły dosłownie – odpowiedział na jej niezadane pytanie. – Noworodki podrzucano do przytułku albo były topione w rzece.

– Chryste... – Dziewczyna złapała się za głowę. – Jak kocięta?! Nie, to nie może być prawda...

Do sali wszedł znany im już lekarz w towarzystwie dwóch innych i poprosił Matyldę oraz Antoniego, by na czas badania wyszli na korytarz. Jak oboje się zorientowali z krótkiej rozmowy doktorów, jednym z nieznanym był przebywający akurat w Krakowie słynny wiedeński neurolog.

– Biedna mama! – Matylda wciąż nie mogła ochłonąć. – Ież ona musiała wycierpieć przez tego potwora. Dlaczego nigdy mi o tym nie wspomniała?

Borucki milczał. Nie chciał jeszcze bardziej pogłębiać dziewczyny, mówiąc, że Wiktoria nieraz próbowała zbliżyć się do niej, ale Matylda zawsze ją odpychała. Nie potrafiły znaleźć wspólnego języka, trudna wojenna rzeczywistość rozluźniła więzy między nimi i już nigdy później nie potrafiły ich odbudować.

Lekarze wyszli z pokoju chorej, cicho wymieniając między sobą uwagi.

– Co z moją mamą? – Matylda podbiegła do nich, nie czekając na Antoniego, który z trudem podnosił się z ławki.

– Niestety, nie mam dobrych wieści. – Lekarz ze smutkiem pokręcił głową. – Pani matkę badał neurolog, sam profesor Kravnitz z wiedeńskiej akademii. Według niego uszkodzenia mózgu są poważniejsze, niż początkowo myśleliśmy. Do tego doszło jeszcze zakażenie. Nie będę ukrywał, że tylko cud mógłby ją teraz uratować. Wszystko w rękach Boga.

– Nie wierzę w żadne cuda! – Matylda podniosła głos. – Jest pan lekarzem, proszę ją ratować, a nie czekać, aż Bóg pana wyręczy. To niewiarygodne! Jest pan lekarzem...

Borucki objął ją i przytulił do piersi.

– Proszę jej wybaczyć... ona wcale tak nie myśli...

– Zostaw mnie, tato! Przecież to szpital, mam prawo wymagać fachowej pomocy, a nie bajek o cudach.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, ale przytrzymał ją mocniej.

– Matyś, uspokój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Musimy tylko poczekać.

– To normalna reakcja, doskonale rozumiem pańską córkę. Sam nie wiem, co bym zrobił na jej miejscu – uspokoił go lekarz. – Ale dla dobra chorej zachowajcie państwo spokój. I nie opuszczajcie jej ani na chwilę. Stan jest krytyczny, teraz może zdarzyć się wszystko.

Antoni doskonale rozumiał, co kryje się pod słowem „wszystko”. Zachwiał się nagle i gdyby nie silne ramię Matyldy, upadłby na ziemię.

– Proszę dużo do niej mówić – kontynuował lekarz – powinna czuć, że nie jest sama.

Opowiadajcie jakieś rodzinne historie, nie wiemy przecież, czy chora coś słyszy, czy nie. A może takie wspomnienia pobudzą mózg do pracy i pacjentka w końcu odzyska przytomność. Pytajcie o coś, starajcie się, żeby chciała odpowiedzieć. A pana – spojrzaj na wciąż bladą, wykrzywioną bólem twarz Boruckiego – chciałbym osłuchać. Ma pan jakieś kłopoty z sercem?

Antoni niecierpliwie machnął ręką.

– Nic mi nie będzie, to chwilowe. Zaraz przejdzie.

Znów usiedli po obu stronach łóżka. Wiktoria wyraźnie się uspokoiła, co widać było po jej rozluźnionych rysach. Nie mieli już wątpliwości, że zauważa ich obecność.

– Isieńko... – Antoni spojrział na nią z taką miłością, że Matyldę aż coś ścisnęło w gardle. Czy ją też ktoś będzie kiedyś tak kochał?

– Jesteś gotowa na dalszy ciąg opowieści? Popraw mnie, Wiktorio, gdybym o czymś zapomniał, skarbie.

– Tato... – Matylda apatycznie pokręciła głową na znak, że nie chce o tym rozmawiać. – Nie interesuje mnie człowiek o którym słyszę po raz pierwszy w życiu. On nic dla mnie nie znaczy.

– Rozumiem, że to dla ciebie teraz za dużo, kochanie. Ale skoro już nieopatrznie poruszyłem ten temat... Zresztą kto wie, czy będzie jeszcze okazja do takiej rozmowy... – Umilkł, jakby tknięty nagłym przeczuciem.

Bez słowa popatrzył w okno po drugiej stronie pokoju. Po niebie pędziły skąbane szare chmury, wiatr szarpał nagimi gałęziami drzew, zrywając z nich pojedyncze, ocalałe jeszcze gdzieśgdzie liście.

Po chwili otrząsnął się z ponurych myśli.

– Zresztą mama i tak chciała ci o tym powiedzieć. I nadal chce. Prawda, skarbie?

Na nieruchomej twarzy Wiktorii nie pojawił się nawet cień zrozumienia.

– No widzisz? Wyraźnie chce, zacisnęła mocniej powieki.

Matylda zmieniła zimny okład na przegubach matki. Wydawało się, że temperatura powoli zaczyna spadać. Twarz chorej nie była już tak rozpalona, opuchlizna pod oczami jakby się zmniejszyła.

Antoni opowiedział o Filipie wszystko, co sam wiedział, spoglądając przy tym niespokojnie na żonę, jakby czekał na jej reakcję. Ale twarz chorej nadal nie zdradzała żadnych emocji. Zakończył opowieścią o wyjeździe Wiktorii do Paryża i brzemiennej w skutki znajomości z Pascalem, który pojawił się w nieodpowiednim miejscu i o nieodpowiedniej porze, cynicznie wykorzystując rozpacz młodej dziewczyny.

– Czyli nie byłem dzieckiem miłości? Czulaś to. – Matylda uśmiechnęła się gorzko.

– Nie mogłaś tego czuć. – Borucki surowo zmarszczył brwi. – To, w jaki sposób zostałam poczęta, nie miało najmniejszego znaczenia. Byłaś i nadal jesteś najbardziej kochanym dzieckiem, jakie znałem od śmierci mojej małej córeczki. Masz kochającą matkę i kochającego ojca. Nie wspominając o uwielbiających cię obydwu babciach. Nie bądź niesprawiedliwa.

– Przepraszaam, tatku. – Zawstydzila się. – Masz rację.

– Mamę przeprasza, nie mnie. To ty zawsze byłaś jej największą miłością. Poświęciła nawet Filipa, który wrócił do niej po wojnie. Dała mu szansę, lecz nie potrafił zaakceptować ciebie i to

był główny powód, dla którego w końcu wybrała mnie, a nie jego...

Mój Boże, Antosiu, a cóż ty za głupstwa pleciesz! Filipa było mi po prostu żal, ale to przecież ty jesteś największą miłością mojego życia. Matysię kocham inaczej, to moje dziecko, ale ciebie nie zamieniłabym na nikogo innego. Może nie umiałam ci tego okazać, ale kocham cię całym sercem i całą duszą. Chyba żadna kobieta nie zaznała tyle miłości i szczęścia, co ja przy tobie. Słyszysz mnie, jedyny? Przecież to niemożliwe, żebyś tego nie wiedział, nie czuł. Antoni...

Wiktoria westchnęła głęboko i nagle poczuła się lekka i szczęśliwa. Zniknął potworny ból głowy, który mącił jej myśli, ustąpił też paraliż. W końcu mogła swobodnie poruszać rękami i nogami. Usiadła na łóżku i spojrzała z miłością na męża. Musi powiedzieć mu natychmiast, jak bardzo go kocha. Głośno i wyraźnie, żeby już nigdy nie miał nawet najmniejszych wątpliwości. Na szczęście jeszcze nie jest na to za późno.

Nigdy nie była zbyt wylewna ani w stosunku do niego, ani do córki. Z trudem przychodziło jej mówienie o miłości, sądziła, że wystarczy ją okazywać, a słowa są zbędne. Jednak to, co usłyszała, uświadomiło jej, że nie miała racji. Mężczyzna, którego tak bardzo kochała, nie wiedział o jej uczuciach, nie domyślał się ich siły. Czy to możliwe? Musi to naprawić. Koniecznie.

Z uśmiechem wyciągnęła dłonie do córki i męża, ale zamiast radości zobaczyła na ich twarzach przerażenie i rozpacz. Oboje wpatrywali się w coś za jej plecami, na łóżku. Zaintrygowana zsunęła się na podłogę i stanęła obok Antoniego. Spojrzała mu przez ramię, chcąc się dowiedzieć, co tak bardzo ich przerażyło.

Na szpitalnym łóżku zobaczyła kobietę, w której z trudem rozpoznała samą siebie. Leżała biała i nieruchoma, z wyrazem nienaturalnego spokoju na twarzy.

Wiktoria zbyt często oglądała cudzą śmierć, żeby nie wiedzieć, co się stało. Chciała objąć i przytulić szlochającego Antoniego, ale to już było niemożliwe. Nagle poczuła, że obok niej jest tu jeszcze ktoś. Dwie piękne kobiety, te same, które nie chciały jej ze sobą zabrać, kiedy omal nie umarła podczas porodu, wyciągały ręce, jakby pokazując, że teraz może już z nimi pójść. Pokręciła odmownie głową, patrząc z zalem na płaczącego męża i zastygłą z bólu córkę. Przecież nie mogła ich zostawić. Wprawdzie teraz już wiedziała, że Matylda da sobie radę w życiu, ale Antoni nie może zostać sam. Nie on. Widok jego ukochanej głowy złożonej na piersi tamtej kobiety sprawiał Wiktorii ból, ale obie matki nalegały. Dawały do zrozumienia, że jej czas powoli się kończy.

Ogarnęła spojrzeniem salę, w której spędziła ostatnie godziny życia. Czowała radość i miłe podniecenie, jak zwykle w obliczu nieznanego. Zawsze lubiła wyzwania. Wiatr za oknem ustał, rozgoniwszy deszczowe chmury. Przez okno wpadały teraz blade promienie listopadowego słońca, rzucając jasne refleksy na rude włosy córki i podkreślając czarne cienie na twarzy ukochanego. Cały pokój wydawał się skąpany w złotawej, ciepłej poświacie.

Wiktoria odwracała się już, kiedy dobiegły do niej ciche słowa. Nie była pewna, czy naprawdę je słyszy, czy tylko to sobie wyobraziła, ale nie miała żadnych wątpliwości, do kogo

należy ów głos.

Zaczekaj na mnie, Isieńko... – zawołał Antoni.

ROZDZIAŁ 5

Wyjątkowo ciepły jak na listopad dzień zgromadził na cmentarzu Rakowickim tłumy ludzi. Wszyscy chcieli pożegnać Wiktorię Borucką, z domu Bernatównę, ulubioną aptekarkę krakowian, znaną ze swojego dobrego serca i pracowitości. Zakonnice przyprowadziły nawet dzieci z ochronki, nad którą Wiktoria od lat sprawowała pieczę. Przyszli też dawni wychowankowie sierocińca, ci, którzy mieli już własne rodziny, ale wciąż nie zapominali o cioci Isi, ciepłej i życzliwej kobiecie, kojarzącej im się zawsze z radością i prezentami. Maluchy, które niewiele ją pamiętały, rozglądały się teraz z ciekawością, starając się zająć miejsca jak najbliżej smutnego pana trzymającego w ręce złotą trąbkę. Niejeden dałby wiele za to, żeby móc chociaż potrzymać ją przez chwilę. O tym, żeby podnieść instrument do ust, nawet nie marzyli. Zdecydowanie pan z trąbką był dla nich największą atrakcją na całym cmentarzu.

Żegnano nie tylko Wiktorię, ale i jej męża, Antoniego Boruckiego, szanowanego kupca. Może właśnie ów podwójny pogrzeb sprawił, że ludzie przybyli liczniej niż zwykle. Jak powtarzano sobie ze łzami w oczach, Borucki umarł tuż po swojej ukochanej żonie. Trudy wojny zrujnowały mu zdrowie, schorowane serce nie wytrzymało takiego ciosu i pękło z rozpacz.

Obok otwartego rodzinnego grobowca stała blada Matylda, z zaciśniętymi z bólu ustami, podtrzymywana troskliwie przez wujka Stefana. Obie babcie, Helena Michalska i Zuzanna Kasperkowska, kiedyś rywalizujące ze sobą o prawo do opieki nad małą Matysią, teraz obejmowały się mocno, łkając rozpaczliwie. Zapłakana Zosia, przyjaciółka Wiktorii, przyszła tu ze swoimi bliźniaczkami. Był też Julek, który po śmierci dziadka Michalskiego nie tylko objął po nim kuznię, ale i obowiązki gospodarza, a także opiekuna ukochanej babci.

Za nimi stali bliżsi i dalsi znajomi Wiktorii. Każdy, kto choć raz miał z nią styczność, chciał ją teraz pożegnać. Zawsze wzbudzała w ludziach ciepłe uczucia. Ceniono również jej małżonka, Antoniego Boruckiego, za to, że wspierał żonę w działalności dobroczynnej. Zresztą, co nie było dla nikogo tajemnicą, wspierałby Wiktorię we wszystkim, cokolwiek by robiła. Kobiety zazdrościły jej wręcz tak oddanego i zakochanego do nieprzytomności męża. Ci, którzy znali Wiktorię od dawna, cieszyli się, że w końcu odnalazła swoje szczęście. Tym większy czuli teraz

żał, że nie dane jej było radować się tym szczęściem dłużej.

– Wszystko przez tę kłutwę, co to ją podobno jej matka rzuciła – rozległ się nagle głośny szept jednej z kobiet, matrony w czarnym płaszczu z szerokim karakulowym kołnierzem.

– Własna matka ją przekłęła?! Co też pani opowiadasz!

– Ciii... – syknął ktoś z tłumu. – Nie jesteście, baby, na targu, tylko na cmentarzu. Trochę więcej szacunku...

– Podobno nie wiedziała, że jej córka przeżyje – wyjaśniła już ciszej kobieta. – Straszna historia, moja pani, straszna.

Pogrzeb celebrował sędziwy ksiądz, który znał Wiktorię od urodzenia, chrzczył ją i udzielał pierwszej komunii, był też jej spowiednikiem. Dzięki temu mógł umierającej udzielić sakramentu namaszczenia chorych w szpitalu, chociaż nie odzyskała przytomności. Zazwyczaj księża nie udzielają go chorym w takim przypadku, on jednak wiedział, że gdyby miała świadomość, na pewno poprosiłaby o to sama. Z krwawiącym sercem pochylał się nad trumną tej, którą pamiętał jeszcze jako rezolutną dziewczynkę, dzielnie pomagającą ojcu w aptece, później poważną studentkę uniwersytetu, wreszcie aptekarkę. Podczas mszy żałobnej z trudem panował nad głosem, wspominając zmarłą i jej wielkie serce. Nie zapomniał też o jej mężu, Antonim Boruckim. Dwie stojące na katafalkach trumny, otoczone płonącymi gromnicami, sprawiały, że nie było chyba w kaplicy osoby, która by nie płakała.

Oprócz Matyldy. Osierocona dziewczyna miała wrażenie, że zabrakło jej łez już w szpitalu, kiedy odkryła, że matka, a chwilę później i ojciec odeszli na zawsze. I że nic już nie będzie takie jak dawniej.

Kiedy mama nagle przestała oddychać, Matylda wpadła w panikę i wezwała pielęgniarkę. Ojciec, z głową złożoną na piersi Wiktorii, nie poruszył się nawet wtedy, gdy przyszedł doktor, żeby stwierdzić zgon pacjentki.

– Obawiam się, że pani ojciec również odszedł. – Lekarz, choć przyzwyczajony do różnych sytuacji i zachowań ludzkich, sam czuł wzruszenie, pochylając się nad nieruchomym Antonim.

– Przecież to niemożliwe... – Matylda w pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć, ale głos uwiązł jej w gardle. Opadła sżywno na krzesło obok łóżka i opuściwszy bezwładnie ręce, wpatrywała się z niedowierzaniem w rodziców. – To niemożliwe...

Przygotowaniami do pochówku obojga zajmowała się bez emocji, jakby cała sprawa nie dotyczyła ani jej, ani rodziny. Ludzie mieli jej nawet za złe ów kamienny spokój, jednak najbliżsi obawiali się, że w każdej chwili może dojść do załamania. Spokój Matyldy był nienaturalny. Niepokorna, zawsze spontaniczna dziewczyna teraz sprawiała wrażenie nieobecnej. Organizm działał, wykonywał niezbędne do życia czynności, ale brak było w tym wszystkim ducha. Na szczęście Matylda miała wokół siebie życzliwych, kochających ludzi, którzy jej pomagali w tych ciężkich chwilach. Babcia Kasperkówna, ciocia Zosia, zakonnice z ochronki, Joasia z narzeczoną, a nawet wuj Stefan – w czym tylko mogli, wyręczyli biedaczkę. Zawiadomiono wszystkich, którzy znali Wiktorię i jej męża.

Matylda wysłała też depeszę do ciotki Ivonne, ponieważ nikt inny z rodziny nie znał francuskiego. Jedzenie na stygę zamówiono w pobliskiej restauracji, której właściciel był dobrym

znajomym Boruckich. Proponował nawet, by smutną uroczystość urządzić w jego lokalu, ale nie zgodziła się na to babcia Kasperkowa, uważając, że to niezgodne z tradycją. Stypa, według niej, powinna się odbyć w domu zmarłego, ponieważ jego duch przebywa tam jeszcze przez jakiś czas. Żartująca sobie zwykle z babcinych przesądów Matylda ani słowem nie skomentowała tego wyjaśnienia, wszystko to było jej najzupełniej obojętne.

Teraz spoglądała bez emocji na dwie trumny ustawione obok otwartego grobu. Zerwał się lekki wiatr i zakręcił leżącymi dookoła pożółkłymi liśćmi. Jeden z nich opadł na wieko trumny Wiktorii i drząc, lekko przesunął się po gładkiej powierzchni. Matylda miała ochotę poprawić go, żeby nie odfrunął, mama tak lubiła jesiennie liście.

Niechciane wspomnienia wypełniły jej myśli. Zobaczyła znów cmentarz, ale z innego, szczęśliwszego okresu jej życia.

Biegała wśród grobów, zbierając liście, upominana cicho przez matkę:

„Nie krzycz tak głośno, kochanie, to jest cmentarz. Tutaj śpią zmarli, nie powinno się zakłócać ich spokoju. Zrób piękne bukiety z tych liści, położymy je na grobie twoich babć i prababci. Nigdy o nich nie zapominaj, gdyby nie one, nie byłoby cię na świecie”.

Matylda uśmiechnęła się lekko do własnych myśli. Wiedziała, co to babcia, miała nawet dwie, ale słowa „prababcia” nie znała. Pamiętała rozbawienie mamy, kiedy odchodząc od grobu prababci Szczygłowej, powiedziała cichutko: „Śpij sobie spokojnie, chrababciu...”.

Liść, popychany wiatrem, zsunął się w końcu z wieka. Matylda powstrzymała się z całej siły, żeby nie podejść i go nie odszukać. Był taki piękny, złoto-czerwony, na pewno spodobałby się mamie.

Nie zdążyła, gdyż do trumny zbliżyli się już grabarze i chwycili za liny. Pierwsza została złożona do rodzinnego grobowca Wiktorii, tuż za nią, obok spoczął Antoni. Matylda skuliła się cała, słysząc głuchy odgłos, gdy wyciągano na powierzchnię liny. Miała ochotę krzyknąć, żeby tamci przestali, szarpnęła się w stronę grobu, ale nagle zalał ją dziwny spokój. Miała wrażenie, jakby z obu stron objęły ją czyjeś ciepłe ramiona i tuliły z miłością. Zamknęła oczy, poddając się temu uściskowi. Wolała nie patrzeć na otwarty jeszcze grobowiec.

Wiktorii wybudowała go kilkanaście lat temu, aby, zgodnie z obietnicą, pochować babcie Szczygłową w jednym grobie z córką. Wymagało to wprawdzie przeniesienia również szczątków Hanki do nowej, wymurowanej krypty, dzięki temu jednak znalazło się tam teraz miejsce dla obojga Boruckich.

Nad grobem przemawiali kolejno znajomi i przyjaciele Wiktorii. Łamącym się ze wzruszenia głosem przypominali jej zasługi, a przede wszystkim dobre serce i chęć niesienia pomocy każdemu potrzebującemu.

Pogrzeb powoli dobiegał końca. Kiedy ksiądz odszedł i grabarze zaczęli zasuwać płytę, rozległ się czysty, donośny dźwięk trąbki. Jeden z klientów apteki, muzyk z orkiestry kościelnej, odegrał przejmująco *Serdeczna matko*, ulubioną pieśń kościelną Wiktorii. Odbijające się w instrumentach

promienie bladego słońca tańczyły wokół niego jak złote ćmy.

Grabarze zakończyli swoją pracę, położyli na wierzchu zdjętą wcześniej marmurową płytę z rodzinnego grobu i zaczęli na nim układać wieńce oraz bukiety kwiatów.

Żałobnicy rozchodzili się powoli. Niektórzy z nich, kiedy już udało im się w końcu dopchać do Matyldy, żeby złożyć jej kondolencje, zatrzymywali się jeszcze w nadziei, że dziewczyna coś powie, rozpłacze się, da jakiś znak, że cierpi.

Przecież tak właśnie powinna się zachować na pogrzebie. Zrozpaczone wdowy, matki czy córki wyły, rwały włosy z głów, rzuciły się do świeżo wykopanego grobu, a Matylda stała nieruchoma jak posąg. Właściwie niewiele się różniła od otaczających ją pomników. Twarz miała przeraźliwie bladą; wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w podchodzących do niej ludzi. Nie odpowiadała na kondolencje, jakby nikogo nie słyszała. Zawahała się tylko przy zakonniku, którego już wcześniej zauważyła w pobliżu otwartego grobu. Kiedy teraz odezwał się do niej cichym głosem, miała wrażenie, że go skądś zna, chociaż zupełnie nie mogła sobie przypomnieć skąd. Wymizerowana, ascetyczna twarz nie była tak zupełnie obca, lecz przez dom Boruckich przewijało się wiele osób i Wiktoria nie potrafiła, nie umiała skojarzyć jej z nikim znajomym. Zakonnik zwrócił się do niej po imieniu, najwyraźniej musiał ją znać z dzieciństwa. Jemu jednemu podziękowała odruchowo.

– Chodź, Matysiu. – Zapłakana babcia Kasperkowa delikatnie ujęła ją pod ramię. – Wszyscy już na nas czekają.

Matylda ruszyła przed siebie sztywno jak mechaniczna zabawka. Z drugiej strony podtrzymał ją Julek, powierzwszy wujowi Stefanowi opiekę nad babcią Michalską. Za nimi szła ciocia Zosia z dziećmi. Czekające pod cementarzem czarne dorożki zawiozły ich wszy stłuch na Grodzką, gdzie podczas stypy mieli wspominać drogich zmarłych.

Matylda obawiała się, że wtedy już na pewno pęknie jej serce.

Kiedy wszyscy żałobnicy już się rozeszli, do przykrytego kwiatami grobu podszedł stojący wcześniej w tłumie zakonnik, jakby dopiero teraz chciał się pożegnać ze zmarłymi, wolny od ludzkich spojrzeń. Odruchowo poprawił zsuwający się wieniec, a następnie ukląkł i ukrył twarz w dłoniach. Trudno było orzec, czy płacze, czy też po prostu się modli.

Następnego dnia rano Matylda zastała w kuchni babcię Kasperkową, która zmywała naczynia po stypie. Staruszka nie pozwoliła nikomu zebrać resztek jedzenia z poprzedniego wieczoru, gdyż według wierzeń ludowych jedzenie powinno zostać na noc, ponieważ właśnie wtedy miały się nim posilać duchy zmarłych.

– I co, babciu, był ktoś w nocy? Pojadł sobie? – spytała z bladym uśmiechem Matylda.

Dawno miała już za sobą fascynację pogrzebami i wiarę w związane z nimi przesady. Poza tym czuła się zmęczona i wyczerpana z wszelkich emocji. Poprzedniego dnia, podczas stypy, wypłakała wreszcie cały swój ból. Zwłaszcza przy wspomnianiu powiedzonek i obyczajów matki. Teraz dopiero dotarło do niej, że już nigdy nie zobaczy uśmiechu mamy, nie usłyszy lekkiej ironii

i drobnych złośliwości, jakimi Wiktoria okraszała niektóre informacje wyczytane w codziennej prasie. Jej uwagi zawsze były trafne. Matylda uwielbiała te wspólne chwile podczas posiłków. W ciągu dnia matka była zbyt zajęta, nie miała czasu na takie rozmowy. Dziewczyna podziwiała jej mądrość i oczytanie, uważała, że ona sama jest dużo mniej inteligentna i błyskotliwa. Teraz czuła tylko złość i sprzeciw wobec losu i „wyroków boskich”, jakśmierć mamy określiła babcia.

Zuzanna Kasperkowa spojrzała na nią surowo, nie przerywając zmywania.

– Nie żartuj z tego, drogie dziecko, nie kłuj. Sama w to wszystko kiedyś wierzyłaś, nie pamiętasz? Poza tym naprawdę ktoś tu był. – Zniżyła głos. – Zniknęła niemal cała galaretką z nóżek, którą twoja mama tak bardzo lubiła.

I wuj Stefan również, zauważyła w myślach Matylda, ale nie powiedziała tego głośno. Nie miała teraz siły na dyskusje o kwestiach nadprzyrodzonych.

– Babciu – zaczęła powoli i z namysłem – okazuje się, że nie wiem jeszcze o wielu sprawach związanych z życiem mamy, z moim życiem. Proszę, żeby mi babcia opowiedziała, co się wydarzyło, kiedy Filip wrócił z wojny. Ojciec zdążył mi opowiedzieć tylko niewielką część tej historii.

Kasperkowa wytarła zaczerwienione od gorącej wody ręce. Czystą ścierką osuszyła oczy i twarz z łez.

– Po co ci to, moje dziecko? To były sprawy twojej mamy i skoro ci o nich nie mówiła, widać uznała, że tak będzie lepiej.

– Podobno chciała, wiem to od taty. Chciała, tylko szukała właściwego momentu. Mieli mi o tym opowiedzieć oboje, ale... – głos jej się załamał na chwilę – ...ale już nie zdążyli zrobić tego razem. Trochę mi sam opowiedział, niestety, on też nie zdążył...

Matylda nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym płaczem.

Zuzanna objęła szlochającą dziewczynę i przytuliła, głaszcząc ją uspokajająco po włosach.

– Cicho, moje serduszek, cicho. Dobrze, skoro to dla ciebie takie ważne, opowiem ci, co tylko będziesz chciała. Siadaj, zrobimy śniadanie, a potem porozmawiamy przy herbacie. Zgoda?

Na tę rozmowę przeniosły się do pokoju Matyldy, gdzie było najprzytulniej. Do niedawna należał on do Wiktorii, a jeszcze wcześniej do jej matki, Klementyny. Do jednej z matek.

Wuj Stefan z samego rana rozpałił w piecu, ponieważ w nocy załamała się pogoda, zrobiło się zimno i spadł pierwszy śnieg. Tak jakby słonecznie i ciepło miało być tylko podczas pogrzebu Boruckich.

Stary zegar na ścianie beznamytnie i obojętnie odmierzał kolejne minuty, teraz już nie Wiktorii ani jak wcześniej jej matce, Klementynie, tylko kolejnej kobiecie z rodu, Matyldzie. Każde jego „tik-tak” oznaczało koniec jakiegoś etapu w życiu.

– Co wiesz, Matysiu? Nie mam pojęcia, od czego zacząć. – Babcia Zuzanna usadowiła się wygodnie w fotelu przy piecu. Gładkie kafelki w niebieskie wzory promieniowały błogim ciepłem.

– Proszę, niech babcia zacznie od powrotu Filipa z wojny. Chcę wiedzieć, dlaczego przyjechał do mamy, skoro miał żonę i dziecko i wcześniej nie zamierzał wracać do Krakowa.

– Mama i Antoni, ojciec, który cię wychowywał, właśnie zamierzali się pobrać – zaczęła

Zuzanna cichym głosem. – Wszystko było już przygotowane, suknia, zapowiedzi w kościele, aż tu nagle pojawił się syn Michalskich. Stał w progu, bez ręki, z poranioną twarzą. Czuł się przegrany i liczył na dobre serce Wiktorii.

– A co z jego rodziną we Francji?

– Żona podobno odeszła, zabierając dziecko. Myślę, że nigdy go nie kochała, ich małżeństwo to był tylko czysty interes, pomysł jej ojca. Ale i on nie potrzebował takiego współnika. Bo co to za chirurg bez ręki! We Francji Filip nie miał więc do kogo wracać, toteż przyjechał tutaj, bo myślał, że zostanie przyjęty z otwartymi ramionami.

– A tu cudze dziecko i planowany ślub z innym...

– Tak Tego się nie spodziewał, pewnie sobie wyobrażał, że twoja mama będzie na niego wiernie czekała przez całe życie! – Kasperkowej trudno było ukryć sarkazm w głosie.

– Przecież miał rodziców, dziadek jeszcze wtedy żył. Dlaczego ten Filip nie pojechał prosto do Mogiły?

– Kochanie, tego nie wiem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zapytasz jego samego. Ja wiem tylko tyle, ile udało mi się zauważyć. Mama niechętnie o nim później mówiła.

– To on żyje? – zdziwiła się Matylda. – Nie widziałam go nigdy w Mogiły u dziadków.

– Żyje. Nawet był na pogrzebie, składał ci kondolencje.

– Babciu. – Matylda westchnęła, nie mogąc ukryć irytacji. – Mogłaby babcia być mniej tajemnicza? Tyle osób składało mi kondolencje, zupełnie ich nie pamiętam. Dla mnie wszyscy ci ludzie wyglądali tak samo, skąd miałabym wiedzieć, który z nich to Filip?

– To prawda – przyznała staruszka. – Od razu go rozpoznałam, więc myślałam, że ty też. Ale przecież byłaś jeszcze małym dzieckiem, kiedy mama wyrzuciła go z domu. To był ten zakonnik, Matysiu – dodała szybko, widząc zniecierpliwienie dziewczyny.

– Wstąpił do zakonu? Cholera, smutne...

W piecu coś trzasnęło, przez uchylone drzwiczki widać było deszcz opadających iskier do popielnika. Za szybą wirowały kłęby śniegu.

– Sypie śnieg. – Matylda uśmiechnęła się ze smutkiem. – Mama tak bardzo go lubiła, wypatrywała zawsze pierwszych płatków w powietrzu.

Kasperkowa wyjęła z rękawa swetra chustkę do nosa i otarła napływające do oczu łzy. Przez chwilę w milczeniu popijała stygnącą herbatę, jakby się obawiała, że głos ją zawiedzie.

– Wiem tylko tyle, że po powrocie Filipa Antoni wyprowadził się do swojego mieszkania przy Szpitalnej. I czekał, biedak Czeakał, aż Wiktoria w końcu wybierze jednego z nich.

Matylda pamiętała wizyty w sklepie ojca. Chodziły tam często razem z mamą. Dziewczynka nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ukochany tatko nie mieszka razem z nimi zamiast tego straszego pana, który przeganiał ją, ilekroć stanęła mu na drodze. Mama też miała zawsze zaczerwienione oczy po takiej wizycie.

– To już nie był ten Filip, w którym twoja mama kiedyś się zakochała. – Babcia Zuzanna podjęła swoją opowieść. – Stał się zgorzkniałym, nerwowym człowiekiem. Miewał koszmarny nocne, pamiętam, jak nieraz budził cały dom swoim krzykiem. Biedak, musiał widzieć straszne rzeczy na tej wojnie.

– Pamiętam te krzyki. Bardzo się bałam i mama musiała mnie długo tulić, żebym się uspokoiła. Brała mnie wtedy do swojego łóżka, co było bardzo przyjemne. Nieraz wręcz czekałam, aż on znów zacznie krzyczeć, żebym mogła spać u mamy. – Matylda uśmiechnęła się do tych wspomnień.

– Biedaczka, długo znosiła cierpliwie zachowanie Filipa, póki nie zaczął być agresywny w stosunku do ciebie. Jednak pewnego dnia miarka się przebrała.

Głos Zuzanny stwardniał. Samo wspomnienie o tym, że dziecku jej ukochanej Wiktorii mogła się stać jakaś krzywda, sprawiło, że znów ogarnęła ją złość.

– Wróciła kiedyś wcześniej z apteki i przypadkiem usłyszała twój płacz i jego wrzaski. – Kasperkowa zacisnęła pięści, aż pobiełały jej kostki palców. – Ja również usłyszałam te hałasy i wybiegłam z kuchni, zderzyliśmy się niemal z twoją mamą w drzwiach jego pokoju. Nigdy nie zapomnę widoku małej, przerażonej dziewczynki wtulonej w kął między ścianą a szafą i stojącego nad nią potwora. Okładał cię książką po głowie, wrzeszcząc przy tym jak opętany.

– Nie pamiętam tego.

– No i dobrze, moje dziecko, że nie pamiętasz. Dobry Bóg wymazuje z naszych głów niektóre straszne wspomnienia. Inaczej wszyscy byśmy zwariowali.

– Ale po co do niego poszłam, skoro wiedziałam, że mnie nie lubi?

– Mówiłaś wtedy, że szukałaś swojego ukochanego misia. Podejrzywałaś, że on go więzi. Właśnie tak powiedziałaś, „więzi”.

– I co zrobiła wtedy mama?

– Spakowała go w ciągu godziny, zamówiła dorożkę na dworzec i kupiła bilet do Mogiły. Musiał wyjechać do rodziców. Natychmiast i bez możliwości powrotu.

– I nie protestował, nie próbował jej przeproszać?

– Nie. Sam chyba czuł, że już nie uda mu się wybłagać przebaczenia.

– Mój Boże! – Matylda przyłożyła dłoń do ust. – Biedna mama, zrezygnowała ze swojej miłości dla mnie?

– Ty byłaś jej największą miłością, Matysiu. Dla ciebie gotowa była poświęcić wszystko. Tylko nie umiała tej miłości okazać. Niestety, nie miał jej kto tego nauczyć, przecież była wychowywana tylko przez ojca, który jej nie kochał. Bez matki.

Matylda miała wrażenie, że zaraz serce pęknie jej z żalu. Czemu nie wiedziała tego wszystkiego wcześniej? Czemu ona też nie potrafiła okazać mamie miłości? Dlaczego na wszystko było już za późno?

– Nie wyrzucaj sobie niczego, kochanie. – Babcia natychmiast odgadła jej myśli. – Mama wiedziała, jak bardzo ją kochasz, rozumiała, że ty też nie potrafisz tego okazać. Byłyście bardzo do siebie podobne pod tym względem.

– A co się stało potem z Filipem?

– To wszystko, co wiem, Matysiu. O resztę musisz go zapytać sama. Z tego, co pamiętam, wstąpił do zakonu bonifratrów.

ROZDZIAŁ 6

Po rozmowie z babcią Matylda postanowiła jak najszybciej porozmawiać z Filipem. Nie lubiła niczego odkładać na później, więc zaraz następnego dnia pobiegła na Krakowską do klasztoru.

– Brat Paweł pełni teraz posługę w szpitalu – oznajmił niemłody już zakonnik w czarnym habicie. – Proszę tam podejść, to tuż obok.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. A więc tak właśnie będzie wyglądał Filip, który w zakonie przyjął imię Paweł? Zakonnik miał na sobie czarną tunikę, tego samego koloru szkaplerz z kapturem – odwróciła się nieznacznie – a z boku widoczny był skórzany pasek Krzyża nie zauważyła, pewnie wisiał pod szkaplerzem. Podziękowała i ruszyła w stronę szpitala.

W pierwszej chwili, po przekroczeniu drzwi ozdobionych witrażowymi szybami, miała ochotę się cofnąć i z trudem opanowała ten odruch. Specyficzny zapach, typowy dla takich miejsc, zbyt mocno przypominał niedawną tragedię. Czekający na pomoc lub odwiedzający chorych również wydawali się tacy sami jak w tamtym szpitalu. Cierpienie na twarzach ludzi sprawia, że stają się podobni do siebie, jak gdyby należeli do tego samego tajemnego stowarzyszenia. Jednakowo pochylają głowy, tak samo kulą ramiona, ten sam smutek widnieje na ich twarzach. I kiedy wysłuchują relacji zaczeplonych na korytarzu lekarzy, w ich oczach pojawia się ten sam błagalny błysk nadziei.

W sali chorych Matylda zastała zakonnika w białym habicie, pochylonego nad łóżkiem jakiegoś starszego mężczyzny. Nie chcąc przeszkadzać, zatrzymała się cicho w drzwiach, czekając, aż mnich sam ją zauważy.

To chyba nie on, pomyślała lekko zawiedziona. Bonifratrzy noszą czarne habit, ten tutaj musi być z jakiegoś innego zakonu. Ale mógłby chociaż pomóc mi odnaleźć Filipa w szpitalu.

Zakonnik odwrócił się w końcu i spojrzał na nią pytająco. Zmarszczył brwi, jakby widok pięknej, rudowłosej dziewczyny o niebieskich oczach kogoś mu przypominał.

– Pani w odwiedziny do pacjenta? – spytał cicho.

Paskudna blizna, przecinająca jego policzek i brak lewej ręki upewniły Matyldę, że jednak ma przed sobą Filipa.

– Ja... – zaczęła niepewnie – ...ja do brata Pawła. To znaczy do Filipa Michalskiego...

Filipowi zdumienie na chwilę odebrało mowę, zaraz jednak ochłonął. Dziewczyna wyglądała inaczej niż na pogrzebie, dlatego z początku jej nie rozpoznał.

– Matysia?... To znaczy panna Matylda Bernat? – spytał lekko drżącym z emocji głosem.

– Matylda Borucka – poprawiła go.

– Co cię... co panią do mnie sprowadza?

Filip nie bardzo wiedział, jak ma się zwracać do przybyłej. Znał ją jako małe dziecko, teraz była dorosła. Nie wypadało mu już zwracać się do niej po imieniu. Zresztą nawet nie miał do tego prawa. Wiedział o tym doskonale.

– Chciałabym porozmawiać o mamie. Pan, to znaczy brat znał ją chyba najdłużej. Waszą historię słyszałam tylko od babci i ojca, siłą rzeczy więc jest niekompletna. Czy mogę zatem prosić o chwilę rozmowy?

– Tak, oczywiście. Proszę tylko poczekać, mam jeszcze kilku pacjentów, których muszę odwiedzić, potem usiądziemy sobie w kaplicy szpitalnej i spokojnie porozmawiamy.

Wyszedł z sali, zostawiając Matyldę sam na sam z chorymi. Stała zakłopotana, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Nie znała nikogo z leżących tu ludzi.

– Pani zna brata Pawła? – Niezręczną ciszę przerwał staruszek, od którego odszedł właśnie zakonnik – To anioł nie człowiek. Ma tylko jedną rękę, ale ile w niej siły, nikt by się nawet nie spodziewał. Tak nią potrafi zrobić masaż, że każdy ból mija. Naciska jakieś specjalne miejsca, zupełnie nie tam, gdzie boli, a pomaga. Takie cuda, pani, takie cuda robi.

– To prawda – potwierdził inny mężczyzna o czerwonej twarzy. – A przy tym potrafi tak pięknie mówić, że całe smutki człowiekowi odchodzą precz. Prawdziwy święty.

– To bonifater? – spytała. – Myślałam, że oni chodzą w czarnych habitach.

– W czarnych na co dzień – pospieszył z wyjaśnieniami inny pacjent. – Do posługi przy chorych wkładają białe.

– Aha.

Widać było, że ci tutaj najbardziej potrzebują rozmowy i zainteresowania, więc niechętnie, ale została z nimi dłużej, niż zamierzała. Nie miała usposobienia matki, która litowała się nad każdym nieszczęściem i każdemu człowiekowi na świecie pragnęła pomóc. Ludzie chorzy wzbudzali w Matyldzie raczej niechęć i zniecierpliwienie, ale przemogła się i dała wciągnąć w rozmowę. Kiedy stamtąd wychodziła, czuła, że zrobiła coś dobrego. Było to dziwne, nieznanne jej dotąd, ale miłe doświadczenie.

Lekki półmrok i ciężki zapach kwiatów w szpitalnej kaplicy sprawił, że Matylda poczuła się spokojna i odprężona. Nawet nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak bardzo była zdenerwowana przed spotkaniem z Filipem. Układała w myślach przeróżne plany tej rozmowy, wyobrażając sobie jego zachowanie, tymczasem wszystko wyglądało inaczej. Filip sprawił na niej wrażenie człowieka wyciszonego, zwyczajnego, a nawet wzbudzającego sympatię; mimo wcześniejszych obaw nie odnalazła w nim „potwora”, którego tak się bała w dzieciństwie.

Na wychyszczzonej do połysku posadzce zatańczył krótki błysk światła, gdy otworzyły się drzwi do kaplicy. Do środka wszedł Filip, przykląkł na jedno kolano, przeżegnał się i podszedł do

ławki, w której siedziała Matylda. Chwilę stał niezdecydowany, w końcu usiadł, zachowując należytą odległość od dziewczyny, ale tak, żeby mogli się nawzajem słyszeć.

– Proszę pytać – powiedział półgłosem. – Jestem do dyspozycji.

Do kaplicy zajrzała jakaś starsza kobieta, ale widząc zakonnika i dziewczynę, wycofała się dyskretnie.

– Pewnie pomyślała, że się panu spowiadam. – Matylda uśmiechnęła się nerwowo. Zupełnie nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę, chociaż szykowała się do niej od dłuższego już czasu. Wszystkie wymyślone wcześniej pytania nagle uleciały, miała pustkę w głowie.

– Całkiem możliwe. – Filip wyczuł zdenerwowanie dziewczyny i starał się wprowadzić atmosferę swobodnej rozmowy. – Nie wszyscy wiedzą, że w naszym zakonie święcenia kapłańskie nie są wymagane. Ale dzięki tej niewiedzy możemy spokojnie porozmawiać. – W jego oczach zapaliły się wesołe błyski.

Nieoczekiwanie dla samej siebie Matylda poczuła do niego coś w rodzaju sympatii. Mężczyzna, w którym przed laty zakochała się matka, nie mógł być przecież złym człowiekiem. Te niesamowicie zielone oczy pewnie spoglądały kiedyś na Wiktorię z miłością. Ale potem wpatrywały się z niechęcią w małą Matyldę... Znowu poczuła złość.

– Dlaczego uciekł pan od mamy?

Jeśli jeszcze chwilę wcześniej Filip miał wrażenie, że nawiązała się między nimi jakaś nić sympatii, teraz wyraźnie czuł niechęć dziewczyny.

– To pytanie sam sobie zadaję od lat i nie potrafię znaleźć odpowiedzi – wyznał cicho.

Przez chwilę milczał, jakby szukając właściwych słów. Widać było, że rozmawia na ten temat po raz pierwszy od wielu lat.

– Błędy młodości. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Zamiast starać się wyjaśnić sprawę, uciekłem do Paryża. Nie miałem tyle uporu i wiary, co pani mama. To ona w końcu odkryła prawdę, ona wyruszyła w podróż, by mnie odszukać i podzielić się tą nowiną, a ja... A ja zdążyłem zapomnieć i związałem się już z inną kobietą. Tyle warta była moja miłość...

– Złamał jej pan serce. – Matylda spojrzała na niego oskarżycielsko.

– Wiem. Wiem i muszę żyć z tą świadomością. Wiktoria przy najmniej w końcu znalazła swoje szczęście, mnie się nie udało – dodał z goryczą. – Dopiero teraz czuję, że jestem na właściwym miejscu.

– Jaka była w młodości?

Filip uśmiechnął się na samo wspomnienie.

– Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Dzielną i upartą, a jednocześnie tak kruchą, że człowiek od razu miał ochotę otoczyć ją opieką, bronić od złego. W takich zresztą okolicznościach się poznaliśmy. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

Drzwi od kaplicy zaskrzyptały i znów ktoś zrezygnował z wejścia do środka.

– Mam wyrzuty sumienia, że przeszkadzamy pacjentom w modlitwie, ale to jedyne miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać. – Brat Paweł westchnął głęboko.

– Mogą się pomodlić w kółku – mruknęła Matylda. – Stamtąd Bóg też ich wysłucha. Proszę opowiadać dalej.

Zakonnik nie skomentował jej słów. Wydawał się całkowicie pogrążony we wspomnieniach.

– To było na początku października, w święto Matki Boskiej Różańcowej. Pani mama poszła wieczorem pod kościół, żeby oglądać pokaz sztucznych ogni po procesji. Była tylko

ze Stefankiem, kiedy zaczęło ich kilku wyrostków, chcących się zabawić z dziewczyną i jej upośledzonym bratem.

– Obronił ich pan? – Matylda poruszyła się niespokojnie na twardej ławce.

– Oczywiście. – Filip skinął głową. – Ale to nie był żaden bohaterski wyczyn. Byłem od nich starszy i silniejszy, przestraszyli się mojego tupania. Odprowadziłem mamę i Stefankę pod sam dom. I tak to się zaczęło. Mieliśmy wspólne plany na dalsze życie, studia oraz wspólną pracę po ukończeniu nauki. I wtedy...

– I wtedy dziadek powiedział, że pan jest jego synem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Wie pani o tym?

– Wiem od ojca i babci Zuzanny. Nie od mamy, bo niewiele opowiadała o sobie. Zwłaszcza mnie. – Z trudem udało jej się ukryć żal w głosie.

– Uwierzyłem, nawet nie próbując wyjaśniać tej sprawy. Zrezygnowałem ze studiów na uniwersytecie, zerwałem wszelkie kontakty z pani mamą i swoimi rodzicami i wkrótce wyjechałem do Paryża. Tam skończyłem studia, zacząłem pracę w szpitalu i ożeniłem się z córką profesora, który pomagał mi w karierze.

– Jestem w stanie zrozumieć pańskie zachowanie, w końcu to był szok, ale dlaczego zerwał pan z własnymi rodzicami?

– Oskarżałem matkę o jej kontakty z Bernatem, o zdradę ojca, o wszystko, co w konsekwencji na mnie spadło. A ojca, że pewnie o tym wiedział i godził się na wszystko. Co do ojca, żałuję teraz, że nie mogę go błagać o przebaczenie, lecz na to już za późno. Jeden błąd, popełniony z głupoty, odmienił życie tylu osób...

– Co pan czuł, kiedy zobaczył mamę w Paryżu?

– Co czułem? – Potarł bezradnym ruchem czoło. – Niedowierzenie, szok i rozpacz.

– Rozpacz?

– Tak, bo uświadomiłem sobie, jak bardzo nadal ją kocham i że przyjechała za późno. Miałem przecież żonę. Jak na ironię losu, wzięliśmy ślub, gdy Wiktoria była już w Paryżu. Minęliśmy się o krok.

– Biedna mama. – Matylda poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Byłem gotów rozwieść się z żoną, nie kochałem jej, ten ślub był pomysłem teścia, ale... – przerwał na chwilę na zacerpnięcie tchu – ...ale okazało się, że ona spodziewa się naszego dziecka. Nie mogłem, nie miałem już prawa.

Filip opowiadał dalej monotonnym tonem. O ich pełnym bólu rozstaniu, po którym tysiące razy chciał zmienić zdanie, jednak ambicja mu na to nie pozwalała. Kiedy w końcu pojawił się raz jeszcze w pracowni Ivonne, okazało się, że Wiktoria wróciła już do Polski.

– Nie wiedziałem wtedy o jej brzemiennym w skutki spotkaniu z Pascalem.

– Brzemiennym... – Matylda uśmiechnęła się sarkastycznie. – Piękne i jakże pasujące do sytuacji określenie. Czyli o moim istnieniu dowiedział się pan dopiero po powrocie z wojny?

– Tak – przyznał. – I to był dla mnie największy szok. Miałem nadzieję, że w końcu będziemy razem, że nic nam już nie przeszkodzi. Wydawało mi się, że nareszcie los się do mnie uśmiechnął, mimo że zostałem kaleką, a nowa rodzina mnie odrzuciła. A tu nagle dziecko innego mężczyzny... Proszę mi wybaczyć, ale nie umiałem się z tym pogodzić, byłem zbyt rozżalony na cały świat.

Opowiedział o ostatniej dla niego bitwie, kiedy to wybuch granatu pozbawił go lewej ręki

i okaleczył twarz.

– I to był koniec wszystkiego. Koniec żołnierza, koniec lekarza chirurga, koniec zięcia profesora i męża jego córki. Kaleka nie był nikomu potrzebny...

– Więc postanowił pan wrócić do mojej mamy i zrujnować jej życie?

– To okrutne, co pani mówi. – Filip spojrział na nią z bólem.

– Ale prawdziwe. Myślał pan tylko o sobie, nie zastanawiając się nad tym, że może zrujnować czyjeś szczęście. Mama miała już kogoś, wyznaczony był termin ślubu. Miała też mnie... – Głos jej się załamał.

Filip w milczeniu zwiesił głowę. Słowa Matyldy sprawiły mu ból, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

– Znienawidził mnie pan, prześladował na każdym kroku. Teraz wszystko sobie przypominam, jakby to było wczoraj. – Rozpląkała się nagle.

Zniknęła gdzieś sztywna i chłodna dziewczyna, wypytyująca brata Pawła jak obojętna dziennikarka przeprowadzająca wywiad, w jej miejsce pojawiła się wciąż skrzywdzona młoda kobieta, niemal dziecko.

– Na szczęście Wiktoria w porę zareagowała – przyznał cicho, nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy. – Chyba nigdy sobie tego nie wybaczę, nie mam też prawa prosić o wybaczenie.

Zza okna dobiegł dźwięk dzwonu kościelnego. Brat Paweł przetarł twarz dłońmi.

– Przepraszam, ale muszę wracać do chorych. Jeśli jest jeszcze coś, o czym chciałaby pani ze mną porozmawiać, możemy się umówić na inny dzień.

Matylda opanowała się szybko. Dyskretnym ruchem otarła łzy.

– A teraz jest pan szczęśliwy? – spytała nieoczekiwanie.

– Chyba tak – odparł po chwili zastanowienia. – Życie w zakonie nauczyło mnie szacunku i miłości do innych. Pozwoliło zapomnieć o sobie i o tym, co było wcześniej. Nie potrafię tylko zapomnieć o Wiktorii, pani matce.

Matylda wstała z ławki i podała mu dłoń na pożegnanie. Znowu była sztywna i obca.

– Dziękuję za rozmowę. Wiem już wszystko, co chciałam wiedzieć.

– To ja dziękuję za wysłuchanie mojej opowieści. – Filip odwzajemnił jej uścisk – Pacjenci, którzy tu do nas zagłądali, mieli rację – to była spowiedź. Tyle tylko, że nie ja byłem spowiednikiem. Nie wiem, czy mogę liczyć na rozgrzeszenie...

W zielonych oczach Filipa pojawiła się nadzieja, jednak w zderzeniu z chłodnym spojrzeniem Matyldy stopniowo zaczęła gasnąć.

Dziewczyna wzruszyła obojętnie ramionami.

– Nie czuję już do pana żalu, jeśli o to chodzi. Co do rozgrzeszenia natomiast, nie wiem nawet, czy mam prawo go udzielić. Z tym już sam pan musi sobie poradzić.

Rozmowa z Filipem nie poprawiła nastroju Matyldy. Przyzwyczajona do przesadnego

wyrażania swoich emocji na scenie, dziewczyna pogrążyła się w coraz większej żalobie.

Babcia Kasperkówna żałowała teraz, że namówiła ją na wizytę u bonifratrów. Sądziła, że to pomoże, w końcu Matylda chciała dowiedzieć się wszystkiego, co tylko się dało, na temat matki, jednak skutek był wręcz odwrotny. Dziewczyna zamknęła się w swoim pokoju i nikomu nie pozwalała tam wchodzić. Opuszczała go tylko na posiłki, a i to nie zawsze.

– Dziecko – babcia Zuzanna postanowiła w końcu być stanowcza – rozumiem twój ból, ale nie możesz tak się odsuwać od życia. Mama miałaby ci to za złe. Musisz coś robić, pozbieraj się w końcu, rozejrzyj za jakąś pracą. Ty siedzisz w swoim pokoju, Stefanek w swoim, mam już tego dość.

– A czym powinnam się zająć, babciu? – Matylda obojętnie wzruszyła ramionami. – Nic nie muszę robić, jestem przecież bogata. Nie muszę pracować.

Po otwarciu testamentów obojga rodziców okazało się, że Matylda otrzymała w spadku nie tylko aptekę, sklep i mieszkanie Antoniego, ale i sporą sumę pieniędzy. Aptekę odziedziczyła wprawdzie wspólnie z Joasią, córką babci Kasperkówny, ponieważ sama nie miała dostatecznego wykształcenia, żeby prowadzić dalej rodzinny interes, ale nawet jako współwłaścicielka zyskiwała dużo, wazywszy na fakt, że apteka przyносиła spore dochody.

– Zajmij się chociaż szukaniem kogoś do pomocy w aptecce, na miejsce mamy. Joasia sama nie podola, zwłaszcza teraz, kiedy weszło w życie to durnowate rozporządzenie dotyczące recept. Nie może jednocześnie sprzedawać leków i przepisywać odręcznie recept. Pomóż jej, jesteś przecież współwłaścicielką.

Zuzanna Kasperkówna z trudem ukrywała pretensję w głosie. Żal jej było Matyldy, lecz jeszcze bardziej martwiła się o własną córkę. Joasia ledwo dawała sobie radę w aptecce i nawet nie miała kiedy rozglądać się za nowym pracownikiem.

– Trzeba poszukać w ogłoszeniach. – Matylda nie wykazała większego zainteresowania tą kwestią. – Babcia tyle tych gazet kupuje, gdzieś coś się znajdzie. Albo trzeba dać ogłoszenie, że szukamy farmaceuty.

– „Gdzieś coś się znajdzie”, „trzeba dać” – powtórzyła rozszalona już nie na żarty Zuzanna. – To daj, do jasnej Anielki! Rusz w końcu ten tyłek z łóżka!

Matylda aż otworzyła usta w zdumieniu. Takiej babci jeszcze nigdy nie widziała ani nie słyszała. Przeklinająca Zuzanna Kasperkówna to było coś tak niezwykłego, że aż wstrząsnęło dziewczyną.

– No dobrze – odrzekła pojednawczym tonem. – Zajmę się tym natychmiast, obiecuję.

Rzeczywiście, od momentu wprowadzenia w życie rosyjskiego zwyczaju zatrzymywania oryginalnych recept w aptekach i wydawania zamiast tego odpisów w postaci chorągiewki przyklepionej na flaszce z lekiem wszystkim aptekarzom przybito pracy. Zdarzały się też pomyłki związane z błędnym przepisaniem składu leku z oryginału. Skarzyli się pacjenci i sami lekarze. Gdy zabrakło drugiego farmaceuty, Joasia zleciła owo przepisywanie pomocnikowi, lecz szybko musiała z tego zrezygnować. Chłopak błędnie przepisał kiedyś jedną z cyfr, co zupełnie zmieniło skład leku. Na szczęście był to środek, który nie wyrządził choremu żadnej szkody. Zmienił się tylko smak zżywanego od dawna syropu, co zaalarmowało klienta, który wrócił do apteki, prosząc o wyjaśnienie.

Od tej chwili Joasia sama przepisywała recepty, co znacznie wydłużyło czas oczekiwania w kolejce. Rosło też niezadowolenie klientów, którzy się odgrązali, że pójdą do konkurencji.

Zuzanna Kasperkówna miała kiepski nastrój także z innego powodu. Dzień wcześniej pojawił się u nich w domu inspektor spisowy w związku z powszechnym spisem ludności. Uświadomiło to staruszce, że nie można już spisać ani Wiktorii, ani Antoniego. To jakby ostatecznie wymazało oboje z życia. Oberwało się też przy okazji Bogu ducha winnemu inspektorowi, kiedy przystąpił do spisowania danych Zuzanny.

– Widział to kto, żeby dobrze wychowany mężczyzna pytał kobietę o wiek? Wstydziłby się pan.

Ale prawdą było też, że babcia Kasperkówna po prostu nie bardzo pamiętała w tamtym momencie, ile ma lat. Od dłuższego już czasu, jeszcze za życia Wiktorii, zdarzało jej się zapominać coraz więcej rzeczy. Lepiej pamiętała wydarzenia sprzed lat niż te, które nastąpiły kilka godzin temu. Najbardziej myliły jej się daty, zapominała, gdzie co położyła, szła gdzieś i po chwili nie była pewna po co i gdzie. Nie przyznawała się do tego nikomu, wstyd jej było, że nagle zaczęła się tak starzeć.

Udawała, iż nie zauważa zaniepokojonego wzroku Wiktorii, a teraz, po jej śmierci, nie musiała się już tak bardzo ukrywać. Matylda zdawała się niczego nie podejrzewać. A jeśli nawet, to obie pokrywały to śmiechem i składały na karb rozstargnienia.

Matylda zorientowała się, że swoim zachowaniem tylko dokłada kłopotów babci. Zsunęła się niechętnie z łóżka, poprawiając niezdarnymi ruchami rozczochrane włosy.

– I jeszcze jak strach na wróble wygląda – sapała nadal rozszłoszczona Kasperkówna.

– Dobrze już, dobrze, babciu. – Matylda uśmiechnęła się do niej pojednawczo. – Powiedziałam, że się tym zajmę, to tak zrobię. Najpierw jednak przydałaby mi się kąpiel.

– Oj, przydałaby się, przydała... – Złość babci topniała jak pierwszy śnieg. – Zaraz ci nagotuję wody w garze i poprosimy Stefanka, żeby nam ściągnął wannę ze strychu.

Stefanek od czasu pogrzebu ukochanej siostry nie odzywał się niemal do nikogo w domu. Znikał na całe godziny w swoim pokoju, gdzie zapamiętale strugał coś w drewnie. Gdyby nie Kasperkówna, nawet pewnie by nie jadł. Wychodził z pokoju tylko na czas posiłków i przemykał cicho pod ścianami korytarza. Zagadnięty przez domowników, odpowiadał niechętnie, mrużąc coś pod nosem. Nawet Matylda nie potrafiła go rozruszać. Zresztą nigdy nie umiał jej pokochać, gdyż za mało przypominała swoją matkę. Lubił ją zaledwie, ale tylko dlatego, żeby nie sprawiać przykrości Wiktorii.

– Gdyby nie szła na to głupie przedstawienie, toby jej nie zabili – wyrzucił z siebie któregoś dnia podczas niedzielnego obiadu.

Matylda skuliła się po tych słowach jak od uderzenia batem. Ona też miała to sobie za złe. To przecież na jej usilne prośby matka wybrała się wtedy, po raz pierwszy, na występ córki.

Po kąpeli Matylda, z mokrymi jeszcze włosami, usiadła przy stole w kuchni. Dopiero teraz poczuła, że chce jej się jeść. Rzuciła się na jedzenie, jakby umierała z głodu, co zresztą częściowo było prawdą.

– Zdecydowałam już, co będę dalej robić – zaczęła mówić z pełnymi ustami.

Kasperkowa z przyzwyczajenia chciała ją upomnieć, w porę się jednak powstrzymała. Nie czas na strofowanie, kiedy wnuczka zdawała się wracać do świata żywych.

– No i co wymyśliłaś w tej swojej samotni?

Matylda uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi.

CZĘŚĆ II



ROZDZIAŁ 1

KRAKÓW, MARZEC 1933

A wiesz, kochana, że chyba trafił mi się w końcu tajemniczy wielbiciel?

- Nie żartuj...
- Nie żartuję.
- Opowiadaj natychmiast!
- Zamówmy coś wreszcie.

Dwie piękne młode kobiety chichotały przy kawiarnianym stoliku, zwracając na siebie uwagę innych gości. Zgorszenie było tym większe, że paliły papierosy. Wprawdzie w długich, eleganckich lufkach, ale ta moda na dobre jeszcze się nie przyjęła w Krakowie. Na domiar złego jedna z nich, ubrana jak z żurnala blondynka, założyła nogę na nogę, pokazując przy tym niemal całą łydkę, obciążniętą matową pończoszką ze strzałą.

Druga, rudowłosa, wyglądała wprawdzie skromniej, jednak sposób, w jaki się zachowywała, zupełnie nie pasował do przyzwoitej panienki. Gdyby nie długie włosy, można by pomyśleć, że to jakaś chłopczyca. Zgorszeni klienci porządnego lokalu, czyli kawiarni Noworońskiego pod Sukiennicami, doszli do wniosku, że muszą to być kokoty albo, w najlepszym razie, aktoreczki.

– Wyobraź sobie – powiedziała wyraźnie zadowolona Matylda, bo to właśnie ona była ową „chłopczycą” – przychodzi niemal na każde przedstawienie i wpatruje się we mnie z widowni jak sroka w gnat.

– A potem pojawia się z bukietem kwiatów w garderobie – domyśliła się ze śmiechem koleżanka.

– Otóż wcale nie. I to jest właśnie dziwne. Byłam niemal pewna, że tak będzie, lecz nic z tego. Przyznam, że mnie to trochę drażni.

- Może jakiś nieśmiały? Albo... gołodupiec.
- Ciii... – Rozbawiona Matylda przyłożyła palec do ust, widząc reakcję innych gości. – Ale

przyznaj, że to bardzo, bardzo romantyczne.

– I bardzo teatralne – uśmiechnęła się znacząco koleżanka.

Do stolika podszedł kelner z zamówioną wcześniej kawą, skupiły się więc na wrzucaniu kostek cukru do filiżanek.

Tego dnia Matylda wybrała się na zakupy do Sukiennic i tam, w podcieniach, dosłownie wpadła na Elizę, dawną koleżankę z teatru. Obie postanowiły uczcić to kawą u Noworolskiego.

Eliza wyglądała tak szykownie, że Matylda nie mogła wprost oderwać od niej wzroku. Spod pelerynki z czarnych karakulów, podbitej czarnym aksamitem, widać było elegancką, sięgającą połowy łydeksuknię z *crepe-marocaine*, zapiętą na rząd guziczków w formie kulek, obciągniętych tym samym materiałem. Te same guziczki były na rękawach do łokcia. Sukienka miała okrągły kołnierzyk w dwóch kolorach: białym i lila. Lakierowany pasek z perłową kłamrą, ciemny filcowy kapelusik wsunięty na krótkie blond włosy ułożone w modne fale i sznur pereł na szyi dopełniały całości. Do tego eleganckie prunelkowe pantofelki na niewysokim obcasie.

– No i co z tym wielbicielem? – Eliza ostrożnie upiła łyk kawy. – Przyznaj, że o nim myślisz, udajesz tylko, że cię drażni.

– No, może trochę. Wolałabym, żeby się w końcu ujawnił.

– Czyli znowu grasz? Słyszałam, że nagle zniknąłeś ze sceny. Opowiadał mi o tym ktoś z kolegów...

Matylda nie czuła się specjalnie zaskoczona, w plotkarskim Krakowie trudno było coś ukryć. A już zwłaszcza w ich środowisku.

– Tak – przyznała niechętnie. – Postanowiłam w końcu wrócić, jednak już nie do Słowackiego, to była jednorazowa przygoda. Zmieniła się dyrekcja i teraz przyjmują tylko profesjonalne aktorki. A ja, sama wiesz... Stary dyrektor przeniósł się do mniejszego teatru i gram tam teraz u niego. Nic wielkiego, ale przynajmniej mam zajęcie. Ta prawdziwa i największa rola chyba dopiero na mnie czeka...

– No i dobrze. – Eliza uśmiechnęła się, że nie zauważa rozgoryczenia w głosie koleżanki. Zapaliła kolejnego papierosa, zaciągając się nim z lubością. – A z tymi wielbicielami to lepiej uważaj. Zawsze może się trafić jakiś wariat albo morderca. Każda z nas jest na to narażona. Trochę się nasłuchiwałam o oszustach i handlarzach żywym towarem, którzy wykorzystują młode dziewczyny, żeby je potem sprzedać do domów publicznych.

– Możesz być spokojna. – Matylda nie dała po sobie poznać, że koleżanka sprawiła jej przykrość. Cholera, zakłęła w myślach, jakby tak trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby się nią zainteresować naprawdę! – Nie jestem taka naiwna, jak ci się wydaje. Poza tym tak długo by koło mnie chodził?

– No wiesz... – Eliza wypuściła kółko z dymu, zachwycając tym siedzących obok mężczyzn. – Może cię oglądać, sprawdzać, czy się nadajesz.

– A może to jakiś ksiądz? Albo milioner, tylko nieśmiały? – Matylda już nie kryła złości. – Myślisz, że tacy się nie zdarzają? Czytałam ostatnio o milionerze, Japończyku, właścicielu największej hodowli sztucznych pereł, który zaręczył się z Europejką.

– A ten twój wygląda na Japończyka?

– No, nie... nie wygląda. – Matylda nie wytrzymała i parsnęła śmiechem, gorsząc i tak już zgorszona kobiety w kącie. – Dobrze, zostawmy już tego mojego wielbiciela, kiedyś się przecież musi ujawnić. Opowiedz lepiej, co u ciebie. Wyglądasz jak gwiazda filmowa.

Eliza uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem.

– Zaczę od tego, że niedawno wyszłam za mąż.

– Jakiś bogaty książę? – Matylda przy mrużyła oko.

– Nie książę, ale równie bogaty producent filmowy. Poznałam go dwa lata temu w Berlinie. Teraz mieszkamy w Warszawie, gdzie mój mąż będzie kręcił swój najnowszy film dźwiękowy. Ze mną w roli głównej, ma się rozumieć.

– Ma się rozumieć – mruknęła Matylda. Lubiła Elizę, jednak nie mogła zapanować nad nagłym uczuciem zazdrości. Dlaczego jej nigdy się nie przytrafiło nic tak wyjątkowego?

Eliza wy czuła nastrój koleżanki i spojrzała na nią niepewnie.

– Co jest? Chyba mi nie zazdrościsz, co? To nie aż takie szczęście, jak by się wydawało. Inaczej wyobrażałam sobie nasze małżeństwo, ale... ale nie mówmy o tym. Powiem ci tylko, że mój pan mąż nie ma innego wyjścia i musi mnie zaangażować do tej roli. Jest ze mną związany na dobre i złe. – Zaśmiała się głośno.

Matylda wy czuła jakąś tajemnicę, ale nie miała odwagi spytać. Aż tak blisko ze sobą nigdy nie były, żeby chciały się sobie nawzajem zwierzać z sekretów.

– Nie przejmuj się moim gadaniem. – Tamta lekceważąco machnęła ręką. – Mam, co chciałam: bogatego męża, piękne stroje i karierę przed sobą. Czegóż jeszcze mogłabym żądać od losu?

– A co robiłaś w Berlinie? – Matylda zmieniła temat, czując, że rozmowa zaczyna zbaczać w niewygodnym kierunku.

Eliza z wyraźną ulgą rozparła się na wygodnej czerwonej kanapce i przez chwilę milczała, podziwiając wystrój wnętrza. Ściany sali, w której siedziały, wyłożone były białą boazerią, ponad nią i na suficie przyciągały wzrok namalowane kolorowe ptaki, podobne do pawie, trzymające złote pierścienie.

– Pięknie tu – westchnęła Eliza. – Tak rzadko by wam teraz w Krakowie. Warszawa też ładna, ale to jednak nie to samo. O co pytałaś? – wróciła do tematu. – A, o Berlin. Wyobraź sobie, że pojechałam tam, żeby spróbować swoich sił jako statystka w głośnym filmie *Kongres tańcy*.

– Naprawdę? – zdziwiła się Matylda. Nie widziała jeszcze wprawdzie tego filmu, ale wiele o nim słyszała. – Chyba jednak ci zazdrościsz.

– No to posłuchaj. – Eliza założyła nogę na nogę, znów pokazując przy tym zgrabną łydkę.

Matylda rozejrzała się odruchowo, czy aby nie ma w pobliżu babci Zuzanny, która surowo potępiała takie rozpasanie i zgorszenie. Nie dość, że cygaretki, to jeszcze „takie” pończochy na nogach.

„Jak u kokoty”, niemal słyszała słowa zgorszonej babci. Uśmiechnęła się rozbawiona. Trochę kręciło jej się w głowie od papierosa, dawno nie paliła.

– Dostałam propozycję wyjazdu do Neubabelsberg pod Berlinem, żeby na własne oczy zobaczyć Hollywood Europy i statystować w filmie. Nie zastanawiałam się ani chwili.

– Ja też bym się chyba nie zastanawiała – przyznała Matylda.

– Trzeba było stawić się tam na ósmą rano, więc wyjechaliśmy z Krakowa poprzedniego dnia wieczorem. Pociąg przepełniony, bo każdy chciał przeżyć przygodę życia, no i zarobić

piętnaście marek. Jechali bezrobotni aktorzy, studenci, przekupki, matki małych dzieci. Każdy miał nadzieję, że dostanie jakąś rolę albo zarobi chociaż za dzień statystowania.

– Brali każdego?

– Nie, co ty. Musieliby zatrudnić tysiące statystów, bo chyba tyle osób tam się wybrało. Gdyby nie to, że miałam poparcie mojego przyszłego męża, też nie wiadomo, czybym się dostała. Tam go właśnie poznałam, niemal na planie filmowym.

Matylda słuchała tej opowieści jak bajki. Tak właśnie wyglądał wielki świat, tak wyglądała wielka kariera, o której od dziecka marzyła. Tymczasem w jej życiu wszystko jakoś się rozmyło, utonęło w szarości. Poczła tęsknotę za czymś, co prawdopodobnie nigdy już nie będzie jej dane.

– Kiedy wysiedliśmy z pociągu – kontynuowała tymczasem Eliza – okazało się, że od stacji trzeba jeszcze iść z kwadrans przez pola i lasy. Po drodze mijały nas automobile z gwiazdami i gwiazdeczkami, roześmiane towarzystwo, pewne siebie, a my już na początku byliśmy zmęczeni i zziębnięci. Na miejscu okazało się, że nie wpuszczają każdego, tylko wywołują zgłoszone wcześniej nazwiska. Wzięli tyśiąc osób, reszta musiała odejść z kwitkiem.

– No to jak wywołano twoje?

– Kiedy się zorientowałam, że na próżno odbyłam tę podróż, usiadłam na sterwie kamieni i rozplakałam się z bezsilności. Wtedy podszedł do mnie dystyngowany mężczyzna w średnim wieku, przystojny, ze szpakowatym wąsikiem, i zapytał, czemu płaczę. I czy naprawdę zależy mi na wejściu do tej wytwórni. Zależało, więc mnie zgłosił.

– I to był twój przyszły mąż? – domyśliła się Matylda.

– Tak. Mówił potem, że żał mu się mnie zrobiło, bo wyglądałam tak pięknie, płacząc na tych kamieniach, aż miał ochotę to sfilmować. Uznał, że powinnam spróbować swoich sił w filmie.

– I niczego w zamian nie żądał?...

– Ależ tak, moja ty naiwna przyjaciółko. Liczyłam się z tym, nie będę udawać świętoszki, ale jego propozycja mnie zaskoczyła.

Matylda uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Poprosił mnie o rękę.

– No to chyba o niczym więcej nie mogłaś marzyć! Co cię tak zaskoczyło?

– Po pierwsze, to, że tak szybko się oświadczył, po drugie...

– Po drugie... – ponagliła ją Matylda.

– Po drugie, wyjaśnił mi, na czym nasze „małżeństwo” ma polegać. Wybacz, trudno mi o tym mówić. – Eliza odwróciła wzrok.

Po jej zachowaniu widać było, że już żałuje tej chwili szczerości.

– No nie, mów dalej, bo cię uduszę! – Matylda aż podskoczyła na fotelu. – Muszę wiedzieć!

– Uwierz mi, wolałabyś nie wiedzieć. Może innym razem, teraz nie jestem jeszcze gotowa na takie rozmowy.

– Jak chcesz. – Zawiedziona Matylda wruszyła ramionami. – Ale to wszystko tak bajkowo wygląda, że chciałabym znać szczegóły. W porządku, nie będę naciskać. Opowiadaj, co dalej z tym filmem.

Koleżanka spojrzała na nią z wdzięcznością. Zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce, wystukała lufkę o jej brzeg i schowała do torebki. Po chwili uniosła do ust widelczyk z kawałkiem ciastka, przez chwilę delektowała się smakiem, następnie z wdziękiem otarła usta chusteczką i wróciła do opowiadania.

– Zatem dostałam się do środka, skierowano mnie do garderoby, gdzie dano mi jakiś wątpliwej świeżości kostium z epoki. Mieliśmy grać mieszkańców Wiednia z roku tysiąc osiemset piętnastego. Mój kostium, dopasowany na miejscu przez krawcową, i tak był w biuście za mały, a w dekolcie za duży. Ale nie miałam nic do powiedzenia, bo zaraz zabrała się za mnie fryzjerka, przyczepiła mi lokizki do kapelusza, a moje własne włosy schowała pod spód. Dokleili mi jeszcze sztuczne rzęsy. Czulałam się jak manekin, który wszyscy potracają i przerzucają z rąk do rąk.

– Coraz mniej mi się to podoba – mruknęła Matylda. – Myślałam, że to wszystko inaczej wygląda.

– Ja też miałam inne wyobrażenie, zresztą podobnie jak setki innych dziewcząt. Czulałam się zawiedziona, ale już nie było wyjścia. Zaraz wezwali wszystkich na plan. I kolejny zawód: ci wielcy aktorzy, znani z gazet i filmu, te wszystkie wielkie gwiazdy wyglądają zupełnie inaczej, wydają się jacyś mniejsi... i zwyczajni. Poza tym trudno było zgadnąć, czy się patrzy na gwiazdę, czy też na jej sobowtóra, bo każdy wielki aktor miał takiego. Sobowtór obniża koszty filmu. Po co na przykład płacić wielkiemu Konradowi Veidtowowi grającemu Metternicha za to, że siedzi sobie w powozie i nic nie mówi, tylko rozgląda się i macha do tłumu? Sadzają więc sobowtóra, bo on kosztuje dużo mniej. Artysta w tym czasie może kręcić inną scenę w atelier. Oszczędność czasu i pieniądza.

– Słuchając ciebie, człowiek traci złudzenia. – Matylda pokręciła głową, zawiedziona. – Ale w sumie to i dobrze. Nie muszę żałować, że coś mnie ominęło.

– Nie dla wszystkich tak to przecież wygląda – zaprotestowała Eliza. – Są osoby, którym się udało i grają teraz w filmach, nie muszą statystować i nie są narażone na upokorzenia.

– Ale za jaką cenę, Eliza, za jaką cenę...

– Masz rację, czasami cena jest wysoka. Ale ja nie żałuję – dodała tamta z wyzwaniem w głosie. – Mam, co chciałam. Jeśli chodzi o karierę i bogactwo, oczywiście. Nie można mieć wszystkiego naraz.

Matyldę aż krciło, żeby spytać, czego Eliza nie dostała od życia, ale nie miała odwagi. Czegoś tam wyraźnie brakowało, sądząc po smutku widocznym w jej oczach, którego, mimo pozornie beztroskiego zachowania, nie potrafiła ukryć.

– Nie będę cię już więcej zanudzać szczegółami, powiem tylko, że to były najbardziej męczące godziny, w dodatku spędzone w pełnym słońcu, bo graliśmy w plenerze. Z trudem wywalczyliśmy krótką przerwę na posiłek. Niektóre sceny kręcili kilkanaście razy, do czasu, aż reżyser był zadowolony. Zdarzało się, że niektórzy statyści mdleli z pragnienia i upału. Zdjęcia trwały do siódmej wieczorem. Potem każdy z ulgą zainkasował dziesięć marek i do pociągu. W domu byłam rano. A gwiazdy pojechały wcześniej swoimi samochodami i zamiast dziesięciu marek dostały tysiące.

Skinięła władcym gestem na kelnera, który natychmiast przybiegł w lansadach.

– Daj spokój. – Powstrzymała dłoń Matyldy, sięgającej do torebki. – Dzisiaj ja stawiam. Przecież cię zaprosiłam.

– Nie będzie ci zimno w tych cieniutkich pantofelkach? – spytała z troską Matylda. Od początku nurtowało ją pytanie, czy koleżanka nie ubrała się jednak zbyt lekko na tę pogodę.

– Myślisz, że ja tak na piechotę? – Eliza spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Czeka na mnie sofer, popatrz.

Przez okno kawiarni widać było piękny samochód o połyskującej w słońcu czarnej karoserii,

a przy nim grupkę zachwyconych wyrostków. Oparty o maskę znudzony szofer palił papierosa, pilnując, żeby żaden z chłopców nie zadrasnął lśniącego lakieru.

Zanim wstały od stolika, Eliza spojrzała jeszcze krytycznie na Matyldę.

– Miałam ci tego nie mówić, ale mogłabyś coś zrobić z tymi włosami. Czemu ich nie obetniesz, teraz są modne krótkie fryzury, a ty wciąż jak topielica.

– Szkoda mi ich trochę. – Matylda dotknęła swoich długich, gęstych loków. – Mama była z nich zawsze taka dumna. Zresztą mnie też się podobają.

– My ślisz czasem o karierze filmowej?

– No, tak..

– To zetnij włosy, radzę ci. I wydepiluj brwi, bo wyglądasz jak leśny dziadek. Poza tym zapisz się koniecznie na lekcje tańca i śpiewu, teraz kino jest raczej rozśpiewane i roztańczone.

ROZDZIAŁ 2

Matylda wciąż chciała udowodnić babci Zuzannie, że wcale nie jest gorsza od swojej matki. Czuła się rozdarta, z jednej strony marzyła o karierze, czytała ilustrowane pisma poświęcone filmowi, z drugiej zaś wiedziała, że Wiktoria uznałaby to za stratę czasu. Ona była tak idealna, że aż trudno z nią było konkurować. Mimo usilnych starań i szczerych chęci wciąż nie udawało jej się zbliżyć do tego ideału. Mama zawsze była mądrzejsza, bo skończyła studia, miała lepsze serce i w ogóle wszystko robiła lepiej niż ona, Matylda. Poza tym zajmowała się dobroczytnością, do czego dziewczyna zupełnie nie miała powołania. Nigdy nie rozumiała miłości matki do ludzi, którzy bardzo często odpłacali jej niewdzięcznością. Mimo wszystko postanowiła spróbować. Wyzwania leżały w jej charakterze, chociaż w tym była do matki podobna.

– Babciu – zagadnęła kiedyś podczas obiadu – myślałam o tych dzieciach, którym zawsze pomagała mama.

– Jakich dzieciach? – Na twarzy Kasperkowej pojawiło się zakłopotanie. Zupełnie nie wiedziała, o czym mówi Matylda.

– No, o tych z ochronki. Babciu...

– Aha. – Zuzanna bez przekonania kiwnęła głową. – I co w związku z tym?

– Uważam, że to naprawdę było piękne i dobre. I też mam pewien pomysł. Otóż pomyślałam sobie, że dzieci z naszej ochronki mają ciężko, ale i tak lepiej od tych z Rosochacza koło Kołomyi. Czytałam niedawno list od nauczyciela stamtąd, gdzieś tu był... – Zaczęła przerzucać leżące na stole gazety. Te stare, wy czytane już „do białego”, jak mawiała babcia Zuzanna, używane były potem jako rozpałka do pieca.

– O, mam. – Wyciągnęła stary numer spod sterty gazet. – Proszę. – Podsunęła go w stronę babci. – Tu jest prośba o pomoc dla tych dzieci.

Kasperkowa założyła okulary i zaczęła czytać, poruszając przy tym bezgłośnie wargami.

– Mój Boże! – wykrzyknęła w końcu, podnosząc spojrzenie na Matyldę. – Jedna para butów na dziesięć osób w rodzinie?! I matka omal nie zatłukła na śmierć dzieciaka, bo zgubił ołówek? Przecież to straszne...

– No właśnie. Tam dopiero jest bieda. Mogłybyśmy im jakoś pomóc, jest tyle rzeczy, z których już wyrosłam. Ubrania, buty, przybory szkolne, a tam brakuje wszystkiego. Dobrze byłoby, gdyby babcia sprawdziła, co zostało na strychu. Może coś się jeszcze przyda, po co mają to myśleć zjeść.

– Niczego nie wyrzucałam, bo Isi zawsze trudno było się rozstać z każdym drobiazgiem. To były dla niej drogie pamiątki z twojego dzieciństwa. Dużo tam też pięknych rzeczy z Francji, twoja ciotka co rusz coś przysyłała.

– Jestem pewna, że teraz mama nie miałaby nic przeciwko temu. Zwłaszcza gdyby się dowiedziała, że jakieś dziecko chodziło tylko przez tydzień w butach, bo matka akurat była chora. A co będzie, jak przyjdzie zima, boso będą chodzić?

– Jezusie, Maryjo... – Kasperkowa przeżegnała się ze zgrozą. – Skrzyknę wszystkie sąsiadki, niech i one coś przyniosą. A może Joasia w aptecce wywiesi ogłoszenie? Kochana moja, masz takie dobre serduszeko. – Objęła zadowoloną z siebie Matyldę.

Mało to mamy swoich biednych, żeby jakieś obce dzieci wspomagać? – próbowały oponować niektóre klientki, lecz mimo to akcja udała się nadspodziewanie. Zebranych rzeczy starczyło na kilka dość okazałych paczek, które wysłano później do wiejskiej szkółki w Rosochaczu. Dzieci nie było tam zbyt dużo, Matylda kupiła więc jeszcze zeszyty i przybory szkolne do podziału między najbardziej potrzebujących.

Początkowo niechętnie nastawione bogatsze klientki apteki dały się w końcu przekonać do zorganizowania punktu pomocy biednym dzieciom w Krakowie. Skoro już same wspomniały o potrzebie takiej pomocy „swoim”, nie wypadało już się wycofać. Matylda wraz z Joasią uprzątnęły jedno z mało używanych pomieszczeń na zapleczu i tam składowano przyniesione dary. Niejedna matka, która wpadła po lekarstwo dla chorego dziecka, wychodziła z apteki z ciepłym ubraniem czy też całkiem dobrymi, niezniszczonymi butami na zimę.

Matylda cieszyła się, ale już zaczynała ją to nudzić. Codzienne monotonne zajęcia zdecydowanie jej nie odpowiadały.

– Mianuję babcię główną zarządczynią tego punktu. – Z udaną powagą zrobiła gest przypominający pasowanie na rycerza. – Ja nie mam tyle cierpliwości do ludzi. Kiedy te kobiety zaczynają się kłócić i wrywają sobie z rąk ubrania, mam ochotę zdzielić każdą po głowie i wyrzucić za drzwi.

– Od dziecka byłaś taka impulsywna – przytaknęła Zuzanna. – Ale na szczęście chowasz tam gdzieś to swoje złote serduszeko. Oby je ktoś jak najszybciej odkrył.

Staruszka martwiła się, że Matylda ma tak mało przyjaciół. Dziewczyna była raczej typem samotnika i utrzymywała kontakt praktycznie tylko z dwiema osobami: z Julkiem i sporadycznie z Małgosią, córką ciotki Zosi. Kasperkowa nie rozumiała nowych czasów i modnej ostatnio emancypacji. Dla niej kobieta powinna mieć męża i dzieci, to było jej prawdziwym powołaniem, a nie życie w pojedynkę.

– Babciu, nie mogę być dobra po takim dziadku i nie wiadomo jakim ojcu – odrzekła przekornie Matylda.

– A cóż ty nowu opowiadasz! – oburzyła się Zuzanna. – Co to ma do rzeczy? Przecież nie oni

cię wychowywali.

– Trochę ma, babciu, trochę ma. – Matylda uśmiechnęła się smutno. – W końcu w moich żyłach płynie ich krew.

– Głupstwa opowiadasz. Gdyby tak było, wuj Stefan musiałby być choć trochę tak zły jak jego ojciec, a przecież to najłagodniejszy człowiek, jakiego znam.

– Pewnie dlatego, że jest chory, babciu. Lubię go bardzo, ale... – Matylda zawahała się, żeby nie zabrzmiało to zbyt lekceważąco – ...ale on chyba niewiele wie, co się wokół niego dzieje. Nie sądzę, żeby potrafił tak naprawdę coś przeżywać, kochać, nienawidzić...

– Tego już za wiele! – Kasperkowa rozłościła się nie na żarty. – Nic o nim nie wiesz, kompletnie nic! I nie sądzę, żebyś sama nie została osądzona.

– Babciu, przepraszam, nie miałam na myśli nic złego. Rzeczywiście nic nie wiem na temat wuja, ale w tym domu nikt nigdy ze mną nie rozmawiał o poważnych sprawach. Mama nie miała czasu, tatko nie czuł potrzeby, a babcia pewnie uważała, że jestem zbyt głupia. – W oczach Matyldy pojawiły się łzy.

– Kochanie – zreflektowała się starszka – bzdury opowiadasz. Nigdy nie pytałaś, pewnie dlatego. Ale to nie z powodu, że...

– No to teraz pytam – przerwała jej gniewnie dziewczyna. – Proszę, niech babcia mnie oświeci, czego to nie wiem o wuju i jego przeżyciach. Dlaczego się myślę, sądząc, że on nie jest w stanie odbierać świata jak normalni ludzie? I dlaczego nie pamiętam go z dzieciństwa?

Kasperkowa przemilczała tych „normalnych ludzi”, знаła Matyldy wybuchy gniewu i wiedziała, że ta w takich chwilach nie zastanawia się nad tym, co mówi.

– Stefanek urodził się jako drugi z bliźniaków, z trudnościami – zaczęła cichym głosem, oglądając się za siebie, czy aby nie ma go nigdzie w pobliżu. – Zanim sprowadzony lekarz zdołał go wydobyć, zdążył się już poddusić. Wiem to z opowiadań twojej mamy, która z kolei znała tę historię od akuszerki, przyjmującej poród wraz z lekarzem.

– I to go tak zmieniło? – spytała współczującym tonem Matylda. Widać było, że już żałuje swojego wcześniejszego wybuchu.

– Tak mówiono. Stefanek długo nie oddychał. Wszyscy myśleli nawet, że urodził się martwy. A podobno brak powietrza może wyrządzić szkody w mózgu człowieka. To też wiem od twojej mamy, która była najmądrzejszą...

Zuzannie załamał się głos i musiała na chwilę przerwać opowiadanie.

– Potem – podjęła po krótkiej przerwie – kiedy twoja mama, jadąc do Paryża, odwiedziła Adama w Wiedniu, zabrała ze sobą Stefanika i na jakiś czas zostawiła go u brata. Kiedy wróciła, by go zabrać do domu, okazało się, że Stefanek chce tam zostać na stałe. Z początku pokochał żonę Adama jak własną siostrę, później, kiedy dotarli do Wiednia wieści o śmierci Adama na wojnie, zastąpił go u jej boku jako mąż i ojciec dla małego Jasia.

– To znaczy, że po prostu odbił żonę wujowi Adamowi?

– Na to wyszło – wzruszyła niechętnie ramionami babcia. – Ale i Kasia, bratowa, również go pokochała. To dobry i łagodny człowiek mimo swojego lekkiego upośledzenia zupełnie inny niż jego porywczy brat. Zresztą przecież byli pewni, że tamten nie żyje.

– Ale nie zginął na tej wojnie, prawda?...

Historia opowiedziana przez babcię Zuzannę wstrząsnęła Matyldą.

Uznany za zaginionego Adam pojawił się nagle w Wiedniu kilka lat po zakończeniu wojny, przedwcześnie postarzały i sterany życiem. Nie opowiadał nikomu o swoich przejściach, lecz ze zdawkowych słów wynikało, że przeżył piekło obozu na Syberii. Wrócił i zastał w swoim miejscu przy żonie brata bliźniaka. Syn Jaś, pozostawiony przez niego jako jeszcze małe dziecko, uciekł z krzykiem na widok nieznanego, ponurego i zarośniętego mężczyzny, nazywając ojcem Stefanka.

Tego Adam nie mógł im darować. Poczł się zdradzony przez całą trójkę. Wyrzucił z domu Stefanka, wsadził go w pociąg do Krakowa, nie uprzedzając o tym Wiktorii. Brat wprawdzie dojechał na miejsce, ale trafić do domu już nie umiał. Zawsze się gubił w mieście, nigdy nie potrafił też zapamiętać swojego adresu. Przez kilka miesięcy błąkał się jako bezdomny na dworcu kolejowym, żebrząc o jedzenie i sypiając gdzie popadło. W tym brudnym, zarośniętym i wyraźnie upośledzonym mężczyźnie nikt nie rozpoznał brata Wiktorii. On sam, pytany o nazwisko i adres, milczał przerażony. Powtarzał tylko bełkotliwie: „Isia, Isia”, co dokuczające mu wyrostki podchwytyły jako „hysia” i naśmiewały się z niego, kręcąc przy tym wymowne kółka na czole. „Tak, masz hysia”, wołały.

W końcu rozpoznała go Wiktorii, kiedy pewnego dnia wybrała się z wizytą do Mogiły. Poruszył ją widok nieszczęśliwego żebraka na dworcu, podeszła bliżej, żeby wrzucić datek do jego brudnej czapki, i nagle poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Nie wierząc własnym oczom, nachyliła się nad żebrakiem. On też ją rozpoznał. Trzęsąc się i płacząc, jak niewidomy, dotykał twarzy siostry brudnymi dłońmi, znacząc jej policzki ciemnymi smugami. Chociaż łzy zalewały mu oczy, bał się mrugać w obawie, że kiedy zamknie na chwilę powieki, jego Isia zniknie. Z trudem zmusiła nieszczęśnika, by podniósł się z kłęczek, i zabrała go do domu, a tam przez kilka dni nie odstępowała go nawet na krok. Niewiele dowiedziała się od brata na temat wydarzeń w Wiedniu. Jedyną, co powtarzał z ogromną tęsknotą, to imię bratowej Kasi i jej synka Jasiulka, jak go pieszczotliwie nazywał. Pytany o Adama, kulił się przestraszony i zamykał w sobie.

O szczegółach tej historii dowiedziała się dużo później od znajomych, wracających z Wiednia. Adam nie tylko wyrzucił Stefanka, pobiwszy go wcześniej dotkliwie, ale zostawił żonę, zabrał synka i wyjechał z nim z Wiednia. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Adam nie odezwał się też do Wiktorii, prawdopodobnie obwiniając ją o to, co zaszło. Wiedział, że Stefanek nie zrobiłby niczego, czego nie zaaprobowałaby ich siostra.

Była to tylko częściowo prawda – Stefanek bardzo liczył się zawsze ze zdaniem Wiktorii, tym razem jednak kierował się wyłącznie uczuciem. Pokochał Kasię całym sercem, między innymi też za to, że nigdy nie traktowała go lekceważąco jak inni i nie zwracała uwagi na jego upośledzenie. Umysł miał słaby, ale kochać całym sercem potrafił jak nikt inny. Małego bratanka traktował jak własnego syna, we troje tworzyli szczęśliwą rodzinę, Kasia nigdy nie otrzymała od Adama tyle miłości i pomocy, co od Stefanka. Poza tym oboje byli przekonani, że Adam nie żyje. Niemal przez całą wojnę nie dawał żadnego znaku życia, z wyjątkiem pierwszych tygodni po mobilizacji. Później ślad po nim zaginął. Poszukiwania przez powstałe zaraz po odzyskaniu niepodległości Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża nic nie dały, skłaniano się raczej ku wersji, że zginął gdzieś bezimiennie podczas działań wojennych.

Tymczasem wrócił, przepelniony nienawiścią do całego świata, zdradzony, według własnego

mniemania, przez najbliższych.

– Babciu kochana – szepnęła wstrząśnięta Matylda. – To straszne. Teraz widzę, ile jeszcze muszę się dowiedzieć o swojej rodzinie, jak mało o nich wszystkim wiem.

– Nigdy nie było okazji do takich rozmów, myśleliśmy też...

– Wiem, babciu, wiem, co myśleliście. Nie wracajmy już do tego. Teraz chciałabym to nadrobić i chyba czas najwyższy, żebym poznała też człowieka, który powołał mnie do życia. Na wiosnę chciałabym wybrać się do Francji, będzie więc okazja.

Przybita śmiercią przyjaciółki, Ivonne wciąż namawiała Matyldę do przyjazdu do Paryża.

Kochanie moje!

Wciąż nie mogę się pogodzić ze śmiercią Twojej mamy. Najłodsza, najlepsza istota, jaką kiedykolwiek znałam, odeszła, a ja nie mogłam nawet się z nią pożegnać. Nie udało nam się przyjechać na pogrzeb, załatwianie formalności zajęło tyle czasu, że ostatecznie musiałam zrezygnować z wyjazdu, bo na pewno nie zdążylibyśmy na tę smutną uroczystość. Co za straszna tragedia, cóż za niesprawiedliwość na tym świecie, żeby takie osoby jak ona odchodziły przed czasem. I to w tak tragicznych okolicznościach. Mati, skarbie mój, moja ukochana bratanico, błagam, przyjeźdź do mnie w odwiedziny, pociesz swoim widokiem moje pełne żalu serce. Chcę Cię przytulić, poczuć w Tobie choć cząstkę mojej najlepszej przyjaciółki. Czekam na Ciebie z utęsknieniem. Chcę zobaczyć, jak wyrosłaś, ostatnio widziałam Cię, jak miałaś ile lat? Dziesięć, dwanaście? Chyba nie więcej. Tak rzadko przyjeżdżaliście tu z mamą, że już nawet nie pamiętam. Czekamy na Ciebie, kochanie, ja i mój mąż. Nasz dom jest Twoim domem. Przyjeżdżaj!

Twoja kochająca ciotka Ivonne

Odpisała ciotce, że teraz już z przyjemnością skorzysta z zaproszenia. Wcześniej musiała uporządkować własne życie.

Zaplanowała podróż na kwiecień. Chciała zobaczyć Paryż oczami matki, która kilkanaście lat temu przyjechała tam właśnie w tym czasie. Ciotka z mężem spędzała każdą zimę i początek wiosny w mieście, dopiero w maju oboje przenieśli się na wieś, do domu, który Ivonne odkupiła od brata, i zostawali tam aż do późnej jesieni.

Matylda była wdzięczna mamie za to, że Wiktoria dbała, by córka dobrze poznała francuski. Nie poprzestawała tylko na lekcjach w szkole, sama rozmawiała z nią w tym języku w domu. Buntująca się często dziewczyna nie rozumiała wtedy, dlaczego matce tak bardzo na tym zależy. Teraz już nie miała wątpliwości. Wiktoria wiedziała, że Matylda pewnego dnia zapragnie poznać swojego biologicznego ojca i będzie musiała się z nim porozumieć.

Mamusi, pomyślała teraz z wdzięcznością dziewczyna, twoja mądrość nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

– A po cóż ci szukać tego drania?! – Babcia Kasperkowa, oględnie mówiąc, nie była zachwycona pomysłem Matyldy. – Czego się spodziewasz po człowieku, który nie interesował się tobą przez tyle lat i nigdy nie uznał cię za swoje dziecko?

– Niczego, babciu, chcę go po prostu poznać. Zobaczycie na własne oczy, przekonać się, czy jestem do niego podobna. To chyba zrozumiałe. Na pewno nie będę się starała go namówić, żeby mnie uznał za swoją córkę. Ja miałam ojca, najlepszego, jakiego tylko można sobie wymarzyć, a tamten człowiek nigdy nim nie będzie.

– Ta ciekawość wpędzi cię w kłopoty, zobaczysz – mruknęła niechętnie Zuzanna. – Wiem, że jak sobie coś umyślisz, to żadna siła cię nie powstrzyma. Jedź, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegałam.

– Nie martw się, babciu, jestem jak kot, który zawsze spada na cztery łapy. Nic mi nie będzie.

– Kot kotu nierówny. Pamiętasz tego, który spadł kiedyś z parapetu i zabił się na bruku? A powinien był spaść na cztery łapy.

– Oj, babcia to potrafi pocieszyć człowieka jak mało kto. – Matylda ze śmiechem przytuliła się do staruszki. – Ja będę tym kotem, który nie dość, że się nie zabije na francuskim bruku, to jeszcze może kogoś przy okazji podrapać.

– Jakim kotem? – zdziwiła się nagle Kasperkowa. – O jakich ty kotach mi znowu opowiadasz, wiesz, że ich nie lubię.

Teraz to Matylda była zdumiona. Od jakiegoś już czasu zdarzało się, że babcia lepiej pamiętała wydarzenia sprzed lat, a nawet z własnego dzieciństwa, niż sprzed kilku minut.

– To był żart, babciu. Tak się czasami mówi.

ROZDZIAŁ 3

Minął jednak kolejny rok i Matylda wciąż nie mogła się wybrać do Francji. A to niegroźna, ale wykluczająca podróż choroba, a to znów wyjazd ciotki i jej męża do Egiptu, skąd ślali Matyldzie przepiękne widokówki z Beduinami na wielbłądach, na tle piramid. Stale coś stawało na przeszkodzie. Lecz nie martwiła się tym zbytnio, chyba jednak nie czuła zbyt wielkiej potrzeby poznania biologicznego ojca. Bardziej skupiła się na swojej karierze scenicznej. Od pamiętnej rozmowy z Elizą cisi wielbiciele Matyldy zmieniali się z każdym sezonem. Po pierwszym, na którego zwróciła uwagę, pojawili się inni. Ci już jawniej emablowali młodą kobietę, zasypywali ją kwiatami i zaproszeniami na kolację. Kwiaty przyjmowała, zaproszenia rzadko. Skorzystała z nich kilka razy, jednak adoratorzy okazali się zupełnie nieciekawymi ludźmi, nastawionymi tylko na ekscytujący romans z aktorką. Wciąż czekała na tego, który poruszy jakąś strunę w jej sercu.

Tymczasem, za namową Elizy, zapisała się na prywatne lekcje śpiewu i tańca. Śpiewu uczyła ją słynna, jeśli wierzyć ogłoszeniu w gazecie, Maria Zajcewa, była solistka operowa, w młodości występująca w Petersburgu, tańca zaś równie znany dawny tancerz i baletmistrz opery w Paryżu, Monsieur Serge. Powtarzał przy każdej okazji, że gdyby nie fatalny wypadek na scenie – podobno złamał nogę podczas kręcenia piruetu – mógłby zrobić światową karierę. Niestety, po tym nieszczęściu przyszło mu uczyć beztalencia i do nich także zaliczał początkowo Matyldę. Z czasem zdziwaczały staruszek przekonał się do dziewczyny, która, zaciskając zęby i połykając łzy, wykonywała skomplikowane figury przed wielkim lustrem pokrywającym niemal całą ścianę pokoju Monsieur Serge'a.

– *Très bien, très bien* – powtarzał coraz częściej, stukając zniekształconymi przez artretyzm palcami w klawisze fortepianu. – Jeszcze z panny będą kiedyś ludzie. Trzeba tylko ćwiczyć, więcej ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, żeby rozciągnąć ciało. Ma być jak z gumy, rozumie panna? Jak z gumy. I lekkie jak piórko.

„Nie mam zamiaru występować w cyrku”, mruczała pod nosem ze złością, ale tak, żeby nauczyciel jej nie słyszał. Nie chciała go do siebie zrażać, sama czuła, że dużo już dzięki niemu

zyskała. A taniec i śpiew są ważne, przekonała się o tym, słuchając rozmów ludzi z branży przy kawiarnianych stolikach. Po lekcjach i w dniach, kiedy nie grała w teatrze, biegła do Noworolskiego w Sukiennicach, gdzie spotykał się niemal cały artystyczny światek.

Uwielbiała tę atmosferę, zapach kawy, siwy dym papierosowy i dyskusje znanych ludzi o najnowszych trendach w sztuce, a już zwłaszcza rozmowy na temat filmu. Coraz bardziej marzyła, by wystąpić kiedyś na ekranie, nie tylko na scenie. Żeby na okładce „Kina” ukazała się jej podobizna z podpisem: „Słynna gwiazda filmowa Matylda Borucka”. A może wymyśli sobie jakiś pseudonim? Musi się jeszcze nad tym zastanowić.

Nie znała bliżej nikogo ze stałych bywalców, zajmowała więc zwykłe stolik gdzieś obok, tak żeby móc usłyszeć choć strzęp tych rozmów. Żeby nie być narażoną na zaczepki innych gości, często zabierała ze sobą Melę, również marzącą o wielkiej karierze. Wprawdzie tamta nie brała żadnych dodatkowych lekcji, ale była przekonana, że i tak sobie poradzi, o czym stale zapewniał ją kochanek dyrektor.

– Z taką buzią i takimi nogami podbijasz świat, moja droga – powtarzał ciągle. – Trzymaj się tylko mnie, a ja ci załatwię takie role, o jakich inne wyłącznie mogą pomarzyć.

Trzymała się więc, ale coraz niecierpliwiej wypatrywała tych ogromnych możliwości, o których tak często jej mówił.

Tego dnia obie dziewczyny siedziały w minorowych nastrojach, paląc papierosy w szklanych lufkach i popijając kawę. Sztuka, w której teraz grały, właśnie schodziła z afisza, w związku z czym czekało je rychłe bezrobocie. Dla Matyldy, która miała sporo pieniędzy po rodzicach i sklep oraz połowę apteki, nie była to zbyt straszna perspektywa, ale Mela żyła raczej nędznie i tylko niewielkie rólkę w teatrze wraz z „opieką” dyrektora pozwalały jej na jako taką egzystencję.

– Mam dość bycia jego utrzymanką – zwierzyła się Matyldzie. – Nudzi mnie już ten stary dziad, poza tym zaczyna mi wątpić w te jego gadki o „niesamowitych możliwościach”. Mówi tak chyba tylko po to, żebym nie odeszła.

Matylda nie odpowiedziała, bo dla niej, jak i dla innych członków zespołu, sprawa była oczywista. Postanowiła więc szybko zmienić temat.

– Mata – powiedziała niespodziewanie.

– Co? – Przyjaciółka znieruchomiała z filiżanką przy ustach.

– Mata. Mata Boruc. Jak ci się podoba taki pseudonim?

Mela uśmiechnęła się niepewnie.

– Jak Mata Hari?

– A czemu nie? Bardziej chwytliwe niż Matylda Borucka. Moje nazwisko może pasuje na afisz teatralny, ale w kinie byłoby zbyt długie.

– A odkąd to planujesz karierę filmową, kotku?

Matylda wydmuchnęła dym.

– Wcale nie planuję.

– Wcale a wcale?

– Na razie na pewno nie. To tylko żarty, kochana. Ale przyznaj, taki skrót dobrze brzmi. „Pola Negri” też lepiej wygląda niż „Apolonia Chałupiec”, prawda?

Mela parsknęła.

– O mój Boże, zapomniałam już, że ona naprawdę tak się nazywała. Okropność! Jakby

mieszkała w jakichś Bronowicach.

– Albo ta tancerka, o której mi mówiłaś, Loda Niemirzanka. Też nie Leokadia.

– Może masz rację. Do Hollywood Matylda Borucka się kompletnie nie nadaje. – Mela wyspała do swojej filizanki jeszcze jedną łyżeczkę cukru i zaczęła powoli mieszać kawę. – Zresztą tak jak Melania Witkowska.

– Nie da się ukryć.

– Zatem postanowione. Od teraz jesteśmy Mata Boruc i Mela Wit! Dwie słowiańskie nimfy, które wkrótce podbiją Amerykę!

Obie roześmiały się głośno, trochę zbyt teatralnie, czym zwróciły na siebie uwagę trzech mężczyzn zajmujących stolik po lewej stronie, tuż obok szklanych drzwi. Panowie siedzieli przy winie i byli już nieco podpiści, o czym świadczyły zaczerwienione, błyszczące twarze i zbyt głośno wypowiedane uwagi. Chcąc nie chcąc, Matylda słyszała fragmenty ich dyskusji. Padały w niej słynne filmowe nazwiska i olbrzymie kwoty pieniędzy. Jeden z mężczyzn, otyły, na oko czterdziestoletni osobnik w szykownym fraku, do tego z podczernionym wąsikiem, który zapewne miał nadać właścicielowi młodzieńczy wygląd, był, jak wynikało z rozmowy tamtych, reżyserem. Tubalnym głosem opowiadał, jak to przeróżne gwiazdy płaszcą się przed nim, byle tylko dostać najskromniejszą rolę w jego komedii muzycznej. Po prostu się „zmacną”; z wyraźnym upodobaniem powtarzał to słowo. Matylda nigdy nie widziała go na oczy, zapewne dopiero co przyjechał z Warszawy. Mimo że ów człowiek był wyjątkowo irytujący, nie mogła powstrzymać zainteresowania i co jakiś czas zerkała dyskretnie w jego kierunku.

– Podobno jest teraz niesamowita moda na Słowianki – powiedziała Mela, nie zwracając uwagi na gapiących się na nie mężczyzn. – A szczególnie podobają się Czeszki.

– Jak nam każą, możemy trochę poudawać Czeszki – odparła z poważną miną Matylda, wypuściwszy dym nosem.

– No co ty, Mata? *Prosim te.*

Znowu zaczęły się śmiać jak niezbyt rozbawione pensjonarki.

– Wyobrażasz to sobie? – Mela ściszyła głos, nachylając się ku Matyldzie. Oczy jej błyszczały. – Że gramy w zachodnich filmach? Jakie by wszyscy mieli miny? Zwłaszcza ten...

– Ten dziad – dokończyła za nią Matylda.

– Właśnie. Wyobrażasz to sobie?

– Wiesz, Mela, ja nawet sobie nie mogę wyobrazić, że gram w polskim filmie, a co dopiero mówić o zagranicznych produkcjach. To jakiś inny wymiar. Dla wybrańców.

Tutaj skłamała, bo doskonale potrafiła sobie wyobrazić, że stała się gwiazdą filmową. Za każdym razem, kiedy oglądała w czasopiśmie lub na afiszach fotosy słynnych aktorek, oczami wyobraźni widziała siebie na ich miejscu: w eleganckiej, lśniącej limuzynie, na wystawnych przyjęciach, olśniewającą sukniami, futrami, wymyślnymi kapelusami. Mata Boruc, bogini ekranu. Ale wstydziła się tych marzeń, dlatego przed przyjaciółką wołała odgrywać twardo stąpającą po ziemi, dorosłą Matyldę, nieodrodną córkę Wiktorii Boruckiej.

– No co ty? – obruszyła się Mela. – Gadasz jak zgorzkniała stara panna. Nie święci garnki lepią! Tylko trzeba działać. Teraz kobiety są dużo bardziej przebojowe niż kiedyś. Emancypacja i te sprawy. Wiesz, czytałam ostatnio, że w ogóle jesteśmy bardziej konsekwentne niż mężczyźni w przeprowadzaniu swoich zamiarów.

– Naprawdę? – Matylda dostrzegła kątem oka, że „reżyser” wstaje z krzesła, patrząc w ich

stronę. Powiedział coś cicho do swoich kompanów, na co ci wybuchnęli gromkim śmiechem.

– I to niezależnie, czy są to cele dobre, czy złe. Dlatego jest teraz tyle morderczyń – ciągnęła Mela, która nie zauważyła poruszenia przy sąsiednim stoliku. – W każdym razie musimy mieć w sobie upór i umieć dostrzegać każdą okazję. Inaczej...

– Oho – przerwała jej cicho Matylda. – Wygląda na to, że pierwsza okazja właśnie nadchodzi. Na chwilejnych nogach. Która z nas zostanie gwiazdą, a która morderczynią?

Mężczyzna, który przed chwilą wstał od stolika przy drzwiach, podszedł do nich, ukłonił się i powiedział z pijacką powagą:

– Dobry wieczór pięknym paniom, moje nazwisko Żurek Adolf Żurek, reżyser filmowy.

Matylda dostrzegła, że nie tylko wąsik miał przyczerniony, ale także brwi. Wyglądał jak pajac.

– Bardzo nam miło. – Mela się rozpromieniła.

Matylda nic nie powiedziała, ostentacyjnie odwróciła głowę w stronę okna.

– Czy panie są może aktorkami? – spytał podstarzały, podпиты elegant. – Przy padkowo podsłuchałem rozmowę pań i...

– Tak jesteśmy aktorkami. – Mela nie mogła się powstrzymać. – Czy to naprawdę aż tak widoczne?

Matylda aż się wzdrygnęła, słysząc jej słodki, zalotny ton. Boże, jaka ona jednak głupiotka, pomyślała smutno.

– Naturalnie, to od razu widać – odparł Adolf Żurek, chwiejąc się na nogach. – Czy można wiedzieć, w jakich filmach istnieje, że tak powiem, szansa panie podziwiać?

Mela już chciała coś odpowiedzieć, ale nie zdążyła.

– Jesteśmy Mela Wit i Mata Boruc – wyręczyła ją Matylda. Patrzyła na mężczyznę wyzywająco, poprzez kłąb dymu papierosowego. – Pewnie nie widział nas pan na ekranie, bo tak naprawdę to jesteśmy Czeszkami.

– Czeszkami? – powtórzył niezbity z tropu reżyser. – To doskonale. Co panie robią w Krakowie?

– Żartowałam – odparła z kamienną miną Matylda.

Mela zasłoniła usta, aby nie parsknąć śmiechem. Adolf Żurek powoli zaczął się orientować, że dziewczyny, których kosztem zamierzał się właśnie wraz z kolegami zabawić, właśnie sobie z niego zakpiły.

– Oj, widzę, że trafiłem na żartowniszę. – Próbował nadrabiać miną. Nachylił się nad Matyldą i oparł ręce o blat stolika. – Czy panienka od zawsze taka pyskata? Nie nauczyła mamusia, że starszym należy się, że tak powiem, szacunek? Nie powiem, podoba mi się nawet taki... temperamencik

– Posłuchaj pan, szanowny panie Żurek – odparła zimno Matylda, gasząc papierosa w popielniczce. – Adolf to było idealne imię dla amanta, dopóki nie pojawił się Hitler. Teraz już nie działa. Podobnie jak hasło „reżyser”. Nie jest pan ani trochę czarujący. Mówiąc całkiem szczerze, jest pan jedynie bezczelny i namolny, a w dodatku śmierdzi od pana tanim winem. Prosiłybyśmy, żeby wrócił pan do swojego stolika.

Adolf się wyprostował.

– Taka jesteś cwana, paniusiu? – wysyczał, wpatrując się w nią zwięzonymi z nienawiści oczami, ale Matylda wytrzymała jego spojrzenie. Nie mógł tak po prostu odejść, bo naraziłby się

na kpiny kolegów, więc odwrócił się najpierw do nich i krzyknął na całą salę: – Panowie, pomyliłem się. To nie są aktorki, tylko zwykłe dziwki.

Matylda chciała już wstać, lecz Mela chwyciła ją za rękę, wskazując ruchem głowy na młodego mężczyznę, który nagle wyrosł obok natręta. Był młody, przystojny, ubrany ze spokojną elegancją. I co najważniejsze, wydawał się Matyldzie znajomy. Do tej pory siedział w kącie sali, ukryty za płachtą gazety, więc dziewczyna na nie zwróciła na niego uwagi.

– Mam nadzieję, że przeprosi pan natychmiast te damy. – Głos mężczyzny brzmiał spokojnie, jednak wszyscy usłyszeli w nim wyraźną groźbę.

Wszyscy, z wyjątkiem samego sprawcy zamieszania. Nie ochłonął jeszcze, więc tylko parsknął z lekceważeniem.

– Damy? Szanowny pan chyba raczej sobie żartować.

– Ani trochę. Nie jestem dziś w nastroju do żartów, zapewniam pana.

– Panie, ja jestem ze stolicy – odparł Żurek, teraz już nieco przestraszony. – Pan chyba nie wiesz, do kogo...

– Nie obchodzi mnie, skąd pan jest.

Miała wrażenie, że skądś zna tego przystojnego bruneta. Ależ tak, przypomniała sobie. Ostatnio zauważyła go kilka razy na widowni, podczas swojego występu.

Jeszcze bardziej ją to zawstydziło. Jeśli to rzeczywiście był on, to właśnie stał się świadkiem jej upokorzenia. Wstała gwałtownie od stolika, chwyciła szklankę i chlusnęła wodą prosto w czerwona od alkoholu twarz Adolfa Żurka.

– Mógłby pan powtórzyć swoją kwestię, bo nie wszystko rozumiałam? Tę o dziwkach. No, słucham! – Uderzyła dłonią w stolik rozlewając kawę z filiżanki Meli.

Rzekomy reżyser nawet nie zareagował, otworzył tylko usta z wrażenia i wyglądał, jakby zapomniał je zamknąć. Woda ściekała po jego twarzy wraz z makijażem, zostawiając czarne smugi.

– A panu dziękuję za interwencję. – Odwróciła się do równie zaskoczonego obrońcy. – Sama też potrafię dać sobie radę z takimi miernotami.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, gwałtownym ruchem porwała torebkę z krzesła i dumnym krokiem wyszła z kawiarni, z furią stukając obcasami. „To się nadaje do gazety” – usłyszała jeszcze oburzony głos jednego z towarzyszy reżysera, zanim trzasnęła drzwiami. Stojąca jak słup soli Mela oprzytomniała i czy m prędkiej pobiegła za koleżanką.

Matylda nie oglądała się za siebie, postanawiając, że jej noga już nigdy więcej tam nie postanie.

Zgodnie z daną sobie obietnicą przestała chodzić do Noworolskiego, Mela natomiast nie zamierzała rezygnować.

– Tylko tam można spotkać kogoś interesującego – powtarzała, nie mogąc zrozumieć uporu koleżanki. – Tamten drań chyba przestał przychodzić, nie widziałam go ani razu, natomiast ten,

kóry stanął w naszej obronie... Pamiętasz go?

Matylda wolałaby zapomnieć; jeszcze teraz na samo wspomnienie całego zajścia piekła ją twarz ze wstydu.

– Pamiętam i co? – odparła niechętnie.

– No, to on przychodzi tam nadal. Siada w kącie, zamawia kawę i czyta gazetę. Nie wygląda na kogoś z branży, ale chyba załatwia tam jakieś interesy. Mówię ci, wygląda na dzianego i ważnego gościa. Czasami dosiadają się do niego jacyś ludzie, rozmawiają, on coś zapisuje. To szycha, mówię ci.

– I ty go, głupia, tak obserwujesz? – Matylda zdenerwowała się nie na żarty. – Może to jakiś bandyta, co to załatwia swoje ciemne interesy w kawiarni? Albo handlarz żywym towarem?

– Chyba zwariowałaś. Wygląda uczciwie, a zresztą przecież mógłby nie stawać w naszej obronie, skoro to taki zbój, jak myślisz. A on się zachował porządnie, jak nikt inny w całej sali. Ktoś jeszcze się wtrącił? Nie, sama widzisz. A my nawet mu nie podziękowałyśmy.

Nagle Mela uśmiechnęła się tajemniczo, widać było, że bije się z myślami, w końcu jednak nie wytrzymała:

– Ale ja mu podziękowałam za nas obie. O!

Matylda spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Zaczepiłaś go?...

– No... niezupełnie... Poznał mnie chyba, bo się uklonił, jak przechodził obok mojego stolika, i wtedy, jakoś tak..

– Pewnie, że cię poznał. – Matylda westchnęła głośno. – Widzi cię tam codziennie, trudno, żeby było inaczej. Sama się pchasz w kłopoty, moja droga. Ostrzegam cię, że to się kiedyś źle skończy.

– E tam, gadasz jak moja ciotka – obruszyła się Mela. – Powiedział, że pamięta tamten „godny pożalowania”, jak to ładnie nazwał, incydent, że poznał mnie, oczywiście, ale nie chciał się narzucać. Bał się chyba, że zareaguję tak samo jak ty wtedy...

– Więc ty go zaczepiłaś – wytknęła jej Matylda.

– Myśl sobie, co chcesz. Chwilę porozmawialiśmy, pytał o ciebie. – W głosie Meli dało się słyszeć nutkę zazdrości. – Dlaczego już nie przychodzisz, ale potem dodał, że rozumie doskonale twoje uczucia.

– Jak miło. Ale jakoś nie wierzę w jego szczerą intencję.

– Wie, że jesteśmy aktorkami, a nie dziewczynami szukającymi wrażeń.

– Powiedziałaś, gdzie teraz pracujemy?

– A niby dlaczego miałybyśmy nie mówić? Wstydzisz się swojej pracy? Zresztą wyglądało na to, że on i tak wie, kim jesteś. Takie sprawiał wrażenie.

Matylda nie wstydziła się swojego zajęcia, jedynie tego, że mogłaby stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który był świadkiem jej poniżenia. Bolało ją to bardziej, niżby się spodziewała.

Ów człowiek, którego nazwiska przejęta Mela nawet nie zapamiętała, pojawił się pewnego wieczoru na spektaklu.

Tego dnia Matylda grała nieuważnie. Posypała się nieoczekiwanie w swojej kwestii i gdyby

nie pomoc pana Zdzisia, suflera, mogłoby być źle. Czula dziwny niepokój, przez chwilę miała też wrażenie, że na widowni widzi matkę siedzącą ze smutną miną. Właśnie w tym momencie zapomniała swojej roli. Kiedy spojrzała w tamtym kierunku po raz drugi, wrażenie minęło. Miejsce, gdzie wcześniej zobaczyła mamę, zajęte było przez zupełnie obcą osobę.

Matyldzie nie umknęło przy tym spojrzenie mężczyzny siedzącego w pierwszym rzędzie. Kiedy na scenie rozbłyły końcowe światła, zdołała się przyjrzeć nieznanemu. Był to ten sam człowiek, który stanął w obronie jej i Meli w kawiarni.

Aktorzy ukłonili się po raz ostatni i pobiegli za kulisy. Matylda i Mela korzystały z tej samej garderoby, na miejscu musiała więc wysłuchać wy mówek koleżanki z powodu swojej „syplki”. Kiedy Matylda zapomniała kwestii, Mela nie mogła wygłosić swojej, bo miała to być odpowiedź na zadane jej pytanie. Tymczasem pytanie to przez dłuższą chwilę nie padało i mało brakowało, żeby położona została cała scena.

Matylda czuła, jak płoną jej policzki, odruchowo kiwała głową na znak, że tak, zgadza się z Melą, nie powinna była, nie wie, co się stało. Przez cały czas, zmywając sceniczny makijaż, spoglądała w lustro, w którym odbijały się drzwi do garderoby. Czuła, że tajemniczy незнаjomy może się lada chwila pojawić, i sama nie wiedziała, czy bała się tej wizyty, czy na nią czekała.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Mela zorientowała się w końcu, że koleżanka jest nieobecna duchem. Wydęła ze złością usta. – Byliśmy o krok od katastrofy, a ty udajesz, że nic się nie stało.

– Oj, Melu. – Matylda w końcu się ocknęła. – Nie przesadzaj, każdemu się zdarza i założę się, że nikt oprócz ciebie tego nie zauważył. To była tylko drobna wpadka.

– Ładna mi drobna, przez ciebie omal nie dostałam palpacji serca. A tak w ogóle – Mela przeciągnęła się leniwie i sięgnęła po papierosa – marnuję się tutaj z moimi warunkami. Stach mi to zawsze powtarza.

Udało jej się odciągnąć uwagę koleżanki od drzwi. Matylda spojrzała na nią rozbawiona.

– Tak? Coś nowego czy stale to samo?

Zawsze śmieszyła ją maniera tamtej, jej przesadne gesty i afektowany głos. Dla nikogo nie było tajemnicą, dlaczego Mela wciąż jest obsadzana w nowych rolach, mimo że aktorką była raczej marną. Przemawiała za nią uroda porcelanowej lalki o błękitnych, wiecznie zdziwionych oczach i złotych włosach, spływających aż do pasa. A także fakt, że była kochanką dyrektora, o czym wiedzieli wszyscy oprócz jego żony.

– Noo... twierdzi, że bym się nadawała.

Mela nie ukrywała przed nią swoich bliskich stosunków z dyrektorem, ale i tak Matylda czuła się czasami żaźnowana, słuchając podobnych wynurzeń. Nie bardzo wiedziała, jak reagować, nie komentowała więc zwierzeń koleżanki, co tamta pocztywała za objaw dyskrecji i jeszcze bardziej ośmielona, opowiadała o kochanku, zadowolona, że w końcu może się przed kimś wygadać.

– Mówi, że mam urodę gwiazd Hollywoodu. – Zalotnym ruchem odrzuciła złoty lok za ucho, oglądając się przy tym w lustrze i robiąc miny. – I że mogłabym zrobić prawdziwą karierę.

– No to niech cię wyśle do Hollywood, a nie tylko opowiada głodne kawałki o tym, co mogłoby być. – Matyldzie nie udało się ukryć lekkiej uszczypliwości w głosie.

– Och. – Mela znów westchnęła teatralnie. – Chciałby, ale z drugiej strony boi się mnie stracić.

Rycerz z kawiarni tego wieczoru nie pokazał się w garderobie. Mimo lekkiego zawodu Matylda poczuła ulgę.

Akurat musiał przyjść w dniu, kiedy się sypnęłam, pomyślała zła na samą siebie. Dobrze, że nie pojawił się za kulisami, bo po raz drugi musiałabym się wstydzić w jego obecności.

ROZDZIAŁ 4

Mimo upływu czasu w domu przy Grodzkiej nadal panował smutek. Chociaż pokój Wiktorii i Antoniego został przemeblowany, a ich ubrania oddano biednym, wciąż znajdowało się coś, co przypominało zmarłych. Jakiś kawałek materiału, z którego Wiktoria już nigdy nie miała uszyć poszewki na jasek, gazeta z zaznaczonym przez Antoniego ciekawym akapitem i adnotacją pięknym kaligraficznym pismem: „napisać do red.”. To wszystko wciąż jeszcze bolało.

Zuzanna Kasperkowska spędzała większość czasu w kościele, Stefanek siedział w swoim pokoju, a Matylda uczestniczyła w próbach i przedstawieniach lub chodziła na samotne spacerunki za miasto. Miała trochę spraw do przemyślenia i potrzebowała do tego spokoju. Pełna przygnębienia atmosfera w domu nie pozwalała jej się skupić. Zostało bowiem jeszcze coś, co pomogłoby jej zamknąć poprzedni rozdział życia, ale wciąż nie czuła się do tego gotowa, czyli spotkanie twarzą w twarz z wyrostkiem, przez którego straciła oboje rodziców.

Początkowo powodowała ją chęć zemsty, teraz, kiedy ochłonęła i dotarło do niej, że to był po prostu wypadek, chciała przy najmniej wiedzieć, czy ten człowiek chociaż żałuje, czy dręczy go to tak jak ją. Znała jego adres, był klientem apteki, wciąż jednak nie miała odwagi tam pójść, nie będąc pewną swojej reakcji, gdyby na przykład się okazało, że on zupełnie nie pamięta tej sytuacji. Że ta sprawa była dla niego zupełnie nieważnym epizodem w życiu.

Jedyną osobą, która wyglądała na szczęśliwą, była Joasia, córka babci Zuzanny. Młoda aptelarka przeżywała swoją pierwszą, prawdziwą miłość. Przyjęty z ogłoszenia w gazecie magister farmacji okazał się przystojnym i bardzo interesującym mężczyzną, choć nie był już najmłodszy. Para przy padła sobie do gustu niemal od pierwszego spojrzenia.

„Ilustrowany Kuryer Codzienny”, jak się okazało, przyniósł Joasi nie tylko pomoc w aptecce, ale i miłość. Najbardziej cieszyła się z tego sama Zuzanna, która straciła już nadzieję na zięcia. Joasia była coraz starsza, miała już trzydzieści lat, a kandydata na męża do tej pory jak nie było, tak nie było.

W niedzielny poranek Matylda zjadła śniadanie z babcią w kuchni, Stefanek jeszcze spał, zresztą i tak rzadko siadał z nimi do stołu, Joasia zjadła coś w biegu i wybrała się świtkiem do kościoła, razem ze swoim adoratorem, który już zdążył się oświadczyć i oczywiście został przyjęty. Ślub – skromny z uwagi na żałobę w domu – zaplanowali na Wielkanoc.

– Dobrze, że kupuję tego „JKC-a” – zwierzyła się Matyldzie Kasperkowi z konspiracyjnym uśmiechem. – W „Czasie” ogłoszeń o pracę nie widziałam.

– Pewnie były, babciu, ale o takich sprawach jak zbrodnia Gorgonowej chyba za dużo tam nie pisali.

Matylda знаła prawdziwy powód, dla którego starsza pani kilka lat temu zaczęła regularnie kupować inną gazetę. Zuzanna Kasperkowi z uwagą śledziła szczególnie procesu Rity Gorgonowej, guwernantki, która zabiła siedemnastoletnią córkę swojego pracodawcy i kochanka. Zanim sąd zdążył ją osądzić, zrobili to już czytelnicy popularnych gazet oraz przekupki na rynku. Nikt nie miał wątpliwości co do winy kobiety.

– Oj, tam, oj, tam! W „Czasie” za dużo tej polityki, nic, tylko zbrojący się Niemcy, Hitler i groźba wojny. Jak można tak straszyć, przecież dopiero niedawno wojna była, a tu przy najmniej piszą o ży ciu.

– I o śmierci – mruknęła Matylda. – Jak babcia może oglądać te straszne zdjęcia z miejsca zbrodni? Przecież oni tam pokazują ze szczegółami każdą ofiarę mordu. Mnie to nie przeraża, ale żeby babcia na to spokojnie patrzyła?

– A kto ci powiedział, że spokojnie? – obruszyła się Kasperkowi. – Serce mi się kraje, jak na nich patrzę.

– Nie dość, że ofiary, to jeszcze narzędzia zbrodni ze śladami krwi. Wszystko, żeby tylko sprzedać więcej egzemplarzy spragnionym sensacji czytelnikom. To hieny, babciu, a nie dziennikarze.

– Wygląda na to, że sama przeglądasz, a mnie masz za złe.

– Trudno nie widzieć, kiedy ta gazeta wala się po całej kuchni. – Matylda wzruszyła ramionami. – Poza tym wcale nie mam babci za złe. Dziwię się tylko i tyle.

Wstała od stołu, wstawiła swoje naczynia do miski z wodą i wyszła z kuchni. Chwilę później słychać było, jak w przedpokoju włożyła płaszcz i buty, robiąc przy tym więcej hałasu niż zwykle. Potem trzasnęły drzwi wyjściowe. Po chwilowym uspokojeniu Matylda znów chodziła rozdrażniona i wszystko wszystkim miała za złe. Zuzanna Kasperkowi martwiła się, bo nie wiedziała, co dręczy ukochaną wnuczkę.

Włączyła aparat radiowy, czterolampowy telefunk, ostatni prezent Antoniego dla Wiktorii. Oboje byli wielkimi miłośnikami nowości i postępu, toteż cieszyli się z tego zakupu jak dzieci. Zuzanna znów poczuła ły pod powiekami.

O dziesiątej zwykle nadawano nabożeństwo z bazyliki Najświętszej Marii Panny w Krakowie. Postanowiła wysłuchać mszy w domu, a do kościoła wybrać się dopiero po południu, kiedy i tak, aż do kolacji, nie było co robić w domu. Po hejnale z wieży mariackiej nadawano zwykle poranek muzyczny, później zaś jakiś ciekawy odczyt. Posłucha radia z przyjemnością, nawet pogadanki dla rolników. Wszystko, byle tylko zabić tę nieznośną ciszę w domu. I własne myśli.

Coś jeszcze miała zrobić, ale zupełnie nie pamiętała co. Pamięć coraz częściej ją zawodziła. Chyba zaczynać się starzeć, westchnęła ciężko Zuzanna.

Tymczasem Matylda postanowiła po prostu się przejść, bez konkretnego celu. Musiała w samotności przemyśleć sporo spraw, a najlepiej jej się myślało podczas spaceru. W domu nie bardzo miała po temu warunki, bo babcię denerwował stukot kroków.

– Przezań tak chodzić jak tygrys w klatce – upominała dziewczynę. – W głowie mi się od tego kręci – narzekała.

Matylda szła przed siebie, kuląc się od zacinającego zimnego wiatru ze śniegiem. Po chwilowym ociepleniu powróciła zimowa pogoda jak to zwykle w marcu. Padający od kilku dni śnieg zasypywał ulice i chodniki, dozorczy nie dawali sobie rady z jego usuwaniem. Zdążyli tylko odśnieżyć chodnik przed kamienicą, a chwilę później znów był zaspany. Wszędzie rozlegały się szurania łopat i przekleństwa pracujących ludzi. Pomimo niedzieli od samego świtu oczyszczali ulice w pocie czoła, mając wrażenie, że robią w kółko to samo, a bez widocznych efektów.

Matylda szła przed siebie, przedzierając się przez syjący w oczy śnieg, i powoli zaczynała żałować, że wyszła z domu w taką pogodę. Zastanowiła się, czy w pobliżu nie mieszka ktoś znajomy, kogo mogłaby przy okazji odwiedzić. Rozejrzała się wokół i mimo padającego gęstego śniegu zauważyła stojący przy torach kolejowych dom. Jego numer i nazwa ulicy wydały jej się znajome. Tak po chwili była już pewna, stała pod domem chłopaka, który przyczynił się do śmierci jej matki.

W pierwszej chwili chciała zawrócić, doszła jednak do wniosku, że skoro los ją tu przy prowadził, powinna skorzystać z okazji. Inaczej nigdy sama się na tę wizytę nie zdecyduje.

W ciemnej sieni kamienicy przy torach kolejowych czuć było woń gotowanej kapusty i rozkładu. Prawdopodobnie jeden z wałęsających się wszędzie kotów, a może szczur zakończył tu swój żywot. Drewniane, rzadko myte schody zaprowadziły Matyldę przed odrapane, zniszczone drzwi na pierwszym piętrze. Zastukała w nie z całej siły.

– Wejść, otwarte – usłyszała dobiegający z mieszkania słaby kobiecy głos.

Leżąca na łóżku pod oknem kobieta przykryta była aż po uszy wielką pierzyną. W mieszkaniu było zimno, z ust Matyldy unosiła się mgiełka pary.

– Pani od właściciela? – Kobieta usiłowała podnieść się niezdarnie na widok gościa. – Zapłacimy za kilka dni, na pewno.

Matylda rozejrzała się po skromnie umeblowanym pokoju. Tylko kilka niezbędnych sprzętów, stół, dwa krzesła i szafa na ubrania. W kącie, za zastoną z cienkiego materiału, widać było wygasły piec kuchenny ze stojącymi na nim garnkami.

– Nie, nie jestem od właściciela. Szukam Maksymiliana Grabarczyka. To pani syn?

– Panienko Przenajświętsza, a co on znowu przeszkrobał? Skaranie boskie z tym huncwotem. Ukradł coś?

– Nie. Spowodował śmierć mojej matki.

Kobieta opadła z powrotem na posłanie, wpatrując się niedowierzającym wzrokiem w Matyldę. Przez chwilę nie była w stanie wydusić ani słowa.

– Jj... jak to... Zabił ją?! – spytała, kiedy już pierwszy szok minął. – To trudne dziecko, chowane bez ojca, kradnie, to prawda, ale żeby miał kogoś zabić? To niemożliwe przecież...

– A jednak – Głos dziewczyny stwardniał. Przepeliła ją tłumiona wcześniej złość. – Nie zabił bezpośrednio, ale to przez niego zmarło dwoje najdroższych mi ludzi, matka, a potem z żalu po niej ojciec.

Kobieta z niedowierzaniem wysłuchiwała suchej relacji Matyldy.

– Mój Boże... a tak prosiłam, żeby nie brał w tym wszystkim udziału. Przecież i jemu mogli zrobić krzywdę, to dziki motłoch. Ale gdzie tam, posłucha taki? – Ukryła twarz w dłoniach.

Za oknem przejechał z ciężkim sapaniem pociąg. Szyby zdrząły, zadźwięczały naczynia w niewidocznym za zasłoną kredensie. Chora zaniosła się bolesnym kaszlem i przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– Może podać pani coś do picia? – Matylda poczuła się niezręcznie. Nie miała nic do tej wymizerowanej kobiety, która wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku. To nie ją spodziewała się tu zastać.

– Co pani zamierza? – Tamta machnęła ręką na propozycję i wytarła zażawione od kaszlu oczy rąbkiem zadziwiająco czystej w tych warunkach poszwy. Patrzyła na Matyldę jednocześnie ze strachem i błaganem o litość.

– Jeszcze nie wiem, ale chyba nie wyobraża sobie pani, że ujdzie mu to na sucho. Powinien ponieść zasłużoną karę.

Nie dokończyła, bo nagle za jej plecami trzasnęły drzwi wejściowe.

– Mamusiu, zobacz tylko, co zorga...! – Młodzieńczy głos umilkł nagle, jakby ktoś zatkał usta mówiącemu. – Zorganizowałem... – dokończył ciszej zaskoczony chłopak spoglądając szeroko otwartymi oczami na gościa. Poznał Matyldę, widział ją już wcześniej na cmentarzu, bo poszedł na pogrzeb tamtych ludzi. Jakoś czuł, że powinien.

Z rzuconego na podłogę worka wysypało się kilka bryłek węgla.

– Co tu się dzieje?! – Chłopak wyprostował się nagle i podszedł do łóżka matki, jakby chciał ją osłonić. – Czego pani chce od mamy? Ona jest chora. Wynocha z naszego domu!

– Maksiu... – Kobieta wyciągnęła dłoń, jakby chciała go powstrzymać. – Przestań, tak nie można.

– A co nas tu nachodzi bez zaproszenia? – nie dawał za wygraną. Chwylił stojący w kącie pogrzebacz i uniósł go do góry. – Wynocha!

Głos zawiódł go nagle, zmieniając się w pisk. Chłopak najwyraźniej przechodził właśnie mutację.

– Bo co? – Matylda poczuła, jak złość zaczy na uderzać jej do głowy. – Zabijesz mnie? Tak jak moją matkę?

Wyrostek przez chwilę stał z groźną miną, a potem nagle opuścił pogrzebacz, rzucił go na podłogę i zakrył twarz brudnym od węgla dłońmi.

– Jezu... przecież ja nieumyślnie... – Zaniósł się płaczem jak małe dziecko. – Ja nie chciałem... Potrafił mnie taki jeden i zamiast w szybę trafiłem w konia. Jak tylko zobaczyłem, co się stało, od razu poleciałem na pogotowie, żeby ich zawiadomić. Kiedy tam dobiegłem, to dopiero ktoś do nich dzwonił z apteki. Byłem szybszy...

Spojrzał w twarz Matyldy, z nadzieją, że ta ostatnia informacja będzie jakąś okolicznością łagodzącą, a potem mówił dalej szybko, jakby w obawie, że ta groźnie wyglądająca kobieta mu

przerwie i nie wysłucha do końca.

– Rzucalem przecież nie do ludzi, tylko w wystawę sklepu. Należało mu się. To znaczy nie sklepowi, tylko temu Żydu.

– Żydowi – odruchowo poprawiła go Matylda.

– No to mówię przecież. Trochę mu pomagałem, czasami nosiłem towar, ale mnie wyrzucił na zbyte pysk. Prosiłem, że mama chora, że nie mamy na komorne, ale nie chciał słuchać. Wyrzucił mnie na kopniakach, drań. Ale i w niego bym przecież nie rzucał, tylko w ten cholerny sklep. Niech mu się spali! – dodał, zaciskając pięści.

Matylda stała bez słowa, zupełnie nie wiedząc, co dalej. Nie tak sobie wyobrażała spotkanie z zabójcą matki. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa i nie takie wzbudzić w niej uczucia. Teraz ogarnęło ją współczucie dla tej przerażonej kobiety i jej równie przestraszonego syna.

– Niech cię wszyscy diabli! – Ruszyła w jego kierunku. – Niech cię diabli! I co ja mam teraz z tobą zrobić? Najchętniej zabiłabym cię na miejscu.

Chłopak schylił się po pogrzebac i wyciągnął go w kierunku Matyldy.

– Dobrze, niech pani zabija, byle szybko. I tak ciężko mi się z tym żyje. Ale musi mi pani obiecać, że zajmie się moją mamą.

– Maksiu! – Kobieta wyskoczyła z łóżka i zasłoniła syna swoim ciałem. – Niech się pani nie waży go tknąć choćby palcem!

Matylda przenosiła niedowierzający wzrok z matki na syna.

– Czy wyście do reszty powariowali?... Co to za przedstawienie? Żaden teatr, nawet szkolny, by tego nie kupił. Czy ja jestem morderczynią?

– Ale tak pani wygląda...

– A ty wyglądasz na durnia. Zresztą nie ja będę ci wymierzała sprawiedliwość. Od tego jest policja i sąd. Tymczasem rozpal w piecu, bo matka przeziębi się przez ciebie jeszcze bardziej.

Spojrzała na bose stopy chorej, siniejące od zimnej podłogi, i zaprowadziła kobietę, wciąż jeszcze nieufną, do łóżka. Tymczasem chłopak rzucił się z ulgą w kierunku części kuchennej. Po dłuższej chwili w małym pomieszczeniu powoli zaczęło się rozchodzić ciepło. „Zorganizowanego” węgla nie mogło starczyć na zbyt długo, ale przynajmniej teraz można było coś ugotować na blasze.

– Zaraz zrobię coś do jedzenia. – Maks sięgnął znów do worka i wyjął z niego pokryty pyłem węglowym bochenek chleba oraz główkę czosnku.

– To też ukradłeś, jak węgiel? – Matylda spojrzała na niego groźnie.

– Węgiel to... jak by tu... no, zabrałem kilka bryłek ze stacji. Leży tam i nikt się nim nie interesuje. Lokomotywa z zimna nie umrze – dokończył z wyzwaniem w głosie.

– A jedzenie też tam leżało?

– O nie! – Chłopak oburzył się szczerze. – Jedzenie kupiłem za pieniądze.

Widać było, że matka, która przysłuchiwała się ich rozmowie, nie śmiała zapytać, skąd je miał.

Matylda nie miała takich oporów.

– Zarobiłem – odpowiedział im obu tonem pełnym urazy. – Nająłem się dziś rano do odśnieżania i zarobiłem tyle, że na jedzenie akurat starczyło. Na komorne nie, ale może właściciel tak szybko nas nie wyrzuci. Śnieg pada cały czas, to jutro znów coś zarobię.

Uciekł znów do części kuchennej, żeby ta dziwna kobieta nie zadawała więcej pytań.

Matylda poszła za nim, ciekawa, jak chłopak radzi sobie w kuchni. Maksymilian położył na rozgrzanej płycie cienkie kromki czerstwego chleba, potem każdą potarł czosnkiem, a następnie cieniutko posmarował smalcem. Widać było, że w tym domu nic nie mogło się zmarnować. Świeży chleb miał zostać na później.

– Pani się częstuje. – Podał gościowi jedną z pachnących kromek.

Matylda wzięła z lekkim oporem i ostrożnie ugryzła mały kawałek. Ku jej zaskoczeniu pachnący czosnkiem chleb okazał się wyjątkowo smaczny. Pochwaliła młodego kucharza i powoli zaczęła się zbierać do wyjścia. W zamyśleniu zapinała wolno guziki palta. W mieszkaniu było już cieplej, ale ona wciąż czuła przeraźliwy chłód, panujący tu wcześniej.

– Słuchaj no, jak ci tam?

Chłopak nadal krzątał się przy gorącym już piecu. Nastawił w garnku wodę, do której wrzucił skórki słoniny i kilka kawałków jakichś jarzyn, wyjętych z przepaścistego worka. Widać było, że nie pierwszy raz gotuje.

– Maks, pszepani. To znaczy Maksymilian.

– Słuchaj, Maksymilianie, zawrzyjmy umowę. Masz tu na komorne, ale pamiętaj, że to tylko pożyczka. – Zatrzymała w powietrzu dłoń ze zwitkiem banknotów. – Odrobisz mi co do grosika. Potrzebuję kogoś do pomocy w sklepie z herbatą. Odpowiada ci taki układ?

– Mogę spróbować, co mi tam.

– Nie próbuj, tylko od razu jutro masz się stawić na Szpitalnej. Sklep znajdziesz łatwo. Jak nie przyjdiesz, wrócę tu po pieniądze. Pamiętaj.

Pożegnała się z kobietą, która wciąż jeszcze sprawiała wrażenie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co tu zaszło, i ruszyła w stronę drzwi.

– A jak powiesz komuś o naszej umowie – zatrzymała się z dłonią na kłamce – to już na pewno cię zabiję.

ROZDZIAŁ 5

W ciepłej kuchni powoli zapadał zmrok. Przez małe okno, zastawione doniczkami z geranium i trzykrotką, wpadała do środka niebieska poświata od sypiącego bez przerwy śniegu. Zima wciąż nie chciała odejść, trudno było uwierzyć, że to niemal koniec marca. Siedząca na wygodnej ławie przy piecu Matylda przeciągnęła się z przyjemnością. Na rozgrzanej blasze bulgotała pod przykrywką karma dla świń na następny dzień. Zapach dzieciństwa, kojarzący jej się ze spokojem i bezpieczeństwem.

Tylko tu czuła się bezpiecznie i u siebie. Tu, czyli w Mogile, u babci Heli i Julka, najdroższego braciszka, pocieszyciela i powiernika wszystkich tajemnic. Teraz też wybrała się tutaj, żeby odwiedzić babcię, wypłakać się przed Julkiem i poprosić o radę. Nikt nie potrafił jej zrozumieć tak jak on. Zastępował jej przyjaciele, których właściwie nigdy nie miała. Małgosia, córka cioci Zosi, była młodszą, nie każdy więc sekret Matylda mogła jej powierzyć. Niektóre sprawy potrafił zrozumieć tylko Julek.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi w sieni i tupanie, gdy przyszywany brat strząsał śnieg z butów. Po chwili wszedł do kuchni, uśmiechnięty i zaczerwieniony z zimna. Ruszył w stronę pieca, wyciągając zmarznięte dłonie. Z jasnych, nieco zbyt długich blond włosów zaczęły skapywać krople roztopionego śniegu.

Kiedy już nieco się ogrzał, usiadł na ławie obok Matyldy.

– No i co, siostrzyczko? – Trącił ją żartobliwie w bok, żeby trochę się przesunęła i zrobiła mu miejsce. – Jak za dawnych lat, prawda?

Matylda przytuliła twarz do jego szorstkiego swetra, przesiąkniętego zapachem obory i zwierząt. Nie było wątpliwości, że chwilę wcześniej Julek doił krowy.

– Powiedz, Lulku – zaczęła niepewnie – czy ty wiedziałeś, że Filip, syn dziadków, wstąpił do zakonu?

– Wiedziałem, dlaczego cię to interesuje?

– Tak jakoś sobie o nim teraz przypomniałam. Czemu nigdy nic nie mówiłeś?

– A pytałeś? – Wzruszył ramionami. – Zresztą wtedy byłem jeszcze dzieckiem, niewiele

pamiętam.

– Odwiedzał rodziców?

– Widziałem go tylko raz, na pogrzebie dziadka i gdy chowano twoich rodziców. Ci bonifratrzy chyba nie bardzo mogą sobie tak swobodnie chodzić, gdzie chcą. To przecież zakon, obowiązują ich pewne reguły. Wiem tylko, że babcia nieraz go odwiedzała. Ale dlaczego o to pytasz?

– Śniła mi się ostatnio mama. I właśnie Filip, jej pierwsza miłość. Co dziwne, w moim śnie był już zakonnikiem i miałam mamie za złe, że wiąże się z osobą duchowną. – Matylda rozplakała się nagle. – Ciężko mi, Lulku, tak bardzo ciężko. Nie mogę sobie poradzić z brakiem mamy. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, kim dla mnie była. I że stale miałam jej coś za złe, nawet teraz, we śnie.

– Daj spokój, Mati. – Julek objął ją mocniej i pocałował w czubek głowy. – Może nie byłaś najłatwiejszą córką, ale ciocia Isia wiedziała, że ją kochasz. Ona zresztą też nie potrafiła okazywać miłości, więc z całą pewnością doskonale cię rozumiała. Byłyście do siebie podobne pod tym względem.

– Babcia Zuza też mi to powtarza, ale wcale nie jest mi łatwiej z tego powodu. Ja wiem swoje.

– No właśnie, na tym polega twój problem. Zawsze wiesz więcej i lepiej od innych. Przestań być taką wszystkowiedząca, a będzie ci łatwiej w życiu. Ale to dobrze, że z nim się spotkałaś.

– My ślisz?

– A nie widać tego po mnie? – Julek udał, że zmartwiło go pytanie Matyldy.

– Ach – roześmiała się. – Przestań błaznować, pytam poważnie.

– Tak właśnie myślę. Chcesz ciepłego mleka? – Zmienił szybko temat, widząc, że Matylda zaczyna się rozklejać. – Przed chwilą udoilem.

– Pewnie, że chcę. – Uśmiechnęła się blade.

– Powiedz mi lepiej, co teraz zamierzasz. Wracasz do teatru, do grania? – spytał, kiedy dziewczyna odstawiła pusty już kubek na stół.

Matylda otarła wierzchem dłoni gęstą białą pianę z górnej wargi.

– Już wróciłam, chociaż nie wiem, na jak długo. Kryzys dotarł i tam, coraz mniej ludzi ma pieniądze na rozrywkę, dy rektorzy obcinają więc koszty, gdzie tylko się da. Zwłaszcza na nowych angażach. Każą mi się uczyć tańca i śpiewu, podobno to ma teraz przyszłość.

– Więc zacznij się uczyć. Musisz przecież coś robić, gdybyś miała stracić to, co masz teraz.

– A kto ci powiedział, że nic nie robię! – Matylda wyswobodziła się z objęć Julka i spojrzała na niego z oburzeniem. – Zajmuję się sklepem ojca, pomagam babci przy zbiórce i rozdziale ciepłych ubrań dla najbiedniejszych dzieci w mieście, doglądam...

– Dobrze już, dobrze – zaśmiał się głośno, ukazując przy tym piękne zęby i urocze dołeczki w policzkach. – Chciałem cię tylko sprokocować. Rozzłoszczona Matylda to dobra Matylda.

Howgh!

– Ty draniu! – Trzepnęła go w ucho, aż się skrzywił.

– Znowu mnie bijesz – pozałił się z udawanym smutkiem. – Zawsze wykorzystywałeś sytuację, wiedząc, że jako prawdziwy dżentelmen nigdy ci nie oddam. Jak będziesz tak traktowała każdego mężczyznę, nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Matylda spochmurniała.

– Nie chcę wychodzić za mąż. Mężczyźni są do niczego. Oprócz ciebie, rzecz jasna. Ale ty nie jesteś mężczyzną.

– Noo... dziękuję ci bardzo. – Julek uśmiechnął się z przekąsem.

– Wiesz przecież, co miałam na myśli. – Znów przytuliła się do niego. Przez szorstki materiał swetra można było wyraźnie wyczuć twarde mięśnie młodzieńca. – Jesteś moim bratem, chociaż nie jesteśmy spokrewnieni. Ale wychowywaliśmy się razem. Najlepszy m bratem, jakiego tylko los mógłby mi dać. I żałuję, że nie mogę na ciebie patrzeć inaczej, bo bybyś dla mnie idealnym mężem. A tak nawiasem mówiąc, masz już kogoś? Opowiadaj!

Julek uśmiechnął się do własnych myśli.

– No, jest taka jedna. Śliczna dziewczyna, poznałem ją kilka miesięcy temu na zabawie w remizie. Spotykamy się czasami, ale nic jeszcze między nami nie było. Nie dotknę jej chyba nigdy, nie odważę się.

– Jak ma na imię to niedotykalne чудо?

– Basia. – Julek wypowiedział to imię z taką tęsknotą w głosie, że Matylda poczuła zazdrość. Nie o niego, tylko o uczucie, którego sama jeszcze nie poznała i, być może, nigdy nie pozna.

– Musisz mi ją kiedyś przedstawić. Koniecznie.

– Nie, jeszcze nie teraz! – odrzekł przestraszony. Kochał Matyldę nad życie, ale obawiał się, że swoim zachowaniem mogłaby spłoszyć jego wybrankę. – Jeszcze za wcześnie, ale bądź pewna, że kiedyś ją poznasz. Jestem ciekaw twojego zdania na jej temat. Ale jeszcze nie teraz – powtórzył, czerwieniąc się nagle.

– No tak – Matylda w mig zrozumiała jego obawy – boisz się, że mi się nie spodoba i dam jej to odczuć jak w przypadku, jakiej tam było? Zochy?

– No, prawdę mówiąc, trochę się tego właśnie obawiam...

– Ale ta cała Zocha nie dorastała ci do pięt. To było takie głupie dziewczę, że aż strach. Nie dla ciebie. Absolutnie.

– Według ciebie żadna nie będzie dorastała. Pamiętasz, co było z Bernadettą? Albo z Kasią?

– Oj, bo wybierałeś same głupie cielątka.

– Przecież jestem tylko zwykłym kowalem. – Julek machnął lekceważąco ręką. – Mądre panny mnie nie zechcą.

– Zwykły kowal! – prychnęła rozzłoszczona Matylda. Jej rozpuszczone włosy załśniły w świetle lampy jak ogień. W połączeniu z ogniem w oczach dawało to obraz, którego prawie wszyscy się bali. Matylda potrafiła być nieobliczalna. – Ciekawe, ilu „zwykłych kowali” jest tak czytanych jak ty? Ilu z nich ma w domu taką bogatą bibliotekę, ilu chodzi do teatru? Przystań, bo cię kopnę.

– Ale to tylko dzięki tobie, siostrzyczko. Kto mnie zmuszał, żebym chodził oglądać twoje występy? Kto kazał kupować każdą nowo wydaną książkę?

– A nie czytałeś ich?

– Czy tałem. Wszystkie, możesz mnie przepytać.

Do kuchni weszła zaspana Helena Michalska, osłaniając oczy przed światłem. Wyjęła z kredensu kubek, podeszła do bańki i nalała sobie mleka.

– Człowiek nawet wyspać się w tym domu nie może – zaczęła zrzędzić, patrząc przy tym z miłością na dwójkę swoich „wnuków”. – Znów się kłócicie. Zupełnie jak w dzieciństwie. Skaranie boskie z wami. Do łóżek, ale już!

Młodzi wyprosiłi od babci „jeszcze chwileczkę”, bo mieli mnóstwo spraw do omówienia, a z samego rana Matylda musiała wracać do Krakowa.

– Dobrze, ale żeby mi cicho tu było – zgodziła się Helena. – Nie chcę słyszeć żadnych kłótni.

Rozmawiali niemal do świtu. Udało im się nie pokłócić, chociaż mieli odmienne zdanie w kwestii odwiedzenia biologicznego ojca przez Matyldę. Początkowo niechętny temu Julek zgodził się w końcu z argumentacją dziewczyny. Sam był ciekaw, jacy byli jego prawdziwi rodzice. Wiedział o nich tylko tyle, że nie żyli, kiedy znaleźli go, głodnego i zabiedzonego, wracający do Krakowa uchodźcy. Julek dałby wiele za to, żeby cokolwiek się o nich dowiedzieć. Chyba każdy człowiek jest ciekaw swoich korzeni.

Matylda zamierzała pojechać do Paryża w końcu kwietnia, było więc jeszcze trochę czasu, żeby zacząć się martwić. Teraz oboje cieszyli się, że są razem, przypominając sobie szczęśliwe, pomimo wojny, dzieciństwo.

– Zawsze przecież śpiewałaś i tańczyłaś. – Ucieszył się, kiedy opowiedziała mu o swoich lekcjach. – Woląłem to niż tamte ambitne role, przy których trudno mi było zachować powagę, kiedy widziałem twoje miny.

– Nie znasz się, prosty kowalu. – Zmrużyła oko.

– Wiesz – Julek z trudem stłumił ziewanie – chciałbym, żebyś mi w czymś doradziła. O ile jeszcze masz siłę słuchać. Jaknie, pogadamy następnym razem.

– Gadaj natychmiast. – Matylda nie chciała czekać do żadnego „następnego razu”. – Nie wiem, kiedy znów się spotkamy, a przez ten czas umrę z ciekawości, co wymyśliłeś. Pewnie jednak chcesz się żenić, co?

– Nieee. To nie to. Nie wiem, jak zacząć...

– Najlepiej od początku.

– No bo widzisz... – Julek z trudem znajdował słowa. – Nie idzie mi to kowalstwo, nie mam jakoś do tego serca. Podobało mi się, jak jeszcze żył dziadek, bo on był prawdziwym mistrzem w swoim fachu, nie to, co ja. Potrafił wykuć prawdziwe cuda. Pamiętasz tę kratę z motywami liści dla naszego księdza? To było...

– Nie idzie ci kowalstwo. I co w związku z tym? – Matylda przerwała mu niecierpliwie.

Julek nabrał w płuca powietrza i wypuścił je z ciężkim westchnieniem. Nie było mu łatwo wypowiedzieć na głos tego, co już od dłuższego czasu zaprzętało jego myśli.

– Postanowiłem sprzedać kuźnię – wyrzucił w końcu z siebie jednym tchem. – Mam już nawet nabywcę, za bardzo dobrą cenę. Tylko boję się, co na to powie babcia. Pomożesz mi ją przekonać?

– Na miłość boską, Lulek! Pozbywasz się źródła dochodu, bo nie masz do tego serca? I co zamierzasz dalej robić? Siedzieć w domu i bąki zbijać?

Julek zerknął niepewnie na Matyldę i tylko mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

– A mógłbyś głośniej? Wyrażnie? – Powoli traciła cierpliwość. – Podaj mi choć jeden porządny powód, przekonaj najpierw mnie.

– Marzy mi się prawo...

– A nie lewo? – zakpiła Matylda, lecz nagle spoważniała. – Zaraz, zaraz. Prawo? Czy ty chcesz powiedzieć, że wybierasz się na studia prawnicze?...

– To właśnie usiłuję ci powiedzieć, sekutnico.

Julek spoglądał z obawą na milczącą Matyldę. Brak natychmiastowej reakcji mógł tylko

oznaczają ciszę przed burzą. Spodziewał się gromów.

Ale dziewczyna była po prostu zaskoczona. Tak zaskoczona, że chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

– No, powiedź coś w końcu! – Julek nie wytrzymał.

– Ale dlaczego akurat prawo?

Zaśmiał się cicho, żeby nie obudzić babci.

– Bo przy twoim charakterku przyda się jakiś prawnik w rodzinie. A tak poważnie od dawna o tym marzyłem.

– No, to jest mocny argument. – Matylda z uznaniem pokiwała głową. – Jestem z Ciebie bardzo dumna, braciszku. Bardzo!

ROZDZIAŁ 6

Matysiu, patrz! Myszy dobrały nam się do gazet! – zawołała babcia Zuzanna, zaglądając za piec. – A tak się zastanawiałam, co za farfocle latają mi tu po kuchni.

– Cioci się dobrały do gazet, nie Matysi – mruknął nieoczekiwanie Stefanek. Tak rzadko się do nich odzywał, że niemal zapomniały jego głosu. – To ciocia zbiera te szpargały.

– Żadne tam szpargały. – Kasperkowa po chwili odzyskała głos. – Wiecie przecież, że czytam w „Czasie” powieść w odcinkach. No i z czego się śmiejecie oboje?

Stefanek, któremu z początku trudno było przekonać się do niepokornej Matyldy, z biegiem czasu odkrywał w niej coraz więcej cech swojej zmarłej siostry i bardziej się zbliżył do dziewczyny. Matylda też zmieniła stosunek do wuja, kiedy usłyszała od babci Zuzanny smutną opowieść o jego życiu. To ona teraz, gdy zabrakło Wiktorii, zabierała go na spacer po mieście i nad Wisłę, w jego ulubione miejsce od dzieciństwa. Lubił, kiedy opowiadała mu ciekawe historie, pokazywała, co się zmieniło w mieście, prowadziła go tam, gdzie powstawały nowe kamienice. Uwielbiał śledzić postępy budowy. Jeszcze do niedawna był pusty plac, a tu z dnia na dzień rosły mury z cegieł. Stefanek cieszył się tym jak dziecko. Ale najbardziej lubił wyprawy do piekarni po chleb. Jak dawniej z Wiktoria, tak teraz z jej córką nosił ciężki, pachnący bochenek, parząc sobie przy tym dłonie. Coraz rzadziej wspominał Kasię i jej synka. Czasem tylko na widok chłopca w wieku Jasiulka oczy zachodziły mu łzami i znowu milkł na kilka dni.

– Lepiej pomóżcie mi to sprzątnąć – fuknęła speszona Kasperkowa. – Co już się nie nadaje, pójdzie do pieca, a co dobre, zostawcie. Może nie wszystko pocięły. Lubię czasem poczytać stare numery.

– Babciu, moim zdaniem wszystko nadaje się tylko do pieca. – Matylda wstała od stołu, wciąż jeszcze rozbawiona.

– Ale może chociaż odcinki powieści ocalały? Powycinałabym je sobie.

– Przecież już dawno je cioci powycinałem i posklejałem – zdziwił się Stefanek – Ale mogę sprawdzić, czy jakieś nie zostały.

Wyciągnął na środek kuchni cały stos gazet i zaczął je metodycznie przeglądać, odkładając

niezniszczona na bok. Matylda z westchnieniem przyłączyła się do niego.

– Chwila, chwila! – zawołała nagle, chwytając gazetę, którą Stefanek właśnie odłożył do spalania. Była niemal doszczętnie zniszczona przez myszy, dało się jednak zauważyć wypisane tłustym drukiem nazwisko koleżanki z teatru.

„Znany reżyser i producent filmowy, Jędrzej Milnicz, poślubił wczoraj młodą aktoreczkę, Elizę Roztoczańską. Faktem tym Milnicz zadał kłam pogłoskom, jakoby...”

Ciąg dalszy tej informacji znały teraz tylko myszy, ponieważ właśnie ta część została przez nie niemal doszczętnie pocięta.

– Niech to diabli! – Matylda rzuciła resztkami gazety o ziemię. – Akurat to musiały zeżreć!

– Nie klnij – upomniała ją Kasperkowa. – Wiesz, że to grzech.

– Wiem, wiem – mruknęła w roztargnieniu Matylda, rozglądając się po kuchni. – A babcia zbiera również „JKC-a”? Ten brukowiec musiał zamieścić podobną informację, pewnie nawet ze zdjęciami szczęśliwej pary.

– No, trochę numerów mam. A o który konkretnie ci chodzi? I dlaczego?

– Tam jest wiadomość o ślubie koleżanki, którą spotkałam kiedyś na mieście. Nie wyglądała na zbyt szczęśliwą w małżeństwie, ale nie chciała o tym rozmawiać. Zdaje się, że w tej gazecie było wyjaśnienie. No cóż, przepadło. Trudno.

Na szczęście dało się odczytać datę na górze strony.

– To numer z pierwszego stycznia.

– Wiesz, że nigdy niczego nie wyrzucam, więc powinnam gdzieś mieć. O, proszę, jest! – Zuzanna triumfalnym gestem wyjęła dwa styczniowe numery „Kuryera” ze stosu gazet.

Informacja o ślubie Elizy była w tym z drugiego stycznia. Duże, trochę niewyraźne zdjęcie ukazywało uśmiechniętego, przystojnego, elegancko ubranego mężczyznę; u jego boku stała piękna blondynka w długiej białej sukni z welonem. Oboje uśmiechnięci, sprawiali wrażenie szczęśliwej młodej pary. Podpis pod zdjęciem informował tłustym drukiem, że:

„Jędrzej Milnicz, znany reżyser, poślubił wczoraj piękną gwiazdkę, Elizę Roztoczańską, tym samym kładąc kres ohydny m plotkom, jakoby był pederastą, a nawet miał skłonności do małych dziewczynek. Ci, którzy go o to posadzali, a nawet szykowali haniebny proces, niech teraz posypią głowy popiołem i spalą się ze wstydu. Wystarczyło tylko przyjrzeć się nowożeńcom podczas ceremonii ślubnej. Wielkiego uczucia, jakie łączy tę młodą parę, nie dałoby się tak doskonale odegrać. Pan młody wręcz pożerał wzrokiem swoją świeżo poślubioną małżonkę, która odwzajemniała mu się tym samym. Wesele na kilkaset osób, wyprawione w hotelu Grand, trwało do białego rana. Tańcom i radości nie było końca”.

– To pewnie ona cię namówiła na ścięcie włosów – domyśliła się Kasperkowa, oglądając zdjęcia modnie uczesanej panny młodej.

Matylda uśmiechnęła się w duchu na samo wspomnienie tamtej reakcji babci. Zuzanna nie mogła jej darować tego kroku. Pomijając już fakt, że tak krótkie włosy nosiły „tylko ładacznice”,

stwierdziła, że dziewczyna oszpecila się jedynie i teraz już żaden porządny mężczyzna się z nią nie ożeni.

Matylda miała jeszcze nadzieję, że chociaż Julek pochwali jej nową fryzurę, ale na pytanie: „No i jak?”, odpowiedział krótko: „Jak Meduza z krótkimi wężami”.

Rzeczywiście, krótkie włosy dziewczyny wily się teraz w bujnych lokach wokół jej bladej twarzy, co tylko przydawało jej uroku, ale rodzeństwo rzadko prawilo sobie komplementy, więc i tym razem Julek nie chciał zrobić wyjątku. Zauważył jednak, że sprawił siostrze przykreść.

– No dobrze, zmieniam zdanie. Nie jak Meduza, tylko dorosła i ruda Shirley Temple.

Matylda nie potrafiła długo się na niego gniewać. Zerknęła w lustro i poprawiła niesforne włosy.

– Tak sądzisz?

Podobało jej się to porównanie, bo uwielbiała dziecięcą gwiazdkę Hollywoodu, której roześmiane zdjęcia widniały w każdym niemal czasopiśmie poświęconym filmowi. Uroczą dziewczuszką z masą złotych loków na głowie i dołeczkami w policzkach podbijała wszystkie serca.

– A wiesz, wyczytałam ostatnio w „Kinie”, że podobno matka kręci jej włosy w każdy dzień przed zdjęciami, tak żeby miała na głowie dokładnie pięćdziesiąt dwa loki.

– Dlaczego akurat pięćdziesiąt dwa? – zainteresował się Julek

– Nie mam pojęcia, tego już nie napisali.

Matylda była przekonana, że mamie, wbrew opinii babci, mogłaby się spodobać jej nowa fryzura. Jedyne, co by się z pewnością nie spodobało Wiktorii, to palenie papierosów. Matylda zasmakowała w zakazanym w tym domu owocu i popalała po cichu w swoim pokoju. Babcia, której nigdy do głowy by nie przyszło, że wnuczka pali, skarżyła się nieraz, że w domu śmierdzi dymem i pewnie to wina zapchanego pieca. Wezwany spec wzruszył jednak ramionami i stwierdził, że lepiej by było, gdyby ci, którzy palą papierosy w domu, częściej wietrzyli pokoje.

Został przegnany przez babcię na cztery wiatry, z ostrzeżeniem, żeby więcej się nie pojawiał, skoro potrafi tylko takie głupoty opowiadać.

– Przez takich fachowców z bożej łaski ludzie umierają od zaccadzenia – złończyła jeszcze przez pół dnia, a Matylda czuła się jak przyłapaną na gorącym uczynku. Od tego dnia pamiętała, by wietrzyć sypialnię.

A więc tak wygląda sprawa, pomyślała teraz ze smutkiem, odkładając gazetę na bok Ślub jako zasłona dymna. Przez chwilę nawet zrobiło jej się żal złośliwej koleżanki.

Był czas, kiedy marzyła, jak niemal każda młoda dziewczyna, o karierze wielkiej gwiazdy. Co innego grać w teatrze, a co innego w filmie dźwiękowym. Gazety, zwłaszcza te brukowe, prześcigały się w opisach życia gwiazd, zamieszczały fotografie pięknie ubranych kobiet o długich rzesach, cienkich łukach brwi i mocno umalowanych ustach. Na innych zdjęciach sławne aktorki wychodziły ze swoich limuzyn lub spoczywały na miękkich poduszkach, z kieliszkami szampana w dłoni, otoczone zbytkiem i przepychem. Wprawdzie działo się to głównie w Ameryce, ale przecież i w Polsce coraz lepiej rozwijał się przemysł filmowy. Piękne dziewczęta tłumnie ciągnęły więc do Warszawy, by spróbować swoich sił na ekranie.

Ich naiwność wykorzystywali różnej maści naciągacze, często się okazało, że dziewczyna

zamiast na plan filmowy trafiała do domu rozpusty. Handel kandydatkami na gwiazdy kwitł w najlepsze i żadne nawoływania, by zachować rozsądek, nie pomagały.

Nieliczne miały jednak szczęście, udawało im się złapać pracę statystki i chociaż w ten sposób mogły zaistnieć na ekranie. Naśmiewano się z „gwiazdek”, które zrobiłyby niemal wszystko, żeby tylko dostać jakąkolwiek rolę. Matylda z rosnącym niesmakiem czytała, że ponoć podczas kręcenia *Bezimiennych bohaterów* reżyser, nie mogąc sobie poradzić z oblegającymi aktorów statystkami, wywiesił na ich garderobach żartobliwe ostrzeżenia:

„Tu się ubiera Adam Brodzisz. Nie zbliżaj się doń, bo... urodzisz”.

„Tu się ubiera Eugeniusz Bodo. Nie patrz mu w oczy, bo cię uwiodą...”.

Jakież głupie te wszystkie dziewczyny, myślała Matylda, przerzucając strony gazety donoszącej o kolejnej naiwnej, którą odnaleziono w jakimś domu publicznym w Berlinie zamiast w wytwórni filmowej. Ta i tak miała szczęście, że ją uratowano. Inne ginęły bez śladu i nigdy nie miały się odnaleźć.

Jak można aż tak stracić rozum? Matylda nie mogła tego pojąć. Kandydatki na gwiazdy tak łatwo wpadały w sidła naciągaczy, że trudno było żałować tych dziewczyn. W końcu każdy jest kowalem własnego losu, powtarzała ulubioną sentencję matki.

Sama natomiast czuła się coraz bardziej rozdarta. Nie miała pomysłu na życie, błyskotliwa kariera aktorska stawała się coraz mniej realna. Na stały angaż raczej nie mogła liczyć, a grywanie w teatrze od czasu do czasu nie zaspokajało jej ambicji.

Marzyła jej się akademia teatralna z prawdziwego zdarzenia. Chodziły słuchy, że wkrótce taka szkoła ma zostać otwarta w Warszawie, ale zbyt dużo spraw trzymało Matyldę w Krakowie, żeby mogła się przenieść do innego miasta.

– Dlaczego uparłaś się na aktorstwo i nie chcesz studiować farmacji jak twoja mama? – spytał Julek podczas jednej ze swoich wizyt w Krakowie. Załatwiał właśnie formalności związane ze swoimi studiami prawniczymi. – Apteka powinna zostać w rękach rodziny, a Joasia jednak do niej nie należy. Jeśli kiedyś będzie miała dzieci, wszystko przejdzie na nie, a to przecież wasza rodzinna spuścizna. Jeśli dobrze pamiętam z opowiadań cioci Isi, apteka należała już do ojca twojego dziadka. To kilka ładnych pokoleń. Nie żal ci?

– To tylko apteka. – Dziewczyna wruszyła ramionami. – Przecież jestem współwłaścicielką, swoje udziały mam i więcej mi nie potrzeba. Nie mamy o czym mówić.

– Hm... skoro tylko pieniądź się dla ciebie liczy, to rzeczywiście nie mamy o czym mówić.

Julek doskonale znał Matyldę i wiedział, którą strunę w jej sercu należy potrącić. Wprawdzie teraz wyglądała tak, jakby chciała go zabić spojrzeniem, ale wiedział, że dał jej do myślenia.

– Jeszcze nie zacząłeś studiów, a już przemawiasz jak nudny prawnik. Nie czuję powołania do tego zawodu, rozumiesz? Apteka odebrała mi mamę, nie mam żadnych dobrych wspomnień z tego miejsca.

– A jednak poświęcasz jej sporo czasu. Wiem, że pomagałaś Joasi, zanim przyjęłyście do pracy jej obecnego narzeczonego, a i teraz chodzisz do nich, żeby segregować leki. Czyli znasz się na tym.

– Jak miałabym się nie znać, skoro przesiadywałam tam od dziecka? Wyjąwszy pobyt

w Mogile, resztę dzieciństwa spędziłam w aptece. Może dlatego tak mam jej dość. Nie wiem, muszę się nad tym poważnie zastanowić. Powiedz lepiej, czy babcia oswoiła się już z myślą o twoich studiach.

Matylda pomagała Julkowi przekonać Helenę Michalską do tego pomysłu. Staruszka była zaskoczona i z początku nie potrafiła podjąć decyzji. Kuźnia należała do jej rodziny, odkąd tylko kobieta pamiętała, a teraz wszystko to miałoby przejść w obce ręce. To było dla niej trochę za trudne. Z drugiej zaś strony wnuk „mecenas” to prawdziwy powód do dumy. Czuła się jednak rozdarta, bo wyjazd Julka do Krakowa oznaczał rozłąkę i samotność, a ona nie była już najmłodsza.

– Ile tak właściwie babcia ma lat?

– Skończyła już sześćdziesiąt. Wprawdzie jak na swój wiek jest krzepka i jeszcze bardzo ruchliwa, ale metryki nie oszukasz – dokończył rozbawiony.

Oboje zaczęli się śmiać na wspomnienie ostatniego spisu ludności, kiedy to obie babcie usiłowały ukryć swój wiek przed inspektorem spisowym.

– Czy li jest starsza od babci Zuzy o jakieś osiem lat. To duża różnica w tym wieku. I na czym w końcu stanęło?

– No cóż, nie mogę zostawić babci samej, postanowiłem więc, że będę dojeżdżał codziennie na zajęcia do Krakowa i wracał na noc do Mogiły. Babcia nie dałaby sobie rady sama, zwłaszcza jak przyjdzie zima. Wprawdzie z inwentarza została już tylko krowa, ale i przy niej jest trochę roboty. Mówiłem, żeby ją sprzedać, ale babcia niemal wpadła w rozpacz na samą myśl o pozbyciu się „gadzin”. Przyzwyczaiła się do obrządku, poza tym musi mieć jakieś zajęcie. Pracowała ciężko przez całe życie, brak pracy by ją zabił.

– Masz rację, ale jak ty sobie dasz radę z codziennymi dojazdami, zwłaszcza zimą?

– Będę musiał, innego wyjścia nie ma. Nie zostawię przecież babci samej.

Matylda zamysliła się na chwilę.

– A gdyby sprowadzić ją tutaj, na Grodzką, i oboje zamieszkalibyście u nas? Jest sporo pokoi, pomieścimy się.

– Wątpię, Mati. – Julek pokręcił głową. – Nic by z tego nie wyszło, sama wiesz, że starych drzew się nie przesadza. Najgorzej będzie na początku, potem jakoś się ułoży, nie martw się, siostrzy czko.

Przytulił Matyldę do szerokiej piersi i przez chwilę kołysał ją jak dziecko.

– Jak dobrze, że mam ciebie.

– A ja ciebie. – Matylda przytuliła się mocniej do niego. – Zastanowię się nad tym, co powiedziałeś o tej farmacji. Ale to dopiero wtedy, kiedy nie uda mi się z teatrem. Nie wcześniej.

ROZDZIAŁ 7

Panująca w Krakowie grypa zmusiła Matyldę do zmiany planów. Poważnie chora babcia Zuzanna wymagała już stałej opieki, dziewczyna musiała więc zrezygnować, przynajmniej na jakiś czas, z wyjazdu do Paryża. Napisała przepraszający list do ciotki Ivonne, obiecując, że odwiedzi ją, jak tylko sytuacja na to pozwoli.

– Chciałaś poznać swojego ojca, a teraz, z mojego powodu... – Zuzanna Kasperkowa czuła się winna.

– Babciu kochana, nie wolno babci nawet tak myśleć. – Matylda nie pozwoliła jej dokończyć. – Nie znałam go przez tyle lat, to kilka tygodni czy miesięcy nie sprawi żadnej różnicy. Zresztą, tak prawdę mówiąc, zaczynam się zastanawiać, co mi to da, że go zobaczę. Nic mnie przecież z tym człowiekiem nie łączy. Jeżeli się wybiorę do Paryża, to głównie po to, by odwiedzić ciotkę Ivonne i jej męża, a nie żeby poznać hrabiego Pascala Castillona du Manon. Dla mnie to tylko napuszone nazwisko, nic więcej – dodała z pogardą.

Stan zdrowia babci Zuzanny niepokoił Matyldę bardziej, niż się do tego przyznawała. Wyjątkowo ciężka grypa z powikłaniami i spowodowała, że silna i energiczna do tej pory kobieta została unieruchomiona w łóżku i nawet nie miała siły krzątać się po domu. Przestraszona nie na żarty Joasia sprowadzała do apteki najlepsze z dostępnych na rynku preparaty wzmacniające dla matki, niestety, stan chorej się nie poprawiał. Dramatycznie też pogorszyły się kłopoty babci Zuzanny z pamięcią, co regularnie sprowadzany do domu lekarz próbował tłumaczyć ogólnym osłabieniem organizmu.

Tylko że te problemy pojawiły się już kilka lat wcześniej, lecz z początku nikt nie przywiązywał do nich zbyt dużej uwagi. Tłumaczono je zmęczeniem, wielkim, przepracowaniem. Teraz jednak się nasiliły.

– Joasiu, dziecko moje kochane – zwróciła się pewnego dnia do córki podczas wspólnego obiadu przy stole w kuchni. Stanowczo odmawiała jedzenia w łóżku, tłumacząc, że tylko obłożnie chorzy mają ten przywilej, a ona do takich się nie zalicza. – Obym tylko doczekała twojego ślubu...

Matylda i Joasia wymieniły spłoszone spojrzenia.

Jedynie wuj Stefan spokojnie przeżywał kęs mięsa z rosółu. Jego stan właściwie nie ulegał zmianie od momentu powrotu z Wiednia. Nadal żył we własnym świecie i strugał zabawki dla Jasiulka, „kiedy tylko znowu się zobaczą”. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że ukochany bratanek, a jego przybrany syn, skończyłby teraz dwadzieścia lat.

– Mamusiu... – Joasia pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia. – Przecież ślub już był... na Wielkanoc...

Kasperkowa spojrzała zdumiona na córkę.

– Co ty opowiadasz? Zaraz, zaraz... – Klepnęła się ze śmiechem w czoło. – Co za gapa ze mnie! Rzeczywiście, przypominam sobie teraz, byłaś taka piękna jak Wiktoria w dniu jej ślubu. Nawet suknię miałaś podobną. Nie, to była jej suknia, prawda?

– Tak – Joasia odetchnęła z ulgą. – Mamusia sama namówiła mnie, żebym ją włożyła, twierdząc, że zrobimy z tego tradycję w naszej wspólnej rodzinie, dopóki suknia będzie się nadawała do użytku. Następna w kolejce jest Matylda.

– Oj, nieprędko, nieprędko. – Dziewczyna machnęła ręką. – Obawiam się, że jeśli nawet zdecyduję się kiedyś na ten krok, suknię już dawno mole i myszy zjedzą.

Joasia zaśmiała się głośno z jej żartu, ale Zuzanna miała poważną minę.

– Martwi mnie to moje zapominanie – przyznała się cicho. – Żeby nie pamiętać ślubu własnej córki? Co się ze mną dzieje?

– Słyszałam ostatnio – Matylda starała się, żeby jej głos zabrzmiał pewnie i spokojnie – że ta grypa wywołuje różne komplikacje. Między innymi także problemy z pamięcią, więc nie ma powodu, żeby babcia się tym zamartwiała. Już przecież wiosna, jest coraz cieplej, słońeczko świeci i za chwilę będziemy mogły wychodzić na długie spacery. Babci potrzeba świeżego powietrza, ot co.

Jednak Matylda i Joasia martwiły się tymi objawami. Początkowo składały wszystko na karb osłabienia chorobą, co sugerował lekarz, jednak teraz ich niepokój wzrastał coraz bardziej. Zuzanna Kasperkowa nie była aż tak stara, żeby tłumaczyć jej stan zmianami związanymi z wiekiem. Niedawno skończyła zaledwie pięćdziesiąt dwa lata, za wcześniej więc było na starcze osłabienie umysłu.

– Poczytajcie mi lepiej, co w prasie – zaproponowała Zuzanna. – Ostatnio męczy mnie nawet czytanie.

– Nic ciekawego, babciu – odrzekła z westchnieniem Matylda, sięgając po najnowsze wydanie „Czasu”. – I nic pocieszającego. Wprawdzie Hitler przegrał wcześniej w drugiej turze wyborów prezydenckich z Hindenburgiem, ale teraz wciąż rośnie w siłę. W Wolnym Mieście Gdańsku wciąż niespokojnie, na ulicach pojawiły się bojówki hitlerowskie, a ich dowódca wydał odezwę, w której nawołuje do zalania Gdańska nowymi zebraniem i manifestacjami, żeby „wrogowie poczuli obecność Niemców”.

– Źle to wygląda, masz rację – przyznała Joasia. – Podobno w tej samej odezwie przypomina, że od zwycięstwa Hitlera w Niemczech zależą dalsze losy Gdańska. Mój mąż twierdzi, że nowa wojna już wisi w powietrzu.

– Nasz Marszałek nigdy do tego nie dopuści – wtrąciła milcząca do tej pory Kasperkowa.

Jak większość rodaków wierzyła święcie w Józefa Piłsudskiego, była jego najzagorzalszą stroniczką i biada temu, kto by się wyraził o nim bez należytego szacunku.

– A wiecie – dodała po chwili – czytałam gdzieś przepowiednie jakiegoś jasnowidza na temat przyszłości Hitlera. Gdzie to było? A, chyba w sobotnim wydaniu, sprawdźcie.

Stefanek, który nie brał udziału w rozmowie, wstał ciężko od stołu i podszedł do stosu gazet przygotowanych do spalenia. Tylko on, jak nikt inny, potrafił zawsze odszukać konkretny numer. Rzeczywiście, chwilę później z poważną miną podał go Matyldzie.

Dziewczyna na rozłożyła z szelestem płachtę papieru i mrużąc oczy, zaczęła przeglądać poszczególne strony.

– O, jest! – krzyknęła uradowana. – Nadzwyczajne, babciu, co za pamięć. Nie chcę już nawet słyszeć o jakichś wymyślonych kłopotach z pamięcią.

Uszczęśliwiona Kasperkówna poprawiła się na niewygodnym kuchennym krześle.

– Dobrze już, dobrze – mruknęła, z trudem ukrywając uśmiech. – Czytaj lepiej.

– „Znany jasnowidz stolicy niemieckiej, Erik Jan Hanussen – zaczęła Matylda głośno i wyraźnie – przepowiada przyszłość Adolfa Hitlera. Bla, bla, bla...”.

– Jakie „bla, bla, bla”? – Zuzanna usiłowała odebrać gazetę Matyldzie. – Czytajże, dziecko, porządnie.

– No bo to jakieś bzdury. – Dziewczyna wruszyła ramionami. – Dobrze, już czytam dalej. „Widzę w niedalekiej przyszłości – oświadczył słynny jasnowidz – szereg zmian szczęśliwych i nieszczęśliwych w życiu tego człowieka. Musi dbać o siebie, czuwać nad swoim zdrowiem, które jak dotąd było dobre; niech uważa na odżywianie się i serce”. I na regularne wypróżnianie książki stolcowej – dorzuciła od siebie, z trudem zachowując powagę.

– Naprawdę? – Babcia Zuzanna niecierpliwym ruchem wyrwała gazetę z rąk Matyldy. – Eee, co ty mi tu wymyślasz? Przecież wcale tak nie napisali.

– Babciu, takie bzdury może pisać każdy i o każdym. Nie trzeba do tego jasnowidza.

– Ale było też o jakimś zamachu. Czytaj dalej, tylko już bez błaznowania.

„Mała rana powstała na prawej ręce może być groźna. Grozi mu zamach. – Matylda posłusznie wróciła do lektury. – Troski spowodowane wewnętrznymi rozterkami i osobistymi zawodami spowodują u niego depresję moralną. W partii będą scysje. Hitlera zdradzi jeden z obecnych przyjaciół. Hitler utrzyma się na stanowisku szefa partii. Podda swój program polityczny rewizji, uczyni go bardziej umiarkowanym. Partia nie straci na popularności, wręcz przeciwnie, zyska. Najbliższe wybory przysporzą mu głosów. Życiu Hitlera grozi zamach. Jego sprawcą będzie zagraniczny student, niezrównoważony umysłowo. Zamachowi uda się zapobiec”.

Pogodny nastrój Zuzanny Kasperkowej zmienił się nagle, jakby ktoś przelknął wyłącznik w radiu.

– Muszę się trochę położyć – oświadczyła znużonym głosem. – Jutro poczytamy trochę gazet, gdzieś widziałam artykuł o Hitlerze. Bardzo ciekawy, mówię wam. Jakiś jasnowidz przepowiada mu przyszłość. Ale to jutro, teraz zaprowadź mnie do mojego pokoju, Isiu.

Matylda i Joasia spojrzały po sobie z lękiem.

Stan chorej pogarszał się niemal z dnia na dzień. Babcia Kasperkowa coraz bardziej zamyślała się w swoim własnym świecie, zdarzało się, że nawet nie rozpoznawała domowników.

Tymczasem z Mogiły nadeszły kolejne smutne wieści. Spłonął dom, w którym mieszkali Julek z babcią. Na szczęście chłopak nie został tej nocy w Krakowie, co mu się nieraz zdarzało, kiedy zbyt późno kończył zajęcia na uniwersytecie. Jak sam później mówił, chyba miał jakieś przeczucie.

Wrócił zmęczony i od razu poszedł spać. Babcia nie spała, bo widział w szparze pod drzwiami jej pokoju blask świecy. Julek usnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. W środku nocy obudził go zapach dymu i dziwna łuna. Na w pół przytomny zerwał się z łóżka i wpadł do pokoju babci. Zdążył ją wyprowadzić z domu i wynieść co cenniejsze rzeczy, kiedy kryty strzechą dach załamała się z głośnym trzaskiem i sypiąc iskrami, spadł na miejsce, w którym jeszcze chwilę temu spali. Na szczęście dobrzy sąsiedzi zdążyli w tym czasie wypuścić zwierzęta z obory.

Najpierw podejrzewano umyślne podpalenie, wyglądało jednak na to, że doszło do nieszczęśliwego splotu wydarzeń. Babcia Michalska, próbując oszczędzać na prądzie, korzystała coraz częściej ze świeczek. I prawdopodobnie tej nocy zapomniała zgasić tę, która stała przy jej łóżku.

Matylda zaproponowała im mieszkanie na Grodzkiej i nie chciała słyszeć o żadnej odmowie. Babcią Michalską przekonał w końcu argument, że przy okazji pomoże w opiece nad Zuzanną. Nielubiące się z początku kobiety na stare lata bardzo się zaprzyjaźniły. Łączyły je ze sobą wspólne, choć nie rodzone wnuki. Teraz jeszcze miało się wkrótce urodzić dziecko Joasi, z czego Zuzanna Kasperkowa już nie zdawała sobie sprawy, a Helena, stęskniona za obecnością maluchów w domu, nie mogła się go doczekać.

Matylda była bardzo wdzięczna babci Michalskiej za pomoc. Zdawała sobie sprawę, że nie poświęca drugiej babci zbyt wiele czasu. Owszem, Stefanek dużo pomagał, Joasia, jako córka, również, ale przecież one obie miały swoje życie i swoje zajęcia. Teraz chora zyskała najlepszą opiekę z możliwych. Babcia Michalska okazała się bardzo troskliwą i sprawną pielęgniarką, chociaż Kasperkowa już jej nie poznawała.

Julek potrzebował spokoju do nauki, wynajął więc małe mieszkanie w pobliżu, dosłownie po drugiej stronie ulicy, żeby być na każde zawołanie, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Na Grodzką chwilowo zawitał spokój. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

ROZDZIAŁ 8

Najdroższa Mati, moja jedyna bratanico!

Ze smutkiem przyjęliśmy Twoją decyzję o ponownym odłożeniu wizyty w Paryżu na czas nieokreślony, rozumiemy jednak doskonale, że w tej sytuacji nie chcesz zostawiać babci. Jakże to życie Ci się skomplikowało, biedactwo moje. Co do choroby babci Zuzy, mieliśmy podobny przypadek w rodzinie mojego męża. Jego, wcale nie taki stary, stryj zachowywał się podobnie. Nie chcę Cię straszyć, moje dziecko, ale nie zakończyło się to szczęśliwie, niestety. Podobno nikt nie wie, co to za choroba i skąd się bierze. Niektórzy lekarze uważają, że z nieznanых powodów mózg chorego sam się zaczyna unicestwiać. Nie trać ducha, kochanie, ale będziesz potrzebowała dużo sił do opieki nad babcią.

Dziękujemy za piękne prezenty, które nam wysłałaś. Antoine, mój drogi mąż, niemal nie rozstaje się z tym pięknym, ciepłym swetrem. Nie mogłaś sprawić większej radości mojemu zmarzłuchowi. A ja całuję Twoją śliczną buzię za piękne bursztyny i wszystkie inne podarunki. Dziękuję Bogu za taką bratanicę, żałuję tylko, że nie mieszkasz bliżej i tak rzadko się widzimy.

Kochanie, mieliśmy Ci oznajmić to razem z Antoine'em podczas Twojego pobytu u nas, ale los nie pozwolił. Dlatego też piszę o tym teraz.

Otóż ponieważ nie mamy własnych dzieci, a lat nam przybywa, postanowiliśmy uczynić Ciebie jedyną spadkobierczynią posiadłości w Le Gravier po naszej śmierci. Obiecaliśmy sobie nawzajem, że to z nas, które zostanie przy życiu, sporządzi testament na Twoją korzyść. Przekażemy Ci dom i wszystko, co się w nim znajduje, czyli całą kolekcję obrazów i antyków. Do domu należy też rozległy ogród i wysepka na rzece Sarthe. Pascal zrzekł się tego majątku, sprzedając go mojemu mężowi, więc nie ma już żadnych praw do posiadłości. Miałam jeszcze nadzieję, że zechce poznać swoją córkę, ale w dalszym ciągu upiera się, że nią nie jesteś. Może to nawet i dobrze, że nie miałaś okazji z nim się spotkać, czekałoby Cię tylko smutne rozczarowanie, a dość masz już powodów do smutku.

Całujemy Cię mocno i czekamy, kiedy będziesz mogła nas odwiedzić.

Twoja kochająca ciotka Ivonne z mężem

Matylda odłożyła list od ciotki na stolik. Ucieszyło ją, że wujostwu spodobały się prezenty. Miała je zawieźć sama, ale w końcu postanowiła wysłać wszystko pocztą. Mogło jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim uda jej się wyjechać do Francji, a chciała, by jej podarunki dotarły jak najrybciej. Niech im się przydadzą, zwłaszcza wujowi.

Matylda pamiętała, że ciotka zachwycała się kiedyś bursztynowym naszyjnikiem Wiktorii, będącym pamiątką po babci Klementynie Bernatowej. Postanowiła znaleźć podobny, kupiła też sznur prawdziwych koralów i piękną spódnicę w kwiaty. Dla wuja natomiast wyszukała fajkę z bursztynowym ustnikiem i ręcznie robiony ciepły sweter z owczej wełny. Zimy we Francji nie były wprawdzie tak srogie jak w Polsce, ale ciotka Iwonnie nieraz wspominała w listach o chudym jak szczapa mężu, który bez przerwy marznie.

Z zamkniętymi oczami próbowała przypomnieć sobie stary klasztor, który dawno temu został przebudowany i stał się posiadłością rodzinną Iwonnie i Pascala. Była tam tylko raz z matką i niewiele pamiętała, oprócz ogromnych pokoi w amfiladzie, błyszczących kamiennych posadzek i całego szeregu pociemniałych ze starości obrazów na ścianach. Pamiętała też rzekę Sarthe, przepływającą przez ogród ciotki, tak szeroką, że wydawała jej się wtedy niemal morzem, znanym z obrazków w książkach. Mała dziewczynka, stojąca na brzegu, nie była w stanie dostrzec drugiego brzegu za szarzieloną, wzburzoną taflą wody.

I cóż ja pocznę z tak wielkim domem? – pomyślała bez emocji. Musiałabym się przeprowadzić na stałe do Francji, a to nie jest dobry pomysł. Mam nadzieję, że wujostwo będzie żyli na tyle długo, że znajdą jakieś inne rozwiązanie. Ale to miłe z ich strony, że chcą mi zostawić rodzinny majątek.

Do pokoju weszła babcia Zuzanna z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– Nie wiesz, gdzie podziała się Isia? – spytała, rozglądając się wokół. – Była u mnie przed chwilą, a potem wyszła bez słowa. Tak się nie robi, muszę ją upomnieć. Ostatnio zrobiła się kłębna, nauczy ciella w szkole też się na nią skarżyła.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła, szurając za dużymi kaptami. Matylda zdążyła zauważyć, że babcia znów włożyła niemal wszystkie bluzki, jakie tylko znalazła w szafie. Ta z wierzchu była wywrócona na lewą stronę.

Dziewczyna westchnęła ciężko; przerażał ją stan Zuzanny. Chora coraz częściej myliła przeszłość z teraźniejszością, jak również Matyldę z Wiktorią. Wszelkie uwagi o kłębności wychowanki dotyczyły Matyldy, na jej matkę nigdy nie było żadnych skarg, co babcia często jej kiedyś powtarzała. Teraz jednak obie jej ukochane podopieczne zwały się w jedną postać.

Nawet mocno już zaawansowana ciąża własnej córki Zuzannie kojarzyła się z ciążą Wiktorii. Często, ku przerażeniu Joasi, użalała się nad nią, że biedaczka musi urodzić dziecko „tego potwora, który ją uwiódł”. Na tłumaczenie, że to dziecko ukochanego męża, uśmiechała się pobłaźliwie i mówiła: „Mój ty aniele, zawsze każdego wytłumaczysz. Samego diabła też byś usprawiedliwiła”.

Dużą pomocą dla Matyldy, oprócz babci Heli, był teraz wuj Stefanek. Opiekował się Kasperkową tak troskliwie, jak kiedyś własnym ojcem. Matylda ze wzruszeniem dostrzegała w nim całe pokłady czułości i miłości i nie dziwiła się już żonie Adama, która kiedyś wybrała właśnie tego bliźniaka. Brak inteligencji nadrobił dobrym sercem, jakiego nie miał chyba nikt inny w rodzinie.

Po chwilowym bezrobociu Matylda znów dostała propozycję zagrania w teatrze i chętnie

z niej skorzystała. Nic wielkiego, ale i to ją cieszyło. Chętnie wyrwała się choć na trochę z domu, w którym niełatwo było teraz wytrzymać.

Nawet nie zdawała sobie do tej pory sprawy z tego, jak bardzo brakowało jej sceny, widzów i całej atmosfery teatru. W takich właśnie chwilach, kiedy musiała wyjść na próbę, a potem na spektakl, pomoc innych przy babci okazała się nieoceniona. Opieka nad Kasperkową była coraz trudniejsza, nawet babcia Hela wydawała się już zmęczona, a Joasia, w zaawansowanej ciąży, nie mogła już podolać wszystkim obowiązkom. Zuzanna przewracała się często i nie potrafiła sama się podnieść. Zapominała, co należy zrobić, żeby stanąć z powrotem na nogi. Z nieszczęśliwą miną prostowała i zginała kolana, nie wiedząc, co dalej. Ruchy, które kiedyś wykonywała automatycznie, bez zastanawiania się, teraz zginęły gdzieś w zakamarkach jej biednego mózgu. Jedynie Stefanek mógł podnieść bezwładną babcie Kasperkową. Matylda była mu bardzo wdzięczna za pomoc. Bez niego nie mogłaby wrócić do tego, co najbardziej kochała.

Wracała do domu zmęczona, ale szczęśliwa. Teatr był jej życiem, dzięki scenie miała siły na walkę z przeciwnościami losu. Tych kilka godzin spędzonych poza domem dawało jej psychiczny odpoczynek. Opiekę nad babcią uważała za swój obowiązek, wypełniała go bez poczucia krzywdy czy specjalnego poświęcenia. Babcia ją wychowywała i troszczyła się o nią w dzieciństwie, a teraz przyszedł czas, by spłacić dług.

Joasia urodziła zdrową dziewczynkę, nadal więc niewiele mogła zrobić przy swojej matce. Mała Marta zajmowała jej niemal cały czas, miała kolkę i płakała po nocach, nie pozwalając swoim rodzicom odpocząć. Mąż Joasi sam zajmował się apteką i nie bardzo miał czas, by pomóc żonie. Joasia nie była już najmłodszą matką i czynności, które wcześniej prawdopodobnie nie sprawiałyby jej większych trudności, urastały teraz do rangi problemu. Chronicznie niewyspana, sama zaczęła zapadać na zdrowiu, więc mąż, nie bacząc na jej protesty, wynajął opiekunkę do dziecka.

Niania nie zdała jednak egzaminu w oczach surowej babci Michalskiej, którą mała Marta zawojowała natychmiast. Dziewczyna zrezygnowała sama, nie mogąc znieść ciągłego wtrącania się starszej pani, i tak oto szczęśliwa babcia Hela zyskała kolejną wnuczkę.

Przynosiła spokojne teraz dziecko do pokoju Zuzanny, ale Kasperkowa już zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, kim są otaczający ją ludzie. Pojawienia się na świecie wnuczki też nie była w stanie zarejestrować. Jeśli nawet dostrzegła obecność niemowlęcia w domu, nie było tego po niej widać. Coraz częściej snuła się z nieobecny lub przerażony wyrazem twarzy po pokojach, a wszystko, co napotkała na swojej drodze, było dla niej obce i niepojęte. Matylda ze smutkiem obserwowała postępy tej strasznej choroby. Babcia nie poznawała już nikogo i broniła się zaciekłe, ilekroć ktoś usiłował jej dotknąć. Mogła to zrobić tylko Matylda, tylko ją chora wydawała się jeszcze poznawać. Nie pamiętała już nawet, jak się chodzi, wstawała od stołu i nie wiedziała, co zrobić, żeby nieposłuszne nogi ruszyły do przodu.

Pewnego dnia, tuż przed świtem, kiedy to według wierzeń ludowych otwierają się bramy zaświatów, Zuzanna Kasperkowa zapomniała, jak się oddycha, i zmarła po cichutku, nie budząc nikogo.

Odeszła kolejna ukochana osoba, w dodatku po tak strasznej i wyniszczającej chorobie, i Matylda zupełnie nie umiała sobie z tym poradzić.

– Dlaczego właśnie ona? – płakała w objęciach pocieszającego ją Julka. – Dlaczego ta najlepsza osoba na świecie musiała zachorować na coś, co zabiło jej duszę na długo przedtem, zanim umarła? To niesprawiedliwe! Gdzie jest Bóg, skoro na to pozwala?! Nie ma Boga, jest tylko jakiś złośliwy, szydreczy starzec, bawiący się naszym bólem!

– Matysiu, nie potrafisz ci tego wytłumaczyć – powtarzał bezradnie Julek – Pomyśl tylko, jeśli to cię może pocieszyć, że babcia nie została w tej chorobie sama. Otoczona była kochającymi i troskliwymi ludźmi, przynajmniej mogła się czuć bezpieczna. Widziałem podobnych do niej chorych w specjalnym przytułku, i to dopiero jest dramat. Obce miejsce, obcy i obojętni pielęgniarze wokół. Babci przynajmniej to zostało oszczędzone. Poza tym nie męczyła się tak długo jak inni. Ile to trwało, rok dwa?

– Jeśli wziąć pod uwagę pierwsze, lekceważone przez wszystkich objawy, to kilka lat. Ale najgorsze były ostatnie dwa miesiące.

– No widzisz, a niektórzy ludzie żyją z tą chorobą przez kilka lat. Lekarz twierdzi, że to serce nie wytrzymało. Ale babcia Zuza miała szczęście, że do końca była w domu, wśród najbliższych.

– Szczęście? Zasłużyła sobie na to jak nikt inny.

– Dobrze, że tak myślisz. Ja też jestem smutny, bo babcia Zuza to przecież i moje szczęśliwe dzieciństwo. Nie płacz. Została nam jeszcze babcia Hela, mamy siebie, nie jesteśmy sami.

– Śmiałam się z tych historii o kłątwie, ale teraz zaczynam w nią wierzyć. Mama, tatko, a teraz babcia. To nie może być po prostu przypadek Wierzyisz, że można kogoś przekląć? Całą rodzinę?

– Nie powinienem. Niedługo skończę studia, będę stąpającym twardo po ziemi prawnikiem, ale... ale sam już nie wiem, co o tym myśleć. Naprawdę nie wiem.

Zamilkli oboje, przytuleni do siebie jak dwoje małych, przestraszonych dzieci. Tak właśnie teraz się czuli.

– Matysiu – odezwał się cicho Julek – przy sięgnij mi, że będziesz o siebie dbała. Nie przeżyję, jeśli i ciebie stracę.

– Ty też przy sięgnij. Nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że mógłbyś umrzeć przede mną. Pamiętaj, tobie nic nie może się stać.

Do ciemnego już pokoju wszedł bez pukania wuj Stefanek Zapalił światło i mrużąc oczy od blasku lampy, spojrział na nich zdziwiony.

– A wy co tak siedzicie po ciemku? Chodźcie do kuchni, przygotowałem ciepłą kolację. Babcia Hela usypia dziecko, ale zaraz przyjdzie.

– Wuja też nigdy nie może zabraknąć. – Oboje roześmiali się z ulgą.

Paradoksalnie to właśnie on był teraz jedyną osobą, na której, oprócz babci Michalskiej, mogli polegać. Już dawno, bez żadnych specjalnych deklaracji czy zapowiedzi, przejął obowiązki Zuzanny w domu. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na to, że mimo jej choroby piece nadal są ciepłe, ogień pod blachą w kuchni rozpalony i stoi na niej ciepły posiłek. Wuj dbał o to wszystko nawet

wtedy, gdy sprowadziła się do ich domu babcia Helena.

Tylko zakupy musiał robić ktoś inny, bo Stefanek wciąż bał się wychodzić sam z domu.

ROZDZIAŁ 9

Siedemnastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, około godziny czternastej po południu nad Kraków nadciągnęły potężne zwały ciemnych, burzowych chmur. Zapadł tak gęsty mrok, że trzeba było zapalić lampy na ulicach. Powiadano, że ciemności były nawet większe niż podczas całkowitego zaćmienia słońca trzy lata wcześniej. Temperatura spadła nagle o siedem stopni, zrobiło się zimno i spadł ulewny deszcz, któremu towarzyszyły grzmoty i uderzenia piorunów. Kilka godzin później podobne zjawiska wystąpiły nad Kielcami i kolejno nad innymi miastami na trasie przejazdu pociągu z trumną Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Burza nad Krakowem pożywała czarne wstęgi i chorągwie, którymi udekorowano wszystkie ulice na trasie przejazdu konduktu żałobnego zmierzającego na Wawel. W witrynie apteki Matyldy i Joasi również znajdowała się żałobna dekoracja, jak i we wszystkich innych sklepach i mieszkaniach prywatnych.

– W gazecie dzisiaj pisali – klienci w aptece prześcigali się w opowiadaniu o niesamowitych wydarzeniach, związanych ich zdaniem ze śmiercią Marszałka – że dwunastego maja, czyli, rozumie pani... w dzień jego śmierci, w Chinach zerwał się potężny huragan i spadł śnieg. Podobno huragan potopił łódzie mieszkalne na rzekach.

– To w Chinach by pierwsze wiedzieli niż my? A co Marszałek miał wspólnego z Chinami? Żeby to jeszcze u nas, to rozumiem, jak dzisiaj na przykład, ale jakieś Chiny? To jakieś bzdury.

Matylda zeszła do apteki, żeby pomóc Joasi i jej mężowi. Napływ przyjezdnych, chcących wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych, spowodował też większy ruch w aptekach. Zdarzały się już omdlenia i zasłabnięcia, jak również zatrucia pokarmowe. Ludzie przywozili ze sobą prowiant, który się psuł, źle przechowywany.

– A ja wam powiem, że te całe ciemności dzisiaj i burze to nic innego jak siły nadprzyrodzone. – Starszy mężczyzna z czerwonym, niekoniecznie od zimna, nosem potoczył triumfującym wzrokiem wokoło. Cieszyło go zainteresowanie, które udało mu się wywołać. Wszyscy przecież wiedzieli, że uwielbiany Wódz interesował się astrologią i przepowiedniami, wierzył też w duchy i życie pozagrobowe.

– Pisali w jakiejś gazecie, że kiedy wspominał o duchach, co to go nawiedzały w Belwederze, miał powiedzieć: „No, poczekajcie, kiedy ja umrę...”. No i macie teraz, ha!

– Ale co mamy? – oburzyło się unisono kilka osób. – Dlaczego duch Marszałka miałby wyznaczać takie rzyzy?

– A ja z kolei słyszałam, że jego śmierć miała obudzić Ośrodek Mocy, talizman, znajdujący się pod Wawelem. Żeby tak się stało, musiał umrzeć wielki syn narodu, bo to on był drugą częścią tego talizmanu. I że hierarchia białej magii wyznaczyła na to przebudzenie właśnie ten dzień.

Kobieta, która to powiedziała, miała szczupłą twarz o surowych rysach i przenikliwe spojrzenie.

– A teraz – dokończyła z fanatycznym błyskiem w oku – moce ciemności starają się przeszkodzić w połączeniu się tych połówek i stąd te wszystkie zjawiska niecielesne.

Owymi „zjawiskami niecielesnymi” rzuciła już na koniec, widać było, że to jej własna myśl, w odróżnieniu od poprzednich, zapewne wyczytanych w miesięczniku metapsychicznym „Lotos”. Ale i tak wszyscy byli pod wrażeniem.

Matylda westchnęła ciężko i wróciła do swojej pracy na zapleczu. Musiała jak najszybciej rozpakować zamówione wcześniej leki. Jak zwykle segregowała je i wpisywała do księgi, żeby później wydać je do sprzedaży. Wyraźnie docierał do niej gwar ludzkich głosów, słyszała niemal każde słowo.

Jak to dobrze, że babcia Zuza tego nie dożyła, pomyślała ze smutkiem, ale i z ulgą; zdążyła odejść tuż przed uwielbianym przez nią Marszałkiem.

Zuzanna Kasperkowa spotkała kilka razy Piłsudskiego podczas jego spacerów, kiedy jeszcze mieszkał w Krakowie, raz nawet zamieniła z nim parę słów. Potem była jego najgorliwszą zwolenniczką. Z całą pewnością jego śmierć odebrałaby bardzo osobiście, dobrze więc, że los jej tego oszczędził. Wystarczająco dużo strat już doświadczyła.

Matylda wróciła wspomnieniem do ostatniej wizyty Marszałka, podczas Święta Kawalerii w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Wraz z Joasią i Julkiem zabrała wtedy babcie Zuzannę na krakowskie Błonia, gdzie stały pośród nieprzeliczonych tłumów ludzi, i z trudem udało im się zobaczyć postać Wodza na trybunie honorowej. Po przemówieniu zszedł z niej, odprowadzany okrzykami: „Niech żyje!”, i otoczony kordonem policji, żandarmerii i wojska udał się do samochodu. To była jego ostatnia wizyta w Krakowie i ostatnie wyjście z domu Zuzanny Kasperkowej. Już tam, na Błoniach, wydawało się chwilami, że babcia nie bardzo wie, co się dzieje i gdzie jest. Ścisk, hałas, okrzyki i wymachujące w geście pozdrowienia ręce tysięcy ludzi ją przerażały.

Ale to, że widziała, choćby z daleka, ukochanego Dziadka, pamiętała jeszcze długo.

Krakowianie, w tym również mąż Joasi, pracowali przez całą noc nad usuwaniem szkód spowodowanych wichurą i burzą. Wymieniano poszarpane chorągwie i wstęgi na latarniach, balkonach, oknach i wieżach kościołów. Następnego dnia rano miasto było już należycie przygotowane do uroczystości pogrzebowych. Około ósmej z minutami, czyli w chwili wjazdu pociągu z trumną Marszałka na dworzec krakowski, rozległ się potężny głos dzwonu Zygmunta. Ten dźwięk towarzyszył konduktowi przez całą drogę, aż do Wawelu. Wraz z nim rozkołysały się

inne dzwony kościelne, a w całym mieście, mimo dnia, zapłonęły latarnie otulone czarnym kirem.

Matylda, Joasia i jej mąż już z samego rana zajęli miejsce przy wjeździe na Wawel od strony Kanoniczej. Julek przemaszerał ulicami wraz z grupą studentów uniwersytetu. Pogoda była pochmurna, ale nie padało. Stali tam we troje aż do momentu przybycia lawety z umieszczoną na niej trumną Marszałka, zapowiedzianej dalekim dźwiękiem hejnału z wieży mariackiej. Do katedry nawet nie próbowali się dostać, miejsce w środku zarezerwowane było dla rodziny zmarłego, dostojników państwowych i kościelnych, wojska oraz dla licznie przybyłych zagranicznych gości. Pozostali więc na zewnątrz, wraz z tłumem innych ludzi, żeby chociaż w ten sposób towarzyszyć Marszałkowi w jego ostatniej drodze.

Nikt nie narzekał, nikt się nie pchał, otaczający Matyldę ludzie wydawali się inni niż tamci kłótniwi w aptece czy na rynku. W takich chwilach wszyscy potrafili się zjednoczyć; pamiętała słowa mamy, która zawsze powtarzała, że Polacy potrafią przemawiać wspólnym głosem, kiedy zachodzi wyższa potrzeba. Dopiero wtedy czują się jednością i zdolni są do patriotycznego zrywu.

Sto jeden wystrzałów armatnich, a chwilę później dźwięki hymnu państwowego oznajmiły wszystkim, że srebrna trumna została złożona w krypcie Świętego Leonarda i pogrzeb dobiegł końca.

– Masz ochotę wybrać się na seans spirytystyczny? – spytała nieoczekiwanie Mela, zmywając z twarzy makijaż. Wyglądała zabawnie z jednym okiem mocno wymalowanym na czarno, a drugim bezbarwnym już i jakby mniejszym.

Matylda parsknęła śmiechem. Rozśmieszyła ją sama propozycja, jak i wygląd koleżanki. Lubiała Melę, chociaż inni koledzy nie cenili zbytnio dziewczyny o wiecznie zdziwionych, ogromnych oczach. „Kredką i szminką wymalowany na twarzy pretensjonalny obraz inteligencji” – tak kiedyś określił Melę jeden z aktorów, z którym grała jakąś scenę w poważnej sztuce.

– Nie rozśmieszaj mnie. Nie wierzę w takie bzdury.

– Ale mówię ci, to naprawdę trzeba zobaczyć. Teraz modne są takie seanse, w co drugim domu je urządzają.

– No to ja mieszkałam w tym pierwszym. Daj spokój.

Ale Mela spokoju dać nie chciała. Widać było, że sama ma ogromną ochotę wziąć w tym udział.

– Daj się namówić... – Złożyła ręce jak do modlitwy. – No co ci szkodzi? A może pojawi się duch twojej mamy albo babci i coś ci podpowiedzą?

Matylda nie dała po sobie poznać, że akurat ten argument ostatecznie ją przekonał. Z opowiadań mamy, a potem babci wiedziała, że interwencje duchów, choć nie na seansach spirytystycznych, zdarzały się już w ich rodzinie. Poza tym nudziła się nieco. Nieznajomy z kawiarni już od dawna przestał się pokazywać w teatrze. Nie przyznawała się nawet sama przed sobą, że było jej trochę przykro i żal. Wprawdzie nadal nie szukała z nią bliższego kontaktu, ale zawsze z przyjemnością zauważała jego obecność na widowni. Doszła teraz do wniosku, że musiał sobie znaleźć inny obiekt westchnień. I była to bardzo przykra konkluzja.

– Nie wierzę w takie bzdury – udawała jeszcze, że się waha. – Pewnie używają do tego magicznej tabliczki, która odpowiada „tak”, „nie” albo „nie wiem”, a stół podskakuje, bo go ktoś podnosi nogą. Dziękuję za takie atrakcje.

– Tutaj duchy przemawiają przez medium. Znajoma mi opowiadała. Medium wpada w trans i przemawia różnymi głosami. Czasem nawet w różnych językach.

Matylda zgodziła się w końcu, wiedziała bowiem, że Mela tak łatwo nie zrezygnuje. Jak już się do czego zapaliła, drażyła sprawę, aż dopięła swego. Zresztą ona sama też była ciekawa owego eksperymentu. Poza tym miała cichą nadzieję, że może jednak uda jej się usłyszeć głos mamy, ojca albo choćby babci. Tak bardzo za nimi tęskniła. Dałaby wszystko, żeby choć przynajmniej raz usłyszeć znowu mamę. Nawet gdyby Wiktoria miała ją tylko upomnieć.

Umówiły się na wieczór; mieszkanie, w którym urządzano seans, znajdowało się zaledwie kilka przecznic od domu Matyldy.

Mela zapukała do drzwi w specjalny sposób, co już na wstępie rozbawiło Matyldę. Koleżanka ofuknęła ją ostro.

– Uspokój się w końcu. Jak zauważą, że stroisz sobie żarty, wyproszą nas jak amen w pacierzu. W seansie nie mogą uczestniczyć niedowiarki ani osoby psychicznie chore. To może sprowadzić złe duchy.

W szparze uchylonych drewnianych drzwi z mosiężną wizytówką państwa mecenasostwa Zajączkowskich ukazało się czujne oko. Właścicielka owego oka, służąca gospodarzy, uznawszy widocznie, że stojące w korytarzu dwie młode kobiety nie stanowią większego zagrożenia, otworzyła drzwi szerzej.

– Niech wchodzi – mruknęła. – Już chyba wszyscy są.

W saloniku państwa Zajączkowskich, przy owalnym stoliku z orzecha kaukaskiego, siedzieli już kilka osób. Matylda rozpoznała w żonie mecenasa stałą klientkę apteki. Dwie panienki zapewne były córkami gospodarzy. Oprócz nich znajdowali się tam również dwaj nieznanymi jej mężczyźni.

Mela z Matyldą zostały posadzone obok pozostałych, poproszono wszystkich o położenie dłoni na blacie stolika tak, aby ich małe palce stykały się ze sobą. Utworzono krąg, a potem odmówiono półgłosem modlitwę.

W pokoju panował półmrok, rozjaśniony nieco światłem kilku świec, które ustawiono w lichterach na znajdujących się w pokoju meblach.

Matylda, wbrew sobie samej, poddała się nastrojowi panującemu w niedużym pomieszczeniu. Nagle zrobiło jej się gorąco i duszno, poczuła coś jakby powiew ciepłego powietrza, wędrujący od czubków palców do dłoni. Miała ochotę wyjść stamtąd, wcześniej uprzedzono ją jednak, że pod żadnym pozorem nie można przerwać kręgu, kiedy już raz zostanie utworzony.

W tym momencie stół drgnął lekko, jakby poruszony niewidzialną siłą. Wszyscy trzymali ręce na blacie, wydawało się więc niemożliwe, żeby przesunął go ktoś siedzący w kręgu. Ale Matylda nie miała możliwości zajrzeć pod stół.

– Kim jesteś, duchu? – spytał poważnym głosem pan domu.

Dziewczyna poczuła na plecach zimne dreszcze. Już wcale nie było jej do śmiechu.

– Jestem... jestem...

Jedną z córek mecenasa Zajączkowskiego była medium. Matylda słyszała ją rozmawiającą z ojcem przed seansem, lecz teraz jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Przypominał głos małej

dziewczyny.

– Kim jesteś, dziecko? – pytał dalej mecenas, ale dziewczynka nie odezwała się już więcej, jakby po dzieciennemu przstraszyła się obcych ludzi.

Nieoczekiwanie dla wszystkich medium odezwało się nagle grubym, męskim głosem:

– Czego chcecie? Niech was wszyscy diabli! Czego?

Stolik zadrżał gwałtownie, tym razem jednak owo drżenie pochodziło raczej od uczestników seansu. Przez wszystkie dłonie przebiegł dreszcz strachu.

– Duchu – odezwał się niezrażony gospodarz – dziękujemy ci za wizytę, możesz odejść. Wracaj tam, skąd przyszedłeś. Dziękujemy i przepraszamy, że naruszyliśmy twój spokój.

Medium opuściło głowę na piersi i przez długą chwilę milczało. Wydawało się, że seans dobiegł końca i żaden przybysz z zaświatów już się nie pojawi. Dziewczyna zaczynała się wybudzać z transu, gdy nagle znów zeszytniała, a jej płacz zmroził wszystkich uczestników seansu.

– Kim jesteś, duchu?

– Jestem... matką...

Matylda nagle poczuła na karku dotyk zimnych i wilgotnych palców. Uciekłyby od stolika, gdyby nie to, że była jak sparaliżowana. Przez dłuższą chwilę nie mogła się poruszyć. Uczucie ciepła zastąpiło wrażenie przeciągu, jakby skądś wpadało do pokoju zimne powietrze. Rozejrzała się dyskretnie za źródłem tego chłodu i zauważyła poruszającą się lekko szparę w zasłonie okna. Siedzący po jej prawej stronie mężczyzna poruszył się niespokojnie, jakby noga mu ścierpła.

Głos zamilkł, medium zdawało się wychodzić z transu. Mistrz ceremonii podziękował duchom za przybycie i na jego znak przerwano krąg. Zapalono światło, a wtedy Matylda dostrzegła wyraźnie, że siedzący obok niej mężczyzna usiłuje wymacać pod stołem but gołą stopą. Druga noga, w skarpecie, tkwiła, jak należy, w lakierowanym trzewiku.

Nachyliła się w kierunku sąsiada.

– Na przyszłość radzę panu nabyć reklamowany ostatnio dinol, rewelacyjny płyn przeciw poceniu się stóp – szepnęła – wtedy palce ducha nie będą śmierdziały znoszonymi skarpetami.

Nie czekając na reakcję mężczyzny, ruszyła w stronę przedpokoju, z obrzydzeniem pocierając szyję chusteczką.

Jak to było do przewidzenia, Mela nie uwierzyła, że cały ten seans to jedno wielkie oszustwo, a samo przedstawienie jest raczej nieudane.

– Poza tym za bardzo rozmowne te duchy nie były, sama przyznasz.

– Wszystko wyśmiejesz, jak zwykle – skwitowała z pretensją w głosie koleżanka. – Wierzysz czy nie, na wszelki wypadek dobrze by jednak było, żebyś po powrocie obmyła się całą wodą z solą. To zapobiega „przyklejeniu się” zjawy do człowieka.

– O tak, na pewno dokładnie się obmyję – obiecała poważnie Matylda, otrząsając się ze wstrętem na wspomnienie wilgotnych i zimnych palców na karku.

ROZDZIAŁ 10

Młody mężczyzna długo się wahał, zanim pchnął drzwi apteki „Pod Złotym Moździerzem”. Wszedł do środka onieśmielony, nie wiedząc, do kogo się zwrócić. Kobieta stojąca za ladą zupełnie nie była podobna do tej, o której opowiadała mu matka.

– Dzień dobry, czym mogę panu służyć? – Joasia uśmiechnęła się zachęcająco do młodzieńca.

– Dzień... dzień dobry. – Zdjął szybko nakrycie głowy i uklonił się jak dobrze wychowany uczeń – Ja chciałbym z panią Wiktoria Bernat...

Joasia spojrzała na niego zdumiona. Widać było, że chłopak nie jest stąd, inaczej wiedziałaby, że Wiktoria już od kilku lat nie żyje. Z zaplecza wyjrzała zaintrygowana Matylda, która właśnie pomagała mężowi Joasi przy gotowaniu zamówionych leków. Wymieniły ze sobą zdziwione spojrzenia.

– Niestety, to niemożliwe. – Joasia pokręciła głową. – Wiktoria Bernat zmarła kilka lat temu. Ale może ja jestem w stanie jakoś pomóc?

– Jak to zmarła? – Oczy przybyłego rozszerzyły się ze zdumienia. – Nic o tym nie wiem, mama też nie...

Matylda uznała, że czas najwyższy wtrącić się do rozmowy.

– Jestem córką Wiktorii Bernat. A właściwie Boruckiej, bo mama wyszła za męża i zmieniła nazwisko. Mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność i kim jest pańska mama?

Młody mężczyzna spieszył się i jeszcze raz uklonił.

– Nazywam się Jan Bernat, jestem...

– Jak?... Jak pan się nazywa? – Matylda aż musiała przysiąść na krześle z wrażenia. – Jan Bernat? Czy może jest pan synem Adama?

– Tak, w rzeczy samej – ucieszył się. – Właśnie to chciałem powiedzieć.

Matylda podbiegła do kuzyna i objęła go w pół z okrzykiem radości. Jan wpadł w popłoch i najchętniej uciekłby z apteki, nieprzyzwyczajony do takich reakcji obcych ludzi. Ta dziwna, ruda dziewczyna z potarganymi krótkimi włosami wprawiła go w zakłopotanie, zanim dotarło do niego, że ma przed sobą nieznaną dotąd kuzynkę.

– Znaczy się, jesteście spokrewnieni? – upewnił się, nieśmiało uwalniając się z objęć Matyldy. – Bo Wiktoria to przecież była moja rodzona ciocia. Skoro pani jest jej córką, to jesteście już kuzynami, tak?

– Jak najbardziej – potwierdziła z uśmiechem. Najbardziej cieszyła się na myśl o radości wuja Stefanka, którego zdążyła już pokochać całym sercem. – Chodźmy na górę, nie róbmy tu przedstawienia.

Rzeczywiście, do apteki weszło kilka osób i zamiast kupować, stało, przyglądając się tej niecodziennej scenie.

Matylda usadziła Janka w kuchni przy stole, a sama zaczęła szybko przygotowywać jedzenie. Po tym, jak przełykał ślinę na widok wiszącej nad piecem kielbasy, poznała, że niespodziewany gość musi być głodny.

– Mogę ci mówić po imieniu? – spytała, krztując się w pośpiechu. – Jesteśmy przecież bliskimi kuzynami.

– Ależ oczywiście, proszę pani... to znaczy... jak pani na imię, bo zapomniałem?

– Matylda. – Roześmiała się głośno. – Mam na imię Matylda, a ty jesteś Janek, albo może wolisz Jasiulek?

– A skąd pani... skąd wiesz, że właśnie tak nazywał mnie tatko? Panie świeć nad jego duszą. – Przeżegnał się ze smutkiem.

– To wuj Adam nie żyje? Nic nie wiedzieliśmy, przykro mi.

– Jaki Adam? – Janek spojrzał na nią zdziwiony. – Mój tatko miał na imię Stefan, jego brat Adam był złym człowiekiem. To on odebrał mnie mamie i wysłał na śmierć tatkę.

– Zaraz, zaraz! – Matylda zamachała w powietrzu rękami jak dyrygent uciszający orkiestrę. – Najpierw coś zjedz, a potem spokojnie mi wszystko wytłumaczysz. Ja zresztą też mam ci niejedno do powiedzenia.

Postawiła przed Jankiem talerz dymiącej zupy grochowej, stojącej na piecu od obiadu. Młody człowiek, nieudolnie starając się zachować pozory dobrego wychowania, łykał ją pospiesznie, niemal parząc sobie przy tym usta. Na koniec wytarł talerz do sucha skórką chleba.

– Przepraszam. – Zorientował się nagle, że niezbyt mu wyszła ta demonstracja dobrych manier przy stole. – To przyzwyczajenie z sierocińca...

Matylda przyglądała się chłopakowi. Z opowiadań babci Zuzanny wynikało, że powinien być jej rówieśnikiem. Mama przyjechała z Paryża na ślub do brata, a wtedy żona wuja Adama była już w ciąży. Mama też, o czym jeszcze wtedy nie wiedziała. Wyglądał jednak na młodszego, a może po prostu był jeszcze po chłopięcemu onieśmielony, co ujmowało mu lat. Widziała wyraźne podobieństwo do wuja Stefanka, lecz nic w tym dziwnego, skoro wuj i ojciec Janka byli bliźniakami.

– Zacznijmy od początku – zaproponowała, kiedy Janek odsunął od siebie pusty już talerz. – Kiedy się urodziłeś?

– Piętnastego lutego tysiąc dziewięćset trzynastego roku – odpowiedział, stając przed nią niemal na baczność.

Machnęła niecierpliwie ręką, żeby usiadł.

– To znaczy, że jesteś zaledwie trzy miesiące ode mnie starszy. To by się zgadzało. – Pokiwała głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała.

Za oknem zaturkotała dorożka, z oddali słychać było klakson samochodu. Auta pojawiały się

już coraz częściej na ulicach Krakowa, Matylda patrzyła z zazdrością na jeżdżących nimi ludzi. Marzyła, że kiedyś też sprawi sobie taki pojazd, ale nie zatrudni kierowcy, tylko sama nauczy się prowadzić. Teraz jednakten odgłos ją drażnił i rozpraszał.

– Mówiłeś coś o śmierci twojego ojca – przypomniała Jankowi.

– Tak – Chłopak posmutniał. – Miałem wtedy niespełna osiem lat, to było... – zastanowił się, licząc coś na palcach – tak, chyba w dwudziestym pierwszym roku. Pewnego dnia przyszedł do nas jakiś człowiek, który powiedział, że jest moim ojcem. Krzyczał na mamę, a tatę pobił i wyrzucił z domu.

– Bo to naprawdę był twój ojciec... – Matylda popatrzyła ze współczuciem na Janka.

– Wiem, potem mi to wytłumaczył. Poszedł na wojnę i wszyscy myśleli, że zginął. Ale wrócił. Bałem się go, bo chociaż podobny do taty, to był jakiś straszny. Kazał mi się spakować i wyjechaliśmy z Wiednia kilka dni po tym wszystkim.

– No ale co z wujem Stefankiem? To znaczy z tym, którego nazywałeś ojcem? Mówiłeś coś o jego śmierci.

– No tak, dowiedziałem się o tym, dopiero kiedy teraz niedawno wróciłem do Wiednia. Mama powiedziała mi, że miesiąc po naszym wyjeździe znaleziono zmasakrowane ciało taty. Trudno go było rozpoznać, ale mama poznała płaszcz i portfel z naszymi zdjęciami. Dokumentów nie było, ale i tak wiedziała. A ten kłamca opowiadał – Janek zacisnął pięści w bezsilnej złości – że wsadził tatę do pociągu do Krakowa.

– Bo tak było. Naprawdę wsadził go do tego pociągu i twój tato przyjechał do Krakowa. Wprawdzie nie od razu znalazł się w domu, ale wreszcie trafił. I żyje.

– Jak to? Przecież mama sama widziała...

– Pewnie ktoś go okradł po drodze, stąd ten płaszcz i portfel. Jednak złodziejowi się nie poszczęściło, jak widać – dodała z mściwą satysfakcją Matylda.

– Mówisz, że żyje? To gdzie jest teraz? – Na twarzy Janka pojawiły się krwiste rumieńce. Zerwał się z krzesła, jakby już chciał biec i szukać Stefanka.

– Zaczekaj. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Zaczekaj tutaj, zaraz wrócę.

Wybiegła z kuchni jak na skrzydłach. W głowie aż jej huczało od natłoku myśli. Nareszcie jakaś rodzinna tragedia ma szczęśliwe zakończenie. W końcu przerwana została zła passa. Ależby się mama ucieszyła!

Zapukała do pokoju wuja i usłyszawszy ciche „proszę”, nieśmiało weszła do środka. Stefanek siedział przy oknie i jak zwykle coś strugał. Na podłodze leżała kupka wiórów, w powietrzu unosił się przyjemny zapach drewna.

– Wuju – zaczęła ostrożnie Matylda, nie wiedząc, jak mu przekazać tę wiadomość. – Mam dla wuja niespodziankę. Chciałabym kogoś przedstawić, proszę pójść ze mną.

– Nie chcę nikogo poznawać, goście nie dla mnie. – Pochylił głowę i wrócił do strugania.

– Ale to ktoś wujowi bardzo bliski...

– E tam! – Wzruszył tylko ramionami. – Idź sobie, Maty siu, daj mi spokój. Idź do swojego gościa.

– Ale to jest wuja gość, nie mój – nie wytrzymała. – To Jasiulek!

Ostry kozik ześlizgnął się z kawałka drewna prosto na dłoń Stefanka, ale ten zdawał się nie zauważać kąpiącej na podłogę krwi. Odruchowo tylko, nie patrząc nawet, co robi, sięgnął po leżący obok gałganek i przycisnął go do ranki. Pewnie nie po raz pierwszy zdarzał mu się taki

wypadek

– Coś ty powiedziała? Kto? Jasiulek!

Wciąż oszołomiony, wstał z krzesła i jak dziecko pozwolił się prowadzić Matyldzie za rękę. Kiedy wyszli z pokoju, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał, przetarł ręką czoło, zostawiając na nim czerwony smug. Prześiąknięty krwią gałganek upadł gdzieś po drodze.

Matylda wprowadziła wujka do kuchni, gdzie wciąż jeszcze siedział bez ruchu Janek. Na widok wchodzącego mężczyzny zerwał się z krzesła na równe nogi, nie wierząc własnym oczom. Ukochany ojciec wyglądał niemal tak samo jak wtedy, kiedy ich rozdzielono. Przybyło mu tylko siwych włosów i pogłębiły się bruzdy na twarzy. Oczy też miał jakby bardziej wyblakłe i zapadnięte, ale to był on. Ojciec, którego straty Janek nigdy nie mógł przeboleć. Miał wtedy zaledwie osiem lat, jednak zapamiętał tę twarz na całe życie.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie zdumieni. Pierwszy przerwał ciszę Janek

– Tatku – powiedział, a właściwie szepnął niepewnie – to naprawdę tatko? Naprawdę?

Stefanek wciąż nie mógł uwierzyć. Stał, wpatrując się w tego nieznanego młodego człowieka, który nazywał go tatkiem. Przecież Jasiulek jest mały, jeszcze dziecko. To nie mógł być on.

Zmarszczył gniewnie brwi. Robią sobie z niego żarty, jak zwykle. Obcy ludzie zawsze naśmiewali się z niego, zdążył się do tego przyzwyczaić. Ale rodzina nigdy. A teraz nawet Matysia? Spojrzał na nią z żalem.

– Wuju. – Matylda w mig zrozumiała jego wahanie. Stefanekowi trudno było zrozumieć upływ w czasie. – Wuju, to naprawdę Jasiulek. On po prostu już dorósł, nie widzieliście się tyle lat.

Janek stał nieruchomo, tylko rękawem marynarki ocierał łzy spływające po twarzy. Sam nie wiedział, czy to łzy radości, czy też żalu, że tatko go nie poznaje. W końcu nie wytrzymał, chwycił dłoń ojca i przycisnął do ust.

W pierwszej chwili Stefanek chciał ją wyrwać, ale powstrzymał się i obejrzał uważnie palce chłopca. Uniósł dłoń Janka do oczu, gładząc ostrożnie, z czułością znajomą bliźnię na kciuku.

– Tyle razy cię prosiłem, żebyś nie dotykał moich narzędzi – powiedział gderliwym głosem. – To naprawdę ostre koziki, obiecaj, że więcej tego nie zrobisz. Dobrze, że już się zagoiło, ale następnym razem może być gorzej.

– Obiecuję, tatku kochany. Obiecuję! – Janek rzucił się z płaczem w objęcia ojca.

Wzruszona Matylda odsunęła się na bok, nie chcąc im przeszkadzać. W pierwszej chwili miała ochotę pobiec do mamy, żeby podzielić się z nią tą radosną wiadomością, lecz uświadomiła sobie, że to już niemożliwe. W takich właśnie chwilach najbardziej brakowało jej matki.

Długo trwało, zanim Janek i Stefan mogli w miarę spokojnie usiąść przy stole i spróbować porozmawiać bez emocji. Matylda założyła wujowi opatrunek na palec, który znów zaczął krwawić.

– A tatko, jak widzę, też nie uważał z kozikiem. – Uszczęśliwiony Janek nie mógł sobie darować tej uwagi.

– Noo... – Stefanek pokiwał głową. W ciągu ostatniego kwadransa wyraźnie odmłodził. Bez przerwy dotykał ramienia przybranego syna, jakby się chciał upewnić, że to nie sen.

Matylda zajęła się przygotowaniem kolacji, bo powoli nadchodził wieczór. Miała nadzieję, że podczas posiłku usłyszy opowieść Janka. Że oboje z wujem ją usłyszą, bo Stefanek zadawał całkiem rozsądne pytania, świadczące, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Po raz pierwszy od lat nie wydawał się ani oszołomiony, ani nieobecny.

– A tatko nic, ale to nic się nie zmienił! – Janek cieszył się jak dziecko. – Poznałem tatkę od razu.

– No, ja też cię od razu poznałem! – Stefan pokiwał głową, lecz zaraz sam się roześmiał z tego wierutnego kłamstwa.

ROZDZIAŁ 11

Rozmawiali do późna w nocy. Po kolacji przenieśli się wszyscy do saloniku i tam, usadowiwszy się wygodnie na fotelach i kanapie, wysłuchali opowieści Janka. Chłopak nie musiał się spieszyć, Matylda zaproponowała mu nie tylko nocleg, ale i gościnę na cały czas pobytu w Krakowie. Miał zająć, pusty teraz, pokój babci Zuzanny.

– Kiedy ojciec Adam wrócił – opowiadał Janek – wyrzucił, jak już mówiłem, tatkę, a mnie zabrał ze sobą.

– Dokąd pojechaliście? – ponagliła go Matylda.

Stefan słuchał mniej uważnie, spoglądając tylko w zachwycie na swojego cudem odzyskanego „syneczka”.

– Do Krakowa.

– Dokąd? – Dziewczyzna miała wrażenie, że się przesłyszała. – Przecież to było kilkanaście lat temu, dlaczego moja mama nic nie wiedziała?

– Bo nic jej nie powiedział. Mnie też nie mówił, że mamy w Krakowie rodzinę, o cioci Isi dowiedziałem się dopiero niedawno, kiedy wróciłem do Wiednia. Dlatego zaraz tu przyjechałem, żeby ją odnaleźć. Mama sprzeciwiała się, bo jak twierdziła, siostra taty nie pochwałała ich związku, i zerwała kontakt, ale ja chciałem poznać krewnych.

– Jak to zerwała? – zdziwiła się Matylda. – Z tego, co pamiętam, to właśnie twoja mama nie odpisywała na listy, więc moja w końcu zrezygnowała...

– No to już nie wiem. – Janek wzruszył bezradnie ramionami.

Matyldzie wydawało się niemożliwe, żeby mama zerwała kontakt z żoną swojego brata. Musiała zawinąć poczta albo listy zaginęły po drodze.

– Czy twoja mama mieszka w tym samym miejscu, co kiedyś? – spytała nagle, tknięta jakąś myślą.

– Nie, po naszym wyjeździe przeprowadziła się do mniejszego mieszkania w innej, tańszej dzielnicy. Ale podobno wysłała cioci Wiktorii list z nowym adresem.

– Na który moja mama nie odpowiedziała? – domyśliła się Matylda.

– No, tak podobno było.

– No to już chyba wiemy, co się stało. Ten właśnie list musiał zaginąć, bo pamiętam, że listy do Wiednia wracają z adnotacją: „adresat nieznan”. Czyli moja mama usiłowała podtrzymać kontakt. Mój Boże...

Matylda pamiętała, jak smutno było mamie, że Kasia, żona wuja Adama, nie chce już znać rodziny swojego męża.

– I gdzie mieszkaliście z ojcem po przyjeździe do Krakowa? – wróciła do poprzedniego tematu. Nie było sensu rozgrzebywać spraw, na które nikt już nie miał żadnego wpływu.

– Z początku w jakiejś ruderze na Kazimierzu – odpowiedział z westchnieniem Janek – Wybrałem się w to miejsce wczoraj, bo myślałem, że on może nadal tam mieszka, ale tego domu już dawno nie ma, został zburzony.

– Nie rozumiem... to nie mieszkaliście razem?

– Z początku tak, ale potem ojciec Adam oddał mnie do sierocińca na Salwatorze. To był dom wychowawczy prowadzony przez braci albertynów. Dobrze mi tam było, nawet lepiej niż z nim. Ciągle niby szukał pracy, ale tak naprawdę to tylko pił i nie mieliśmy co jeść. Zostawiał mnie na całe dni samego, raz nawet nie było go prawie przez tydzień. Gdyby nie sąsiedzi, umarłbym z głodu, ale on się tym specjalnie nie przejmował. W końcu ktoś mu doradził, żeby mnie oddał do ochronki. No i tak zrobił.

Z dalszej opowieści Janka wynikało, że Adam nie miał zamiaru kontaktować się z siostrą, ponieważ obwiniał ją o to, co się stało. „Gdyby nie Wiktoria i jej przyzwolenie – miał powtarzać synowi – ten przygłup nigdy nie odważyłby się związać z twoją matką. Na to był za głupi, robił tylko to, co ona mu kazała”.

W ten sposób Adam chciał się zemścić na wszystkich. Janek nie wiedział, co dalej działo się z ojcem. Oddając syna do zakładu, Adam nie powiedział nikomu, że chłopiec ma rodzinę w mieście. Podał tylko wiedeński adres Katarzyny, z zastrzeżeniem, że Janek może go poznać dopiero w chwili, gdy już będzie opuszczał zakład. Matka, jak miał powiedzieć, zrzeka się dziecka, więc nie ma potrzeby się z nią kontaktować. Chłopiec kiedyś może ją sam odszukać, jeśli zechce, ale dopiero wtedy, gdy już będzie dorosły.

– Słodki Jezu... – Matylda wciąż nie mogła w to wszystko uwierzyć. – A ty nie mogłeś powiedzieć, że zostałeś zabrany matce wbrew jej woli?

– Nie wiedziałem przecież, co on im opowiedział, nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Dopiero teraz, kiedy stamtąd odchodziłem, podali mi adres mamy w Wiedniu. Dał go na wypadek, gdyby po mnie nie wrócił, bo podobno miał wrócić, w każdym razie tak im powiedział. Podobno wybierał się do Ameryki za pracą.

Stefanek wyglądał, jakby nagle się ocknął, ale okazało się, że cały czas słuchał uważnie opowieści syna.

– Niczego mi Isia nie kazała! Ja jestem dorosły. Tak zawsze mówiła i pisała w listach, Kasia mi to czytała na głos. Jestem dorosły!

Zaczął się trząść jak w febrze. Matylda, która wiedziała, że w chwilach silnego wzburzenia wuj może nawet stracić przytomność, zerwała się z miejsca i zarządziła koniec rozmowy.

– Kochani – spojrzała porozumiewawczo na przestraszonego Janka – czas spać, jutro też jest dzień i wrócimy jeszcze do tej historii. Nigdzie nam się przecież nie spieszy.

Przed snem zaparzyła jeszcze wujowi zioła na uspokojenie, ale chyba lepszy efekt dała

obecność syna przy jego łóżku. Janek został przy ojcu dotąd, aż był całkowicie pewien, że ten spokojnie zasnął.

Matylda całą noc przewracała się z boku na bok, nie mogąc spać. Wciąż przeżywała wydarzenia minionego dnia. Świadomość, że przybrany syn wuja Stefanka, a jednocześnie bratanek mamy, przez te wszystkie lata mieszkał tu niedaleko, niemal po sąsiedzku, nie dawała jej spokoju. Jak podłym trzeba być człowiekiem, żeby zgotować taki los własnemu synowi? Pozbawić go matki, ojca, rodziny...

Mam nadzieję, że zatłuki cię gdzieś po drodze do tej Ameryki, pomyślała, zaciskając pięści, że dlatego nie zgłosiłeś się po własne dziecko. Bo tylko to by cię tłumaczyło. Jeśli gdzieś jednak żyjesz, bądź przekłety.

Kiedy w końcu zapadła w sen, przyśniła jej się matka. „Nie szafuj tak łatwo przekleństwami, córeczko – powiedziała ze smutkiem Wiktoria. – Wystarczy już jedno w naszej rodzinie”.

Na drugi dzień Janek zabrał ojca na spacer po mieście. Musiał przygotować Stefanka do tego, co jeszcze miał mu do powiedzenia. Długo zastanawiali się z Matyldą, jak przekazać wujowi tę wiadomość. Bali się, że nadmiar wrażeń może mu zaszkodzić, postanowili więc poczekać parę dni i wyjawić mu wszystko powoli, stopniowo.

Okazało się, że kiedy Adam wrócił do domu, nie tylko obecność Stefana przy jego żonie wprowadziła go we wściekłość. To jeszcze mógłby, chociaż z trudem, zrozumieć. W końcu nie dawał znaku życia przez całą wojnę i kilka lat po jej zakończeniu, tamci dwoje mogli więc uznać, że nie żyje. Samotna kobieta z dzieckiem potrzebowała pomocy, nie było w tym nic naganego. Jednak sprawy poszły dużo dalej... Kasia spodziewała się kolejnego dziecka, które już z całą pewnością nie było jej męża.

Adam wpadł w szal. Nie mógł darować, że taki „przygłup” pozbawił go wszystkiego, co jeszcze się liczyło w jego życiu. Że przedstawiał dla żony większą wartość niż on, Adam, ojciec rodziny i weteran wojenny.

Gdyby wtedy Kasia i mały Janek go nie powstrzymali, pewnie zabiłby brata na miejscu.

– A tak w ogóle to chciałbym zabrać tatę do Wiednia – powiedział na koniec swej opowieści Janek – Tam jest jego prawdziwy dom i rodzina. Nie gniewaj się – spojrział spłoszony na Matyldę – ale tam mieszka mama, ja też wracam, no i tato musi przecież poznać Marysię, swoją rodzoną córkę.

Dziewczynka, o której nikt w rodzinie nie wiedział, a tym bardziej jej własny ojciec, miała teraz trzydzieści lat i zdaniem zachwyconego brata była najśladszą istotą na świecie. Zasługiwała na to, żeby mieć ojca przy sobie.

– Tato jest dobrym fachowcem, więc z całą pewnością znajdzie tam pracę, bo stolarze

zawsze są potrzebni. Zwłaszcza jeśli są tak zdolni jak on. Ja też mam dobry zawód, jestem krawcem. W zakładzie braci Albertynów skończyłem szkołę przemysłową i zostałem wyzwolony na czeladnika. Nie chwalać się, podobno dobrze szyję, więc damy sobie radę. Mama zajmie się domem. No i w końcu będzie miała pełną rodzinę. Aż się nie mogę doczekać jej radości na widok tatki! – Uśmiechnął się zadowolony.

Kiedy Jan i Stefanek byli na spacerze, Matylda wybrała się na zakupy do Hawełki, w Pałacu Spiskim. Chodziła tam zawsze z babcią Zuzanną, kiedy w domu spodziewano się gości. Tylko w tym sklepie, zdaniem babci, można było kupić frykasy, których w innych sklepach nie było albo jeśli nawet je mieli, to nie tak świeże i wytworne jak właśnie u Hawełki. Matylda pamiętała swój dziecięcy strach na widok zawieszonego za tylne łapy dzika z obwiązanyms pyskiem, zdobiącego zimą wejście do sklepu.

Teraz niczego nie musiała się już obawiać i z lubością wdychała znany aromat kawy, od lat palonej na miejscu. Można tu było też kupić doskonałe konfitury i dżemy, kawior astrachański, ryby, ostrygi i homary, nie mówiąc o wykwintnych alkoholach. Teraz, w czasie kryzysu, mogli się tu zaopatrzyć jedynie najzamożniejsi ludzie, ale takich w Krakowie nigdy nie brakowało. Wprawdzie Matylda nie narzekała na biedę, zwykle jednak robiła zakupy w mniejszych i tańszych sklepikach. Tylko od tak zwanego wielkiego dzwonu szła do Hawełki.

I oto nadarzyła się taka właśnie okazja. Dziewczy na chciała urządzić wystawny, pożegnalny obiad przed wyjazdem wuja z Jankiem do Wiednia. Czują, że odtąd nie będą się już zbyt często widywać. O ile w ogóle.

Koszyk napełniał się szybko, Matylda z trudem dźwignęła go z lady. Przesadziła nieco z zakupami, lecz tym razem postanowiła nie oszczędzać na niczym. Kto wie, kiedy znów nadarzy się podobna okazja.

– Dzień dobry – usłyszała nagle za sobą męski głos.

Obejrzała się zaskoczona. Przystojny brunet patrzył na nią z rozbawioną miną.

– Michał Olbrycht, do usług – przedstawił się, z galanterią uchylając kapelusza. – Mogę pani jakoś pomóc?

– Dzień dobry. Matylda Borucka – odpowiedziała odruchowo, zastanawiając się, skąd zna to nazwisko.

Serce jej załomotało, jakby miało wyskoczyć z piersi. Poznała go od razu, chociaż od wielu miesięcy nie pojawiał się w teatrze. Zaraz jednak przypomniała sobie, że ten człowiek był przecież świadkiem zenującego incydentu w kawiarni. Matylda wolałaby o tym zapomnieć.

– Dziękuję, dam sobie radę. – Chłodno skłębła głową, usiłując wyminąć go w drzwiach sklepu. Zawadziła jednak koszykiem o framugę i mało brakowało, a wysypałaby całą zawartość na ziemię.

– Może jednak pomogę – zaśmiał się Olbrycht, niemal w powietrzu łapiąc kosz z zakupami. – Oj, ciężkie, nawet dla mnie – dodał zaskoczony.

Matylda miała ochotę protestować, ale sama czuła, że nie da sobie rady bez pomocy. Żałowała, że nie wzięła na zakupy Janka albo choćby babci Heli.

– Dziękuję – mruknęła niechętnie – bardzo pan uprzejmy.

– Nie ma za co, doprawdy. – Usiłował zajrzeć jej w twarz, dzięki czemu zauważyła, że miał piękne szare oczy, okolone niewiarygodnie długimi rzęsami. Na co mężczyźni takie rzęsy? – zdziwiła się w duchu.

– Już dawno chciałem panią poznać, lecz wciąż brakowało mi odwagi, a w dodatku musiałem na dłużej wyjechać z Krakowa.

Tak, przyznała w duchu Matylda, na długo, prawie na rok.

– A teraz, proszę, z pomocą przyszy mi... – mówił dalej, zaglądając do kosza – ...jaja i kiełbasa. Kto by się spodziewał.

Matyldzie nie udało się zachować powagi i uśmiechnęła się lekko. Nieznajomy miał w sobie coś pociągającego, czemu nie potrafiła się oprzeć. Mimo wyszukanej elegancji w sposobie ubierania się i wysławiania wychodził z niego chłopak z przedmieścia, uroczy krakowski andrus. Przystojny, z czarnymi, niemal granatowymi włosami, zaczesanymi teraz na bok, i wydatnym, arystokratycznym nosem, ale przy tym jakiś taki swój. Jak chłopak z sąsiedztwa.

Chociaż, przy pomniała sobie, przedstawił się jakoś dziwnie. Olbracht, Olbrycht... tak chyba Olbrycht. Zupełnie jak ten znany producent filmowy, pomyślała, przyglądając mu się z uwagą. W niczym jednak nie przypominał tęgiego, starszego mężczyzny, którego zdjęcia oglądała nieraz w gazetach. Nie pamiętała też, jaktamten miał na imię.

Tymczasem Michał Olbrycht zaproponował, że podwiezie ją swoim samochodem do domu.

– Stoi tuż za rogiem – zachęcał. – A zakupy są takie ciężkie, że nawet ja ich nie zaniosę na Grodzką.

– A skąd pan wie, że właśnie tam mieszkam? – Matylda przystanęła nagle i omal nie zderzyła się z idącym za nią mężczyzną.

– Przecież mówiłem, że od dawna chciałem panią poznać – odparł i uśmiechnął się łobuzersko.

Za rogiem, na Szczepańskiej, stał samochód, na widok którego Matyldzie zabrakło tchu. Nie znała się na autach, ale wiedziała o nich wystarczająco dużo, by pojąć, że ma przed sobą prawdziwy unikat.

– To najnowszy model opla P4. Prosto z fabryki. – Wyraźnie zadowolony z reakcji dziewczyny, Olbrycht z satysfakcją otworzył drzwi i pomógł jej wspiąć się na wysoki próg, biegnący wzdłuż całego boku samochodu.

– Wprawdzie nie jest mój – dodał z lekkim zawstydzeniem – tylko wuj, ale do mojej całkowitej dyspozycji.

Matylda, wciąż jeszcze oszołomiona, usiadła w obszernym, wygodnym aucie o pachnącej nowością tapicerce. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że nie powinna wsiadać do samochodów ludzi, których nie zna. Prawdę mówiąc, do żadnego zresztą jeszcze nigdy nie wsiadała.

Na kolację przygotowała ulubione dania wuja, czyli galaretkę z nówek cielęcych, trochę wędlin i wędzone sardynki, a babcia Michalska zrobiła sałatkę jarzynową i jajka na twardo w sosie musztardowym. Zabrakło tylko sernika pieczonego zwykle przez babcię Zuzannę, Matylda kupiła ciasto u Maurizia.

Przez całą kolację nie potrafiła się jednak skupić na rozmowie. Odpowiadała

z roztargnieniem, na szczęście jednak wuj i Janek zbyt byli zajęci sobą, żeby to zauważyć. Z trudem doczekała do końca posiłku i wymawiając się bólem głowy, poszła do swojego pokoju.

Długo nie mogła zasnąć, mając w pamięci pewne szare, niepokojące i magnetyzujące spojrzenie. Jeszcze nigdy wcześniej się nie zakochała, nigdy też nie była tak bliska tego stanu jak teraz.

ROZDZIAŁ 12

Mieszkanie przy ulicy Grodzkiej, tak zawsze pełne życia, po wyjeździe Stefanka i jego przybranego syna stało się smutne i gdyby nie obecność babci Heleny, byłoby nie do zniesienia. Joasia nie była Matyldzie aż tak bardzo bliska, dzieliła je zbyt duża różnica wieku, żeby mogły się zaprzyjaźnić. Ot, mieszały razem i już. W pustych obecnie pokojach słychać było teraz jedynie wieczny płacz Marty, ale ten odgłos tylko denerwował Matyldę, która na razie nie miała w sobie macierzyńskich uczuć.

Mała była rozkapryszona, nie najmłodszy już rodzice starali się nieba jej uchylić i pozwalali niemal na wszystko, co Marta zaczęła wkrótce wykorzystywać. Babcia Michalska równie szybko dała się sterroryzować uroczej despotce. Cały niemal świat kręcił się teraz wokół tego maleństwa ze złotymi loczkami. Najbardziej odporna na urok dziecka Matylda wychodziła na całe godziny z domu, kiedy tylko miała okazję. Ze zdwojoną energią powróciła do lekcji tańca i śpiewu. Wprawdzie Maria Zajcewa twierdziła, że jej uczennica z pewnością lepiej tańczy, niż śpiewa, ale w większym zespole nie zostanie to zauważone.

– Arii, moja droga, to ty raczej nie śpiewaj – poradziła jej z brutalną szczerością. – Masz słaby głos, lecz przynajmniej będzie jako tako wykształony.

Monsieur Serge natomiast był z Matyldy bardzo zadowolony. Twierdził, że poczyniła ogromne postępy od dnia, kiedy przyszła do niego po raz pierwszy, i że wszystkie rewie w całym kraju będą się o nią biły.

Matylda słuchała jego pochwał z uprzejmym uśmiechem, nie była aż tak naiwna, żeby nie rozumieć, iż te słowa uznania w dużej mierze wynikały z sympatii nauczyciela do ładnej i młodej uczennicy. Niemniej jednak było jej przyjemnie. Sama czuła, że mogłaby już spokojnie wystąpić w rewii albo w kabarecie. A może nawet i w filmie?

Po przypadkowym spotkaniu pod delikatesami coraz częściej widywała teraz Olbrychta. Nowy znajomy nie był nachalny, zapraszał ją na kawę do eleganckich kawiarni, gdzie całymi

godzinami rozmawiali na tematy związane z teatrem i kinem. Przychodził też na niemal każde przedstawienie, w którym występowała Matylda, i zachwycał się jej grą. Na pytania, czym on sam się zajmuje, odpowiadał coś zdawkowo i szybko zmieniał temat. Doszła do wniosku, że jest skromny i nieśmiały.

Julek natomiast nie miał zaufania do nowego adoratora siostry.

– Musisz nas koniecznie poznać, sam go sobie obejrzę i jeśli to jakiś oszust, zdemaskuję bezlitośnie.

– A jeśli nie?

– Hm. Wtedy się zastanowię, co dalej. Na pewno jednak ośła z niego nie spuszcza.

– Mówił ci ktoś, że jesteś okropny i nie do życia?

– Mówił, tylko już nie pamiętam kto.

Tego wieczoru Michał przyszedł za kulisy z bukietem pachnących fiołków.

– Była pani rewelacyjna! – Pochylił się nad jej dłonią. – Co za świeżość, jaki wdzięk!

W tym sezonie Matylda występowała w wodewilu *Krowoderskie zuchy*, wystawianym w małym teatrze na obrzeżach Krakowa. Nie była to rola jej marzeń, ale dziewczyna sama świetnie się bawiła co wieczór. Poza tym w końcu mogła się pokazać w innym repertuarze, lżejszym i komediowym.

Przydały jej się teraz lekcje tańca i śpiewu. Reżyser spektaklu był bardzo zadowolony, nawet wyglądało na to, że ma w stosunku do niej dalsze plany i szykuje się stały angaż. Zwłaszcza że Matylda została zauważona przez jednego z najbardziej złośliwych recenzentów teatralnych, nazywanego przez aktorów Pan Gilotyna. Krytyk ów potrafił „ściąć” bez litości zarówno całą sztukę, jak i jej odtwórców. Tym razem było inaczej. Matylda wciąż czytała jego recenzję od nowa, szczególnie w chwilach zwątpienia i gorszego nastroju. Słowa uznania mobilizowały ją do dalszej pracy i utwierdzały w przekonaniu, że obrała dobrą drogę.

Znała już niemal na pamięć ów fragment tekstu:

„Przedstawienie *Krowoderskich zuchów* w krakowskim Teatrze Scena można skrytykować jak najostrzej, dlatego mianowicie, że ów spektakl krytykę wytrzyma. Sama sztuka zmontowana jest dobrze, nie czuje się nawet, że to obraz lat minionych, kiedy robotnicy murarscy chodzili z szopką, uczniowie świecili złotymi paskami na kołnierzu, a szyku na przedmieściach zadawali kaprale landwery. Po raz pierwszy recenzent nie może mieć zastrzeżeń do gry aktorów, zwłaszcza uroczej panny Matyldy Boruckiej, która przedstawiła nam kreację wdzięczną i opanowaną”.

Teraz Matylda zaczerwieniła się z zadowolenia. Zarówno wizyta Michała, jak i jego pochwały sprawiły jej ogromną przyjemność. Żałowała tylko, że nie ma przy sobie Meli i nie może z nikim się podzielić swoją radością.

Koleżanka została przy poprzednim dyrektorze, który tak łatwo nie zamierzał wypuścić kochanki ze swoich objęć. Poza tym Mela raczej nie nadawała się do wodewilu. W takim

przedstawieniu trzeba było się wykazać umiejętnością tańca i śpiewu, a do tego nie miała żadnego przygotowania. Ani drygu, jak sama zresztą mówiła.

Jak zwykle po spektaklu Michał zaprosił Matyldę na kolację, tym razem jednak odmówiła. Obiecała już Joasi, że zajmie się wieczorem Martą, gdyż rodzice małej mieli się wybrać w zaplanowaną już z dawną wizytą do znajomych. Musieliby ją przełożyć, ponieważ babcia Michalska złapała katar i nie chciała zarazić dziecka. Ciepła wiosenna pogoda była dość zdradliwa, zwłaszcza dla starszych osób, które jeszcze nie miały odwagi za bardzo się wyletnić i nadal chodziły w ciepłych ubraniach.

– Trudno. – Michał był wyraźnie zawiedziony. – W takim razie może wybralibyśmy się na spacer jutro przed południem? Jest tak ładnie.

– Z przyjemnością – odparła, kiedy odprowadził ją pod sam dom.

Nazajutrz czekał już w pobliżu drzwi apteki z szyldem „Pod Żłotym Moździerzem”. Podobała mu się witrażowa szyba z wizerunkiem mózdzierza i pęków ziół, ale najbardziej spodobała mu się młoda dziewczyna, wychodząca z bramy obok.

Matylda miała na sobie śliczną sukienkę z jasnego jedwabiu w modne ostatnio grochy, z krótkimi, rozkłoszowanymi rękawami. Skrzyżowany fantazyjnie materiał na przodzie związany był z tyłu na dużą kokardę. Całości dopełniały lekkie pantofelki na wysokim obcasie i płaski kapelusik ze słomki.

Była tak śliczna, że Michał zaniemówił na dłuższą chwilę.

– Wygląda pani pięknie – wystękał w końcu, kiedy odzyskał głos.

Matylda uśmiechnęła się z zadowoleniem, komplement sprawił jej dużą przyjemność. Na taką właśnie reakcję liczyła, przekopując od rana zawartość szafy.

– A jak babcia myśli? – Przykładała do siebie kolejne sukienki, bluzki i spódniczki. – Eee, nie! – Rzuciła je na łóżko, zanim Michalska zdążyła odpowiedzieć.

W końcu, po długich namysłach i za namową babci, której i tak Matylda podobała się we wszystkim, wybrała tę właśnie sukienkę. Miała najmodniejszy krój, jedwab, kupiony w znanym składzie materiałów przy Rynku, był najlepszego gatunku, a uszyła ją prawdziwa mistrzyni w krawieckim fachu.

Teraz Matylda przekonała się, że wybór był trafny. Pogratulowała sobie w myślach.

– Może pójdziemy na Planty? – zaproponowała. – Pogoda taka piękna, że nie mam ochoty na siedzenie w kawiarni. Zawsze możemy usiąść na ławce, jaknas rozbolą nogi.

Michał studiował wcześniej w Krakowie, wiedział więc, gdzie można zaprowadzić młodą pannę, by zaznać trochę intymności bez świadków i nie narazić damy na złe języki, ale nie ośmieliłby się zaproponować tego miejsca Matyldzie. W starym, prawie zawsze zamkniętym kościele na obrzeżach miasta mogliby spędzić kilka uroczych chwil w zaciemnionych stallach, niby to oglądając ciekawe malowidła na ścianach. Parę groszy, wsuniętych ukradkiem kościelnemu, zapewniało spokój i pewność, że nikt niepowołany tam nie wejdzie. Młody człowiek zdawał sobie jednak sprawę, że po takiej propozycji nie miałby już raczej szans u dziewczyny.

Z westchnieniem porzucił ową piękną wizję i udając entuzjazm, zgodził się na jej propozycję.

Z Rynku skręcili w Sienną i niespiesznie doszli do Plant. Na ławkach siedzieli przeważnie zagłębieni w skryptach studenci; mijały ich drepnące szybkim krokiem szarytki. Ten rejon graniczył bowiem z dzielnicą Wesoła, w której mieściły się wszystkie kliniki i szpitale.

– Moim zdaniem marnuje się pani w tym teatryku – zaczął Michał, kiedy skończyli już grzecznościową wymianę zdań o pięknej wiosnie i wyjątkowo ciepłym maju (a jeszcze w zeszłym roku padał o tej porze śnieg), a także o kwitnących jak szalone bzach. – Taki talent powinien zostać zauważony, a tu są raczej marnie szanse, by tak się stało. Ja widziałbym panią w filmie.

– Ja też bym się widziała i cóż z tego? – zaśmiała się Matylda. – Przynajmniej jest nas dwoje, dobre i to.

– Chcieć to móc – powiedział tajemniczo, lecz nagle zmienił temat. – A co pani w ogóle sądzi na temat naszej produkcji filmowej? Bardzo jestem ciekaw.

– Trudno powiedzieć – zawahała się. – Mnie...

Drogę przebiegł im cały tabun rozkrzyczanych chłopców, bawiących się w Indian. Bojowe okrzyki zagłuszyły na chwilę odpowiedź Matyldy.

– Mnie się te filmy podobają – powtórzyła – choć słyszę też i czytam niepochlebne opinie. Niby zarzuca się naszym producentom, że wybierają tylko te treści, które dadzą największe ulgi podatkowe, a więc produkcje historyczne, patriotyczne i wojskowe, a przecież ostatnio powstaje tyle komedii. Czyli zapewne wszystko zależy od tematu.

– Nie zgadzam się z panią. – Michał pokręcił stanowczo głową. – Nie ma złych tematów, są tylko niedobre filmy. Kiepska technika i reżyseria, słaba gra aktorska. A czasami wszystko naraz. W filmie polskim brakuje humoru, nic, tylko jakieś zhańbione dziewice, uwiedzione służące, dramat i tylko dramat w powodzi łez.

Mój Boże, pomyślała smętnie Matylda, czy on musi być taki sztywny jakby kij połączony? Wykłady mi robi jakstary belfer.

Do diabła, co ja jej tu opowiadam? – myślał tymczasem Michał. Zamiast o jej ślicznej buzi i o tym, że chciałby w ją porwać natychmiast do swojego pokoju, nudzę jak nawiedzony...

Nieśmiały pomysł, żeby ją zaprosić do swojego mieszkania, przyszedł mu do głowy, kiedy już weszli na Planty. Z pomocą wuja Michał kupił niewielkie mieszkanie na rogu ulic Świętego Krzyża i Świętego Tomasza. Korzystał z niego od czasów studenckich, a teraz było przyjemną przyстанią, gdy wracał do Krakowa z licznych wyjazdów w interesach.

Dziewczyna wyglądała na wywołaną, może da się namówić?

– Widzę, że zna się pan na rzeczy.

W pierwszej chwili przestraszył się, że dziewczyna odgadła jego kosmate myśli, zaraz jednak dotarło do niego, że chodziło jej o uwagę na temat filmu.

Uśmiechnął się z ulgą.

– Trochę tak Chętnie pani opowiem więcej, ale musielibyśmy gdzieś usiąść, żeby spokojnie porozmawiać. Może...

– Świetna myśl, poszukajmy jakiejś wolnej ławki.

Nie o to dokładnie mu chodziło, ale udało, że pomysł mu się podoba.

– Tylko obawiam się, że trudno nam będzie coś znaleźć – powiedział, rozglądając się wokół z rosnącą nadzieją. – Wszystkie ławki zajęte.

Rzeczywiście, ciepły maj zachęcił niemal wszystkich, jak się wydawało, krakowian do wyjścia z domów. Na ławkach siedziały młode matki lub opiekunki z niemowlętami w wózkach, spoglądając czujnie na starsze dzieci, które biegały po okolicznych alejkach. Starsze panie migały szybko drutami do robotek, przekazując sobie ostatnie ploteczki.

Minęli już wyłot ulicy Świętego Tomasza, z której był już tylko krok do mieszkania Michała. Olbrycht z rezygnacją szedł dalej za Matyldą.

– O! – zawołała nagle. – Tam się zwalnia miejsce. Niech pan pędzi, żeby nas nikt nie ubiegł.

Starszy pan właśnie skończył karmić gołębie i wyraźnie szykował się do odejścia. Wysypał ostatnie okruszki z papierowej torby, wytrzeptał ją dokładnie i z wyraźnym trudem podniósł się z ławki. Michał podszedł doń szybko.

– Przepraszam, można? – spytał, uchylając kapelusza.

– Ależ tak, proszę bardzo. – Staruszek, który przed chwilą zaczął się zbierać, nagle zmienił zamiar i z zadowolonym uśmiechem usiadł ponownie. W końcu pojawił się ktoś, z kim mógł porozmawiać.

Michał jęknął w duchu, ale już nie wypadało się wycofać. Przesunął się tylko, żeby zrobić miejsce dla zbliżającej się do nich Matyldy. Gołębie z głośnym gruchaniem zaczęły spacerować wokół ławki, przekrzywając łebki w poszukiwaniu kolejnych okruszków.

– Ech, żarłoki! – roześmiał się mężczyzna, z rozzerwieniem patrząc na ptaki. – Już nic dla was nie mam, lećcie gdzie indziej. Chyba że państwo coś mają? – zwrócił się w kierunku młodej pary.

Niestety, nic nie mieli. Najchętniej poszliby stamtąd, lecz wciąż liczyli, że skoro staruszek już zamierzał odejść, może zrobi to za chwilę. Szkoda było takiego pięknego miejsca. Z pobliskiej altanki koncertowej dobiegły do nich dźwięki walca *Nad pięknym modrym Dunajem*. W milczeniu patrzyli na dzieciaki, które wspinały się na cokół i przytrzymywały żelaznej balustrady, żeby lepiej zobaczyć muzyków, a może i nawet dotknąć jakiegoś instrumentu.

– A wiecie, że one łączą się w pary na całe życie? – spytał nagle staruszek.

– Kto? Dzieci? – zdumiał się Michał, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem na ich towarzysza. Był zły, że musi rozmawiać ze starym dziadkiem zamiast z piękną dziewczyną.

Mężczyzna aż rozkaszłał się ze śmiechu.

– Nieee! Gołębie. Znam je od lat i rozpoznaję każde z nich. Widzę, które straciło towarzysza czy towarzyszkę. Kiedyś piękna samiczka wpadła pod koła dorożki, a samiec do końca swoich dni przylatywał tu sam.

Matylda z uśmiechem pokiwała głową.

– Piękna historia, naprawdę.

– No, ale co ja tu będę wam, młodym, zawracał głowę ptakami. – Staruszek zorientował się w końcu, że powinien zostawić ich samych. – Pogruchajcie sobie sami, gołąbeczki.

Kiedy odchodził powolnym krokiem, z trudem poruszając nogami, Michał miał ochotę go wycałować z radości.

– O czym to rozmawialiśmy przed chwilą? – spytała Matylda. – A, już wiem, o pańskiej znajomości kina. To zawodowe zainteresowanie czy jest pan po prostu miłośnikiem sztuki filmowej?

– Trochę tego i tego – odparł Michał, kładąc jednocześnie kapelusz na ławce, tak żeby już nikt nie mógł się dosiąść. – Mój stryj jest producentem filmowym i na jego polecenie zajmuję się wyszukiwaniem młodych talentów, a z zawodu jestem dziennikarzem. A także wielbicielem teatru. Sam nawet trochę piszę...

– Czyli nasza znajomość jest częścią pańskiej pracy... – przerwała mu chłodno Matylda.

Ot, i wyszło teraz, skąd to całe zainteresowanie jej osobą... Dała się nabrać jak ta pierwsza

naiwna. Eliza miała rację...

Michał aż poczerwieniał, gdy zrozumiał, co mogła sobie pomyśleć Matylda po jego słowach.

– Ależ skąd, to absolutnie nie ma nic wspólnego z naszą znajomością – zaprzeczył gwałtownie, płosząc przy tym gołębie. – Przyznaję, może tak było na samym początku, ale na tym właśnie polega moja praca u stryja. Chodzę do teatru, bo to kocham, a przy okazji przyglądam się grze aktorów, głównie zaś młodych aktorek. Oceniam, która rokuje nadzieje i którą warto przedstawić wujowi. Potem to on zajmuje się ich dalszą karierą. To wszystko. Nic w tym przecież złego.

– Rozumiem więc, że ja „nie rokowałam”?

Teraz dopiero Matylda poczuła się urażona.

– Dlaczego tak pani sądzi? Bo nie podszedłem od razu i nie złożyłem propozycji? To tak nie działa. Najpierw muszę poobserwować przyszłą kandydatkę na gwiazdę, przekonać się, że naprawdę ma talent. Ale z panią... z panią od razu było inaczej.

Matylda spojrzała na niego nieufnie spod spadających na czoło rudych loków. Odrzuciła je niedbałym dmuchnięciem, wywołując tym zachwyty Michała.

– Co do pani miałem inne zamiary, ale...

Zaczerwieniła się po tych słowach, zrozumiała je doskonale.

– ...ale z początku zmroził mnie trochę incydent u Noworolskiego. Swoją drogą, świetne to było. Wielki reżyser – Michał ze śmiechem podkreślił słowo „wielki” – jeszcze długo potem nie mógł ochłonąć. Najbardziej dotknęła go ta „niedoceniona miernota”.

Matylda się nie roześmiała, skupiona tylko na jednej myśli.

– Ale nie zrezygnował pan, jak widać.

– Nie.

Spojrzenie, jakim ją obdarzył, nie pozostawiało już żadnych wątpliwości co do powodów, dla których nadal szukał z nią kontaktu.

– W związku z tym chciałem, żeby mnie pani poznała najpierw jako zwykłego człowieka, a nie bratanek producenta filmowego. Obawiam się, że w tym drugim przypadku nasze stosunki mogłyby wyglądać zupełnie inaczej.

– Ma pan na myśli, że natychmiast starałabym się pana oczarować, żeby zrobić karierę?

– Niestety, przemawia przede mną smutne doświadczenie.

Trudno było się z tym nie zgodzić, ale zrobiło jej się przykro. Tak bardzo widać, że chciałaby zagrać w filmie, zdobyć sławę? Żałosne, doprawdy żałosne.

– Widzę, że niechcący sprawiłem pani przykrość. – Michał delikatnie dotknął jej ręki. – Proszę wybaczyć, nie miałem takiego zamiaru.

– A jaki pan miał? – spytała z wyzwaniem w głosie.

– Spodobała mi się pani już wtedy, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem w teatrze – zaczął ostrożnie. – Wprawdzie nie była to zbyt duża rola, nie pamiętam w tej chwili sztuki, lecz już wówczas można było zauważyć tę iskrę bożą. Potem wyjechałem na rok do Berlina i straciłem panią z oczu, ale po powrocie starałem się znów bywać na przedstawieniach, żeby potwierdzić moje pierwsze wrażenie. Tak zwykle działałem, na tym właśnie polega moja rola. – Wzruszył ramionami. – A w końcu miałem okazję przyjrzeć się pani z bliska, wtedy, w kawiarni.

Matylda rzuciła mu chmurne spojrzenie. Czy naprawdę musiał jej to ciągle przypominać?

Niezrażony Michał mówił dalej.

– I wtedy dotarło do mnie, że interesuję się panią nie tylko zawodowo. Spodobało mi się to, co zobaczyłem i usłyszałem, chociaż wyglądało na to, że i do mnie miała pani pretensje. Z reguły w takich sytuacjach młode kobiety uciekają z płaczem, a pani... – Uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

– To było okropne, co mówił tamten człowiek. Gdybym była mężczyzną, dałabym mu po prostu w zęby.

– To lubię. – Michał spoglądał na nią roziskrzonym wzrokiem. Ta zbuntowana dziewczyna podobała mu się coraz bardziej.

– Nie ukrywam, że chciałabym zagrać w filmie albo w dobrej sztuce, zresztą chyba jak każda aktorka, ale nie za wszelką cenę przecież.

– To było widać aż nadto wyraźnie. Tym trudniej więc było mi się przyznać potem do moich powiązań z filmem. Nie bałem się już, że zacznie mnie pani uwodzić, żeby dostać rolę w filmie, ale że teraz potraktuje jak naganiacza i oberwie mi się podobnie jak tamtemu. Trudna sytuacja, sama pani rozumie. – Rozłożył ramiona w żartobliwym geście bezradności.

Matylda odprężyła się w końcu. Trudno było się złościć na kogoś, kto z takim wdziękiem się tłumaczył.

– Chyba muszę zapalić. – Sięgnęła po torebkę.

– Tutaj? Publicznie? – Rozejrzał się z niedowierzaniem wokół.

– Ma pan coś przeciw temu? – Wyzywająco wysunęła brodę.

– Nie, nie. W takim razie służę swoimi. – Wyciągnął srebrną papierośnicę i podsunął ją dziewczynie.

Atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Matylda uznała, że w rozumowaniu Michała było sporo racji. Nie mogła wykluczyć, że gdyby wiedziała, kim jest jej nowy znajomy, mogłoby to zmienić ich relacje. Mężczyzna, do którego czuła coraz większą sympatię, pewnie nigdy nie uwierzyłby, że jej uczucia są bezinteresowne. A tak mogło z tego wynikać coś pięknego.

– No dobrze, ale ustalmy jedno – uśmiechnęła się przekornie – czy jeśli teraz poproszę pana o polecenie mnie do kogoś z filmów pańskiego stryja, będzie to poczytane za wykorzystanie naszej znajomości?

– Jak najbardziej. – Michał udał, że robi surową minę. – Ale będę sprytniejszy i ubiegnę panią w tych prośbach. Przyznam jednak, że zrobię to niechętnie.

– Dlaczego niechętnie?

– Bo będzie się to łączyło z koniecznością wyjazdu do Berlina, a ja wolałbym...

– Do Berlina? – zdumiała się Matylda. – Dlaczego właśnie tam?

– Bo wuj tam głównie pracuje, w wytwórni filmowej w Neubabelsberg pod Berlinem, zapewne pani słyszała?

– Tak, słyszałam – odparła nieco oszołomiona. – Koleżanka statystowała tam kiedyś, ale opowiadała mi niezbyt zachęcające historie, prawdę mówiąc.

– A, statystka... – Michał lekceważąco machnął ręką. – Statystowanie nie wchodzi w grę. A czy opowiadała pani o gwiazdach?

Matyldzie zabłysły oczy. Tak doskonale pamiętała opowieści Elizy o gwiazdach.

– A jak się nazywa pański stryj, jeśli mogę teraz już spytać?

– Kazimierz Olbrycht.

Matylda z trudem ukryła wrażenie, jakie na niej wywarło to nazwisko. Już kiedy Michał jej

się przedstawiał, pomyślała, że skądś je zna, ale nie łączyła go ze znanym producentem filmowym, o którym czytywała od czasu do czasu w magazynach poświęconych filmowi. Jeśli nawet zwróciła na to uwagę, myślała raczej o zabawnym zbiegu okoliczności. Teraz już się nie dziwiła, że nowy znajomy z początku nie przyznawał się do swojego pokrewieństwa z kimś tak znanym. Nawet jej trudno byłoby nie ulec magii wielkiego nazwiska.

– No tak – powiedziała pozornie obojętnym tonem – znam. Oczywiście, że znam.

Michał tymczasem rozmyślał nad czymś zupełnie innym. Postanowił zrezygnować z zaproszenia dziewczyny do swojego mieszkania. Przyszedł mu do głowy inny plan...

ROZDZIAŁ 13

Matysiu, cieszę się twoim szczęściem, ale najpierw chciałbym poznać tego człowieka – oświadczył stanowczo Julek – Nie oddam mojej ukochanej siostry pierwszemu lepszemu, póki go nie sprawdzę.

– Oj, przestań! – jęknęła Matylda, przewracając oczami. – Chyba nie masz zamiaru mi go obrzydzać. Poza tym on wcale nie jest pierwszy lepszy.

– Zachowam się jak ty w podobnych przypadkach – zaśmiał się głośno. – Tak długo będę szukał w nim wad, aż w końcu sama zrezygnujesz. W ten właśnie sposób przegnałaś wszystkie moje wybranki.

– Bo one do ciebie nie pasowały, a Michał nie ma wad, więc niczego się nie doszukasz.

– Nie znasz mężczyzn, siostrzyczko. – Julek spowaźniał. – Żarty żartami, ale musisz być ostrożna. Gdybyś tylko wiedziała, ilu oszustów i złoczyńców chodzi po tym świecie, nie byłabyś taka beztrośka. Stykam się z tym teraz niemal codziennie, czytam akta spraw, od których włos się jeży na głowie.

Matylda niemal żałowała, że opowiedziała mu o Michale. Czuła, że Julek będzie miał wątpliwości. Odkąd zaczął studiować prawo, wszędzie dopatrywał się zła i ludzkiej niegodziwości, stał się podejrzliwy i nieufny.

– Nie podejrzliwy – sprostował, kiedy mu to wytknęła – tylko ostrożny. I tobie radzę to samo. Zresztą o czym my w ogóle mówimy? Nawet go nie znam, a może się jeszcze okazać, że zachwycę się przyszyłem szwagrem i wszyscy będziemy szczęśliwi.

– Już to widzę... – mruknęła naburmuszona Matylda.

Mela natomiast aż piszczała z zachwytu.

– O raju! Ten Olbrycht to jego stryj? Naprawdę? O mamusiu, dziewczyno, ty to masz szczęście...

Matylda po kilka razy musiała jej opowiadać całą rozmowę z Michałem. Robiła to zresztą

z przyjemnością, bo mogła jeszcze raz przeżywać wszystko na nowo.

– I mówił, że zrobi z ciebie gwiazdę?

– No przecież słyszałaś już ze sto razy. – Matylda zaczęła tracić cierpliwość. – Ile można, na litość boską?

– Dobrze, już nic nie mówię. Ale nie zapomnisz o mnie, jak już będziesz wielką gwiazdą?

– Nie zapomnę, obiecuję. Tylko że to jeszcze daleka droga, więc przyjdzie ci trochę poczekać.

Mela nie miała jednak zamiaru czekać zbyt długo. Kilka dni później, podekscytowana, przyszła na przedstawienie Matyldy, ściskając w dłoni najnowsze wydanie „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”. Podczas przerwy usiadły w przejściu, między fragmentami dekoracji i kablami elektrycznymi.

– Patrz – pomachała gazetą przed nosem Matyldy – jakie tu dali ogłoszenie. Wybierzesz się ze mną? A, prawda... – zorientowała się po chwili i dodała z przekąsem: – Ty już nie musisz, bo masz swojego producenta!

– Daruj sobie te głupie uwagi. – Matylda odsunęła gazetę. – Nie moja wina, że wybrał mnie, a nie ciebie. Zachowujesz się jak zazdrosna idiotka.

– No dobra już, dobra – mruknęła pojednawczo Mela. – Trochę jestem zazdrosna, nie będę ukrywać, ale każda na moim miejscu by była. To trochę niesprawiedliwe, tyle się wokół niego nakręciłam, tyle razy go zaczepiałam, a w końcu i tak wybrał ciebie. – Machnęła ręką. – Trudno, pewnie jednak się w tobie zakochał, a serce nie służy. – Chwyła się teatralnym gestem za pierś i zrobiła omdlewającą minę.

– Przestań blaźnować i pokaż to ogłoszenie. – Matylda nie potrafiła się długo gniewać na koleżankę.

Rzuciły gazetę na kolanach i Mela zaczęła czytać półgłosem:

– „Komunikat Instytutu Filmowego LUMEM w Krakowie, aleja Krasińskiego 17. Dla skompletowania zespołu artystycznego poszukujemy osoby o odpowiednich warunkach zewnętrznych i poprawnej dykcji”.

– No to chyba bym się nadawała, jak myślisz?

– Na razie pasujesz jak ulał – przyznała Matylda. – A co tam piszą dalej?

– „Kandydaci z udziałem mają pierwszeństwo. Zgłoszenia listowne wraz z fotografią”. – Mela nieco zrzędała miną. – Co to za „udział”? Myślisz to samo, co ja?

– Noo... pewnie chodzi o pieniądze. Ale na twoim miejscu i tak bym spróbowała. Wyślij zgłoszenie z fotografią, niech cię zaproszą na przesłuchanie. Może ten udział okaże się w końcu mało istotny?

Rozległ się dzwonek ogłaszający koniec przerwy i Mela pobiegła na swoje miejsce na widowni, ale myślami już była gdzie indziej. Zastanawiała się nad wyborem fotografa, który zrobiłby jej piękne zdjęcia.

Tylko co z moimi włosami? – w zamyśleniu przeczesala palcami długie blond pasma, jej dumę i przedmiot zawiści u koleżanek. Widziałam reklamę jakiegoś rewelacyjnego szamponu do włosów, zaraz, gdzie to było? Chyba w „Czasie”. A może w „Kinie”? Nie, chyba jednak w „Czasie”. Muszę go kupić. Podobno podwaja objętość i daje nadzwyczajny połysk.

Tymczasem Matylda dojrzała do tego, żeby przedstawić Michała Julkowi. Przyszywany brat nie dawał jej spokoju, postanowiła więc umówić się z nimi u Maurizia, w modnej i wytwornej cukierni. Piękny witraż z sową nad wejściem i w nadświetlu od zawsze przyciągał amatorów ciastek, gorącej czekolady i kawy, a stare, biedermeierowskie wyposażenie kojarzyło się z elegancją i zbytkiem, którego na co dzień ludziom brakowało. Było drogo, lecz przy specjalnej okazji warto było się tam wybrać.

W tym właśnie lokalu chciała poznać ze sobą dwóch najważniejszych dla niej mężczyzn. Już dawno nie denerwowała się tak przed żadnym spotkaniem, bardzo jej zależało, żeby Julek zaaprobował jej wybór.

Przez ostatnie tygodnie relacje Matyldy z Michałem znacznie się zacieśniły; Olbrycht już otwarcie dawał do zrozumienia, że mu na niej zależy. Spotykali się wieczorami na Plantach, gdzie można było usiąść na pogrążonej w lekkim półmroku ławce i przytulić się delikatnie, nie wzbudzając żadnej sensacji. Porzucili już oficjalną formę i mówili sobie po imieniu, co jeszcze bardziej ich zbliżyło.

Rozmawiali, z początku nieśmiało, potem już coraz śmielej, o wspólnej przyszłości. Michał, chociaż przekonany o talencie Matyldy, wolałby jej nie przedstawiać stryjowi. Czuł, że wtedy ją straci. Kariera filmowa pochłaniała mnóstwo czasu, działa się to kosztem życia prywatnego, znał te sprawy z obserwacji aktorów skupionych przy stryju. Z drugiej strony wiedział, że nie byłoby to w porządku w stosunku do dziewczyny. Ktoś taki jak Matylda zasługiwał na wszystko, co najlepsze. Póki więc nie spotkali się jeszcze ze stryjem, chciał spędzić z ukochaną jak najwięcej czasu sam na sam. Zaproponował jej wspólny wyjazd do Zakopanego, ta myśl chodziła za nim już od dawna, od chwili, gdy podczas pierwszego spaceru po Plantach miał ochotę zaciągnąć dziewczynę do swojego mieszkania.

– Za chwilę będzie letnia przerwa w teatrach, więc i tak zostaniesz bezrobotna – przekonywał.
– Zobaczysz, jak tam cudnie w czerwcu.

– Myślałam, że do Zakopanego jeździ się zimą?

– Tam każda pora roku jest piękna. Ale możemy się też wybrać kiedyś zimą, jeździsz na nartach?

– Nie. Jakoś nie było okazji. – Matylda się zarumieniła. Michał był taki światowy, a ona gąska.

– Nauczę cię, to proste. Pojedziemy też kiedyś wiosną, zobaczysz, jakie wtedy góry są piękne. Na szczytach jeszcze śnieg się skrzy w słońcu, a niżej, w dolinach, aż niebiesko od krokusów.

– Mówisz jak poeta.

– Zapomniałaś, że piszę do szuflady?

Z Julkiem spotkała się wcześniej pod Sukiennicami, nie chciała wchodzić do cukierni sama.

– Tylko błagam, bądź dla niego miły. – Matylda mocno ścisnęła go za ramię. – Obiecuj mi to. – Obiecuję, że od razu nie zrobię mu krzywdy. – Podniósł dwa palce, udając uroczystą przyślegę. – Poczekam, aż stamtąd wyjdziemy.

– Nie błaznuj.

– Ale wcześniej poproszę go, żeby się jakoś wylegitymował. Chcę mieć pewność, że jest

tym, za kogo się podaje.

– Chyba nie mówisz tego poważnie?... – Matylda aż się zatrzymała z oburzenia.

– Dlaczego nie?

– Przecież obrazisz go takim zachowaniem! Jeśli to zrobisz – oświadczyła, mrużąc oczy – nie będę chciała cię znać. Nie daruję ci tego nigdy, pamiętaj...

Julek na tyle znał Matyldę, żeby uwierzyć w jej ostrzeżenie. Miała gwałtowny temperament, można się było po niej spodziewać wszystkiego. Wielkiej nienawiści również. Westchnął więc tylko ciężko w odpowiedzi.

Jak należało się spodziewać, z początku atmosfera była sżywna, obaj mężczyźni przyglądali się sobie niczym zawodnicy przed walką. W miarę upływu czasu jednak sytuacja zaczęła się poprawiać. W końcu Julek, acz niechętnie, musiał przyznać przed samym sobą, że wybranek Matyldy jest naprawdę inteligentnym człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach. I nawet sympatycznym. Wydawał się też mocno zaangażowany, o czym świadczyły jego spojrzenia rzucające w kierunku dziewczyny.

– Czy ma pan zamiar ożenić się z moją siostrą?

Michał spojrział na Julka, zaskoczony jego bezpośredniością.

– Widzę, że nie lubi pan owijać w bawełnę – stwierdził z uśmiechem.

– Zgadza się – odparł poważnie Julek – Jestem prawnikiem *in spe*, uczono mnie wyrażać się konkretnie i na temat.

Siedząca obok Matyldy myślała, że zaraz spłonie ze wstydu za przybranego brata. Jak można zadawać takie pytania! To jakby wymuszanie oświadczeń, co sobie o niej pomyśli Michał? Gdyby spojrzenie mogło zabijać, biedny Julek padłby właśnie u jej stóp, wijąc się w okrutnych mękach.

Ale on zdawał się zupełnie nie przejmować oburzeniem tamtych dwojga.

– A zatem? Jakie pan ma plany w stosunku do Matyldy? A tak właściwie co pan robi w życiu?

– Rozumiem pańską troskę o siostrę – Michał mówił powoli i ostrożnie – ale proszę mi wybaczyć, pańskie pytanie uznałbym jednak za wtrącanie się w moje prywatne sprawy. W nasze – poprawił się, spoglądając na skamieniałą ze wstydu i oburzenia Matyldę. – Byłbym wdzięczny, gdyby pan pozwolił mi działać po swojemu, czyli, jak zwyczaj nakazuje, oświadczyć się jednak wcześniej wybrance mojego serca. Taka jest chyba kolej rzeczy, nieprawdaż? Jeśli zaś chodzi o mój zawód, z wykształcenia jestem dziennikarzem, ale pracuję jako wspólnik mojego stryja, producenta filmowego. I pozwolę sobie na koniec uprzedzić pańskie następne pytanie: mam dwadzieścia siedem lat.

Julek zmieszał się nieco. Ten Olbrycht miał rację, nawet nie zdążył się jeszcze zadeklarować przed Matyldą, a on już go przepytuje, jakby co do tego nie było żadnych wątpliwości. Może tamten wcale nie miał zamiaru się żenić? Po takich wszystkim można się spodziewać.

– Przepraszam. – Lekko skłonił głowę. – Chyba rzeczywiście trochę się zapędziłem, ale mam nadzieję, że rozumie pan moje intencje.

– Tak, rozumiem, nie mówmy już o tym. Jeśli zaś chodzi o moje inne plany – Michał podkreślił mocniej słowo „inne” – mam zamiar pomóc Matyldzie w karierze artystycznej

w Berlinie.

– Dlaczego właśnie w Berlinie?

Michał westchnął, z trudem ukrywając zniecierpliwienie, że musi tłumaczyć aż tak oczywiste rzeczy.

– A dużo pan zna naszych rodzimych produkcji, o których byłoby głośno w świecie? Albo polskich gwiazd o światowym rozgłosie?

– Noo... – zawahał się Julek – Choćby modny ostatnio film *Czy Lucyna to dziewczyna?* A gwiazda? Pola Negri, na przykład.

– Zgadzam się z panem. – Michał uśmiechnął się z satysfakcją. – Tyle tylko, że Pola Negri jest bardziej sławna za granicą niż u nas, a film, o którym pan mówi, cieszy się ogromną popularnością w Niemczech. I chyba najpierw tam właśnie zdobył rozgłos. Powinno to dać panu do myślenia.

Julkowi trudno było się z tym nie zgodzić.

– Nawiasem mówiąc – dodał po chwili Michał – słyszał pan, że Tadeusz Dołęga-Mostowicz chciał wytoczyć proces o plagiat reżyserowi tego filmu? Podobno wykorzystano temat jednej z książek tego autora. Ot, i ma pan naszą produkcję.

– Owszem, czytałem o tym, ale moim zdaniem to bzdury i chyba pisarz sam się w końcu wycofał. Motyw przebierania się dziewczyny za mężczyznę wykorzystywany był już w wielu utworach, choćby u Szekspira w *Jak wam się podoba*, zatem zarzuty są bezpodstawne.

Napięta atmosfera utrzymywała się dość długo, widać było, że panowie się nie polubili, chociaż, ze względu na Matyldę, starali się zachowywać poprawnie. Dalsza rozmowa dotyczyła już tematów neutralnych, Michałowi udało się w końcu rozbawić rodzeństwo zabawnymi historyjkami ze świata filmu. Nawet Julek wydawał się oczarowany sympatycznym gawędziarzem, jakim w końcu okazał się Olbrycht.

Pożegnali się spokojnie i kulturalnie, Michał przeprosił, że nie odprowadzi Matyldy do domu, ale czekało go jeszcze inne spotkanie, służbowe, i był już nieco spóźniony. Umówił się z nią na następny dzień, pożegnał uprzejmie Julka i odszedł szybkim krokiem.

– Nienawidzę cię. – Matylda szła tak prędko, że Julek ledwo ją doganiał. – O mały włos, a zepsułyś wszystko. Jak mogłeś tak na niego napadać?

– Matyś, nie przesadzaj. Musiałem go wypytać o plany, jak ty to sobie wyobrażałaś? Przecież ten człowiek chce cię zabrać z Krakowa, gdzieś daleko ode mnie, skąd mogę wiedzieć, co on zamierza? Niech wie, że jest obserwowany. Chociaż wydaje mi się, że ma całkiem uczciwe zamiary co do ciebie – dodał pojednawczym tonem. – Ale ostrożności nigdy za wiele, pamiętaj.

Na wszelki wypadek Matylda nie wspomniała mu o planowanym wspólnym wyjeździe z Michałem do Zakopanego.

Mogłoby się jeszcze zdarzyć, że jej podejrzliwy brat zechciałby wybrać się z nimi.

ROZDZIAŁ 14

Z Wiednia przyszedł wreszcie długo oczekiwany przez Matyldę list. Janek z wujem Stefankiem dotarli bezpiecznie na miejsce i w końcu rodzina była w komplecie.

Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć na własne oczy spotkania tatki z mamą – pisał kuzyn. – Z początku aż się bałam, że mama dostanie ataku serca. Przecież myślała przez te wszystkie lata, że tatko nie żyje, rozpoznała wtedy jego płaszcz i portfel. Płakali oboje jak dzieci. Mama jeszcze tego samego dnia pobiegła do kościoła, żeby dać na mszę za szczęśliwy powrót tatki, a wcześniej mój.

Matylda z łatwością mogła sobie wyobrazić tę radość. Wprawdzie smutno jej było po wyjeździe wuja, ale wiedziała, że Stefan teraz jest naprawdę szczęśliwy. Życie tutaj, zwłaszcza po śmierci siostry, było dla niego jedyne wyzwanie.

A Marysia, której obecności tatko z początku zupełnie nie mógł zrozumieć, zawojowała go niemal od razu. Już widać, że będzie jego ulubienicą i mała okręci go sobie wokół palca.

Obawiali się oboje, jeszcze w Krakowie, jak Stefanek zareaguje na swoją córkę. Kiedy bowiem Janek usiłował go przygotować na to spotkanie, wuj zupełnie nie potrafił zrozumieć, skąd się nagle wzięła i kim dla niego jest owa nieznaną dziewczynką.

– Jaka córka? – pytał zdeorientowany. – Przecież ja mam tylko Jasiulka, syneczka.

Matylda cieszyła się, że chociaż inni są szczęśliwi, bo sama przechodziła kryzys. Kontakty z Michałem uległy chwilowemu ochłodzeniu, wyglądało na to, że jej ukochany poczuł się jednak urażony taką rozmową. Podejrzewał, że to Matylda namówiła brata, by ten go sprawdził.

– Jest mi przykro, że aż tak nie masz do mnie zaufania – stwierdził ze smutkiem, kiedy zapytała go w końcu o przyczynę złego nastroju. – Staram się, a ty nasyłasz na mnie brata prawnika. Ładnie tak?

Teraz to Matylda poczuła się urażona.

– Jeśli uważasz, że przedstawienie cię jedynej bliskiej osobie, jaka mi jeszcze została z rodziny, jest nietaktem, to już twój problem – odparła sucho. – Ja uważam, że to chyba normalne w takich sytuacjach.

Michał zmarszczył brwi, przyglądając się Matyldzie z uwagą. W końcu w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Moja kochana złościco, podobasz mi się coraz bardziej. – Usiłował ją przytulić, ale się wywinęła.

Szli linią A-B i takie publiczne okazywanie czułości nie podobało się dziewczynie. Jak zawsze w przypadku naruszenia dobrych manier zabrzniał jej w głowie zgorzony głos babci Zuzanny: „Panience z dobrego domu to nie przystoi, moja droga. A ty jesteś z bardzo dobrego domu”.

– No dobrze, nie gniewaj się już – Olbrycht zmienił ton. Widać było, że nie potrafił zbyt długo żyć w urazy. – Twój brat mnie nie lubi, a ja to po prostu czuję, stąd pewnie moja reakcja.

– Ty też go nie lubisz – odparowała.

– To prawda. Na szczęście jednak nie z nim będę się żenił i nie on pojedzie ze mną do Berlina.

– Pokazał w uśmiechu piękne i równe zęby.

– Czy to znaczy, że... – Matyldzie nagle zabrakło tchu.

– Taką głuptasku. – Nie bacząc na spojrzenia ciekawskich, objął ją i pocałował. – Zamierzałem poprosić cię o rękę w Zakopanem, ale teraz nie wiem, czy nadal chcesz tam ze mną jechać.

Zanimowała z wrażenia, co Michał ochoczo wziął za przyzwolenie. Wystarczył mu widok szczęścia malującego się na jej twarzy.

– Chciałbym ci wówczas ofiarować pierścioneł, który w naszej rodzinie przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Muszę go tylko zabrać z naszego rodzinnego domu pod Warszawą. Dlatego, jeśli pozwolisz, wybiorę się tam, na razie sam, na kilka dni. Stryjowi jeszcze zdążę cię przedstawić.

– Nie mówiłeś, że masz jakiś dom pod Warszawą. Myślałam, że jesteś z Krakowa...

– Jeszcze wielu rzeczy o sobie ci nie mówiłem, kochana. – Michał roześmiał się i znów ją przytulił do siebie. – Będę się odkrywał powoli i mam nadzieję, że jeszcze nieraz cię zaskoczę. Choćby tylko po to, żeby zobaczyć ten wyraz zdumienia, a zaraz potem urazy w tych najpiękniejszych na świecie oczach.

Ustalili, że wybiorą się do Zakopanego zaraz po powrocie Michała z Warszawy. Matylda czuła miły dreszczyk podniecenia, jak zwykle, kiedy miała zrobić coś zakazanego, co na pewno nie spodobałoby się babci Zuzannie. Babcia Hela miała mniej surowe zasady, poza tym była zbyt zajęta małą Martą, żeby wtrącać się w życie Matyldy. Zresztą ona sama jeszcze nie wiedziała, czy przyzna się babci, z kim jedzie. W końcu jest już dorosła i może sama decydować o tym, z kim i gdzie ma zamiar się wybrać.

Mela aż usiadła z wrażenia, słysząc owe rewelacje.

– O mamusiu... No nie wierzę! Choć tak wierzę, już dawno się na to zapowiadało. Opowiadaj!

Spotkały się u Noworolskiego. Matylda czuła się już na tyle pewnie, że przychodziła znowu do tej kawiarni. Jak większość aktorów krakowskich wpadały tam obie po dwunastej w południe albo całkiem późno, o jedenastej wieczorem, po spektaklu. Największy tłum był właśnie wieczorem. Sala wypełniała się wtedy gwarem, można było wymienić uwagi na temat przedstawienia, porozmawiać o planach na przyszłość, spodziewanych angażach oraz poznać najnowsze plotki dotyczące kariery znanych kolegów, którzy wybrali stolicę albo wyjechali do Berlina.

– Podobno Zula, pamiętacie ją, prawda? Podobno będzie teraz grała u boku Eugeniusza Bodo, wyobrażacie to sobie? – rzucił ktoś podekscytowany.

– Ta krowienta? Żartujesz chyba. – Młoda aktorka z krótkimi, ułożonymi w modne fale włosami pogardliwie wydeła mocno umalowane usta. – Przecież to beztalencie.

– Ale do filmu się dostała, czyli coś tam w niej musieli zauważyć – nie ustępowała koleżanka.

– Taaa... wiemy doskonale, co zauważyli...

Awantura już wisiała w powietrzu, widać było wyraźnie, że koleżanki nie przepadają za sobą i tylko szukają okazji, żeby się pokłócić.

– A wiecie, że Matylda... – wyrwała się nagle Mela, ale zamilkła, pociągnięta gwałtownie za rękaw przez przyjaciółkę.

– Zabraniam ci – syknęła Matylda.

– Dlaczego? – nie mogła zrozumieć zbita z tropu Mela. – Przecież to taka niesamowita wiadomość. Te idiotki zzieleniały by z zazdrości.

Rozmawiały ze sobą szeptem, zresztą w ogólnym gwarze i tak nie zauważono wystąpienia Meli, a w każdym razie nikt się nie dopytywał, co miała na myśli i co chciała im powiedzieć.

– Jeszcze zdążą zzielenieć. Nie chcę, żeby teraz o mnie plotkowano, bo zawsze znajdzie się ktoś zawistny, kto zechce wszystko popsuć. Nie chcę i już. Zresztą jestem przesądna.

Mela niechętnie, ale w końcu przyznała jej rację. Choć tak przyjemnie byłoby zobaczyć zaskoczenie na tych lalkowatych twarzach z wyskubanymi w wąskie sznureczki brwiami. Ale trudno. Zaczeka, a potem dopiero obie zaskoczą ich wszystkim – aż się uśmiechnęła do własnych myśli.

– Mati... – zaczęła niepewnie. – A czy myślisz, że twój przysły mąż mógłby i dla mnie znaleźć jakąś rolę w tym Berlinie? Poprosisz go? Bądź dobrą koleżanką...

Matylda się roześmiała.

– Kochana, jeśli ja tam będę pracować, to i dla ciebie coś się znajdzie. Myślisz, że bym ci nie pomogła, gdybym miała taką możliwość? Wprawdzie nieraz jesteś irytująca, ale cię lubię.

Mela podskoczyła, żeby ją uściskać, ale Matylda zaczęła się od niej opędzać jak od dokuczliwej muchy.

– No właśnie, dopiero mówiłam, że jesteś irytująca. Daj spokój, bo jeszcze się rozmyślę. Dobrze – zmieniła temat. Była przesądna i bała się, że samym opowiadaniem o swoim szczęściu może spowodować zły los. – A co z tym ogłoszeniem instytutu filmowego, odpisali coś?

– Nie. – Wargi Meli wykrzywiły się w podkówkę. – Może jednak niepotrzebnie zapytałam o ten udział.

– Nie żałuj, pewnie nie to było ci pisane – pocieszyła ją Matylda. – A może to też jakieś oszukańcze przedsięwzięcie, jak z tą kawiarnią czy kabaretem Italia, pamiętasz?

Dziewczęta śledziły kiedyś w prasie sprawę kabaretu znajdującego się naprzeciwko Teatru Słowackiego, dosłownie po drugiej stronie ulicy. Właściciele doprowadzili kabaret do fikcyjnej upadłości i sprzedali go na licytacji. Zatrudniony tam personel, mimo wcześniejszych zapewnień, nie otrzymał swoich kaucji z powrotem.

Podobne przypadki zdarzały się niemal wszędzie. Bezrobotnych przybywało, zdesperowani ludzie oddawali ostatnie pieniądze na kaucje, jakich żądali przyszli pracodawcy, żeby tylko zdobyć jakiegokolwiek zajęcie.

– Może i masz rację – przytaknęła tamta i uśmiechnęła się smutno. – Czasami nawet dobrze nie mieć pieniędzy. Przy najmniej jedna korzyść z tego.

Mela znalazła się ostatnio w dość trudnej sytuacji. Z powodu przerwy urlopowej w teatrze nie miała zajęcia, dyrektor zaś jakby przestraszył się swojej zazdrosnej żony, która miała większe udziały w interesie, i zaczął się wycofywać ze sponsorowania młodej aktoreczki. Tym bardziej że na horyzoncie pojawiła się nowa, młodsza, o której żona jeszcze nic nie wiedziała. Wyglądało więc na to, że Mela straci również pracę. Gdyby nie Matylda i rysujące się przed nią wspaniałe perspektywy, miałyby powody do obaw o przyszłość. Znalezienie nowej pracy graniczyło teraz niemal z cudem. W Krakowie przybywało bezrobotnych i nędzarzy.

Tymczasem dla oszustów nastały złote czasy; obiecywali świetne posady, brali kaucję i... znikali. Mnożyły się przypadki samobójstw, a nawet zabójstw, jeśli ktoś rozpoznał złodzieja, który okradł go nie tylko z pieniędzy, ale i ze złudzeń. Jak grzyby po deszczu pojawiali się fałszywi prawnicy, księża, a nawet lekarze.

Matylda pamiętała historię opowiedzianą jej przez jednego z klientów apteki o „doktorze”, który leczył jego żonę w swoim prywatnym gabinecie. Podawał się za znanego lekarza ze szpitala wojskowego i wzbudził tym zaufanie mężczyzny, weterana wojennego. Doktor leczył tę kobietę, cierpiącą na bóle stawów, zastrzykami z narkotyków. W końcu biedaczka zaczęła zdradzać objawy choroby psychicznej i znalazła się w szpitalu, gdzie stwierdzono ciężkie uzależnienie od tych substancji i obłęd. „Doktor”, co było do przewidzenia, zlikwidował swój gabinet i najprawdopodobniej przeniósł się do innego miasta.

Pojawiali się też przestępcy, wykorzystujący naiwność dziewcząt, które marzyły o karierze teatralnej lub filmowej. Większość z nich sprzedawana była do domów publicznych, o czym mówiono coraz głośniejszymi głosami, lecz to wcale nie odstraszało najbardziej zdesperowanych. Matylda obawiała się, że Mela byłaby właśnie idealną kandydatką na taką ofiarę. Lubiła koleżankę, przyjaźniły się nawet, lecz nie miała zbyt wielkich złudzeń co do jej rozumu.

– Swoją drogą to straszne, co kryzys zrobił z ludźmi – zastanawiała się głośno. – Dawniej tak nie było czy po prostu tyle się nie mówiło na ten temat?

Mela nie przejmowała się za bardzo losem obcych jej osób.

– Ja tam się niczym nie muszę martwić – powtarzała z zadowoleniem. – Odkąd znam przysłą żonę producenta filmowego z Berlina, jestem spokojna. Wiem, że przy tobie na pewno nie zgine.

– To się nazywa prawdziwie bezinteresowna przyjaźń. – Matylda westchnęła z udaną

dezaprobatą. – Poza tym to nie mój przyszły mąż jest producentem filmowym, tylko jego stryj. Słuchałabyś dokładniej, co do ciebie mówię.

ROZDZIAŁ 15

Matyś, zbieraj się szybko, jedziemy na Sowiniec! – zawołał od drzwi Julek, wpadając jak wicher do mieszkania.

Matylda zamierzała spędzić ten czas na czytaniu książki i leniuchowaniu. Michał wyjechał kilka dni temu i nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. Czuła się trochę zawiedziona.

Próbowała go namówić, żeby jednak zabrał ją ze sobą do Warszawy, planowała nawet wspólny wypad do opery, gdzie wystawiano właśnie *Dybuka* Lodovica Rocci, albo do kina, gdyby nie dostali już biletów, ale na próżno.

– Kochana, wynagrodzę ci to wszystko zawiązką – obiecał na pożegnanie, całując ją czule.
– Przecież wiesz, po co głównie jadę, więc w mieście będę tylko przejazdem. Chcę wszystko jak najszybciej załatwić i wracać. Nie mogę się doczekać naszego wyjazdu do Zakopanego. A do Warszawy jeszcze się wybierzemy. Pokażę ci wtedy modne kawiarnie i kabarety, pójdziemy na jakąś ciekawą premierę, zabawimy się. Ale jeszcze nie teraz, wybaczysz mi?

– Mówiłeś przecież, że stryj mieszka w Berlinie...

– Pracuje w Berlinie, ale mieszka w naszym rodzinnym domu pod Warszawą. Zwykle spędza kilka miesięcy tu, a kilka tam, w zależności od tego, czego akurat wymagają interesy. Nie wierzysz mi?

Wierzyła mu i wybaczyła. Trudno się było oprzeć jego spojrzeniu, jeszcze trudniej głosowi o ciepłym, uwodzicielskim brzmieniu. Michał na każdym kroku dawał jej dowody swojego uczucia. Przy byle okazji, a nawet bez niej, zasypywał dziewczynę kwiatami i drobnymi prezentami. Goniec przynoszący ogromne bukiety róż żartował, że nie powinna zamykać drzwi, bo tak będzie mu łatwiej. Wszystkie znajome zazdrościły Matyldzie takiego adoratora. Jej samej trudno było uwierzyć we własne szczęście. Chodziła na grób matki, żeby jej o tym wszystkim opowiedzieć.

Widzisz, mamusi, rozmawiała z nią w myślach, kłtwa już chyba przestała działać, chociaż tak samo jak ty ja też nie potrafię wybaczyć swojemu ojcu. Widzisz? Myliła się, to tylko zwykłe gusła i przesady.

Ale teraz została sama i z trudem mogła się skupić na czytaniu. Wizyta Julka była jej więc nawet na rękę.

– Czyli do Łasku Wolskiego? Jakaś spóźniona majówka? – spytała, odkładając otwartą książkę grzbietem do góry.

Za coś takiego, czyli niszczenie książki, usłyszałyby swoje od mamy, a nawet od babci Zuzanny, ale teraz mogła robić, co jej się tylko podobało. Tęskniła za tymi wymówkami, zniosłaby nawet najbardziej przykre słowa, by leby tylko...

– Żartujesz? – Julek zatrzymał się w pół kroku, spoglądając na nią z niedowierzaniem. – Cała Polska zjeżdża się do Krakowa, żeby pomagać przy sypaniu kopców dla Marszałka na Sowińcu, a ona pyta, czy to majówka...

Matylda się zmieszała. Rzeczywiście, ostatnio żyła jakby obok wszystkiego. Niby słyszała jakieś informacje w radiu, niby czytała coś w gazetach, ale wszystko to nie zaprzątało zbytnio jej uwagi. Myślni była już w Berlinie i robiła tam karierę jako aktorka, a może nawet stała się gwiazdą filmową. O ślubie z Michałem nie wspominała. Ze zdwojoną energią wróciła więc do nauki tańca, śpiew już sobie darowała, odkąd usłyszała od nauczycielki, że „lepiej niech już raczej tańczą”. Kiedy powiedziała o tych lekcjach Michałowi, w jego oczach zapalił się błysk.

– To świetnie – pochwalił ją z bardzo zadowoloną miną. – To ci się przyda na pewno.

A teraz doszły jeszcze marzenia o wspólnym wyjeździe do Zakopanego. Gdzie tam miała głowę do tego, co działo się w mieście!

– No i jak, śpiąca królewno? – Julek przypominał jej o swojej obecności. – Zainteresowana moją propozycją czy też masz zamiar tylko leżeć, pograżona w żalu za ukochanym?

– Nie bądź złośliwy. – Wzruszyła ramionami, nieco zawstydzona jego spostrzegawczością. – Wyobraź sobie, że właśnie chętnie się z tobą wybiorę.

– Z przyjemnością to sobie wyobrazę. Ale żebyś miała wrażenie, że to trochę i piknik, przygotuj jakąś wałówkę. Nie wiem, czy uda nam się coś kupić na miejscu. Spracujemy się na pewno nieźle, możemy więc zgłodnieć.

Matylda zajęła się przygotowaniem kanapek, wrzuciła też kilka jabłek do płóciennej torby i przebrana w luźne ubranie, wygodne do pracy fizycznej, stanęła przed Julkiem.

– Jestem gotowa. Idziemy?

Julek z wyraźną przyjemnością zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Weź jeszcze kapelusz, bo dzisiaj dość ostre słońce – doradził.

Po wyjściu z autobusu wmieszali się w tłum zmierzający w tym samym kierunku, co oni. Zewsząd dochodziły nawoływania handlarzy, korzy stających z niebywałej okazji.

– Świeże obaranki... obaranki jak baranki... kupujcie, ludzie!

– Pane, powróżem pane... daj grusza dla dziecka, daj grusza... – Stare i młode Cyganki z dziećmi na biodrach chwyciły przechodzących za ręce.

– Damy sobie powróżyć? – spytał nagle Julek, zatrzymując się w miejscu.

– Oszalałeś? – Matylda rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. – No tak, oszalałeś. – Pokiwała głową, widząc jego minę. – Nigdy w życiu. Wolę nie wiedzieć, co mnie czeka. Cyganka wywróżyła kiedyś mamie kłopoty i spełniło się. Mama cały czas czekała na to, co się miało stać. Ani myśle. Ale ty możesz sobie wróżyć, jak chcesz.

Julek w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Nigdy w życiu nie przyznałby się, że jednak wierzy we wszelkie przepowiednie i wróżby. W kłątwy też.

Pod górę rosnącego niemal w oczach kopca szły spiralnie zakręconą ścieżką całe grupy ludzi. Ci, którzy mieli więcej siły, dźwigali kosze z ziemią, inni pchali taczki, nawet małe dzieci wiozły ziemię w zdezelowanych wózkach, powiązanych sznurkami i drutem.

Autobusy co rusz wypływały z siebie pasażerów przyjeżdżających ze wszystkich stron kraju. Przywożono ziemię z wszelkich miejsc związanych z przeszłością i teraźniejszością Polski.

Matylda czuła się trochę nieswojo, niosąc torbę wypełnioną tylko prowiantem. Na szczęście Julek w ostatniej chwili zabrał z domu wiklinowy kosz i napełnił go na miejscu ziemią.

– Daj, teraz ja trochę poniosę. – Matylda usiłowała wziąć od niego ciężar.

– Nie teraz, może za następnym podejściem – obiecał jej. – Ten jest zbyt ciężki. Ale możesz chwytać z drugiej strony i pomóc mi nieść – dodał nieco zdyszany.

Godzący dzień dawał się wszystkim we znaki, lecz nie psuł humorów. Z lasu nieustająco wyłaniały się nowe grupy młodzieży, wędrujące tu na piechotę. Grupa dziewcząt z Warszawy ze śmiechem komentowała „słabość” swoich kolegów, którzy, zasapani, zostali w tyle, nie mogąc dotrzymać im kroku.

Po kilku godzinach pracy Matylda i Julek poczuli w końcu głód. Usiedli na trawie, na skraju lasu, i wyjęli kanapki z płóciennej torby. Poprzez szeroki wyręb w alei drzew widać już było zarysy powstającego kopca. Dawny szczyt Sowińca został ścięty o parę metrów, drzewa usunięto w dużym kręgu, a ziemia pozostała z niwelacji posłużyła do budowy podstawy kopca.

– Cieszę się, że wyciągnęłeś mnie z domu. – Zadowolona Matylda wyprostowała obolałe plecy. – Jutro pewnie nie będę mogła się ruszyć, ale dzisiaj jest cudnie.

– Ja też już rąk nie czuję – przyznał się Julek – Ale to takie zdrowe zmęczenie, ostatnio ciągle siedzę nad książkami i nie mam żadnego ruchu. Szkoda tylko, że nie wzięliśmy nic do picia, bo językami już przywarł do podniebienia.

– Widziałam tam, na polanie, jakiś mały pawilon. – Matylda machnęła ręką w stronę końcowego przystanku autobusowego. – Taki z białych brzoź. Może tam coś dostaniesz?

Po dłuższej chwili Julek wrócił z dwoma kubkami zimnego kwaśnego mleka.

– Gdybym wiedział, że tam taka kolejka, to pewnie bym zrezygnował – poskarżył się, siadając obok Matyldy na trawie. – Ale warto było – przyznał, wycierając usta wierzchem dłoni. – Mmm... dobre. Prawie takie jak u babci Heli w Mogile.

Pracowali aż do zachodu słońca. Zaczerwieniona od upału i zmęczenia Matylda zdjęła słomkowy kapelusz i zaczęła się nim wachlować.

– Chodźmy teraz do lasu – zaproponowała – może tam w cieniu trochę ochłoniemy.

– No, nie wiem. – Julekudał, że się zastanawia. – Z tymi rumieńcami i czerwonymi włosami wyglądasz jak ogień, a z otwartym ogniem do lasu przecież nie można...

Matylda rzuciła w niego ogryzkiem jabłka.

– Bardzo śmieszne, naprawdę.

Czuła się wspaniale. Zupełnie inaczej niż zwykle przy Michale, ale wiedziała już, że będzie jej brakowało Julka w Berlinie. Tylko przy nim nie musiała niczego ani nikogo udawać, tylko on ją rozumiał jak nikt inny. Szkoda, że nie mogą go zabrać ze sobą, pomyślała i sama się roześmiała z tego niedorzecznego pomysłu. Michał nigdy by się nie zgodził, obaj zachowywali w stosunku do siebie dystans i tolerowali się wzajemnie tylko ze względu na nią.

Wrócili na Grodzką zmęczeni i głodni. Praca na świeżym powietrzu zaostriżyła im apetyt, kanapek było stanowczo za mało.

– Zmyjemy tylko z siebie ten kurz, przebierzesz się i pójdziemy zjeść gdzieś na mieście – zaproponował Julek, kiedy dotarli na miejsce. – Zapraszam na porządną kolację, zasłużyliśmy sobie oboje.

Jeszcze za życia babci Zuzanny, gdy na Grodzką doprowadzono kanalizację, Matylda zaprowadziła sporo zmian w mieszkaniu, przede wszystkim kazała wybudować łazienkę z ogromną wanną do kąpeli. Błaznana wanna, za każdym razem ściągana ze strychu, została już tam na zawsze, służąc za schronienie pająkom i myszom oraz jako podręczny schowek dla niepotrzebnych chszpargałów, z którymi jednak trudno się było rozstać na zawsze.

Duża, funkcjonalna łazienka bardzo ułatwiła zabiegi higieniczne przy chorej wtedy babci, sprawiła też ogromną przyjemność innym domownikom. Matylda uwielbiała zanurzać się w pachnącej pianie; na taki luksus mogła sobie pozwolić dzięki paczkom przychodzącym z Francji od ciotki Ivonne.

Miała się tam wybrać, przypomniała sobie, ale tyle się ostatnio dzieje. Wyczytała w prasie, że Koleje Francuskie oferowały spore zniżki na bilety do końca lipca. Podobno aż sześćdziesiąt procent do Paryża i czterdzieści z powrotem. Kusząca propozycja, ale chyba jeszcze nie teraz.

Napełniła wannę gorącą wodą, wsypała sól kąpielową i zaczęła się powoli rozbierać. Julek, który nie miał takich wygód w swoim mieszkaniu, wyskoczył do siebie po rzeczy na zmianę. Miał zamiar wykąpać się zaraz po Matyldzie.

Ciepła woda i zmęczenie szybko dały o sobie znać, Matyldę ogarnęła senność. Dziewczyna bawiła się leniwie delikatną pianą, gdyby mogła, nie wychodziłaby wcale z wody pachnącej egzotycznymi olejkami. W pokrytym parą ogromnym lustrze na przeciwległej ścianie widziała tylko część swojej głowy i rękę zwisającą z krawędzi wanny. Z uśmiechem poruszyła dłonią jak cesarzowa pozdrawiająca poddanych. Zamazane odbicie w lustrze powtórzyło jej gest.

To lustro wzbudziło zgorzienie nawet wśród robotników budujących łazienkę. Kto to słyszał, żeby człowiek oglądał się na golasa podczas kąpeli, sarkali, ale odpowiednie wynagrodzenie szybko uspokoiło ich skrupuły. Matylda nie miała zamiaru zrezygnować ze swojego zamiaru, identyczne lustro pamiętała z domu ciotki Ivonne, kiedy odwiedziły ją z matką pewnego lata. Ściany tamtej łazienki zawieszane były akwarelkami przedstawiającymi morze i złotą plażę, namalowanymi przez Ivonne na L'Île-d'Yeu, małej wyspie u wybrzeży Francji, gdzie wuj Antoine kupił niewielki domek, specjalnie na wakacyjne wyjazdy. Zapraszali tam nieraz i ją,

i mamę, ale dla Wiktorii była to zbyt daleka i kosztowna podróż.

Szkoda, pomyślała sennie Matylda, nigdy nie byłam nad morzem...

Obudziła ją woda wlewająca się do nosa i uszu. Poderwała się natychmiast z gwałtownym kaszlem i przez dłuższą chwilę wykrztusiła wodę z solą kąpielową z tchawicy, robiąc przy tym dużo hałasu i plusku.

– Matyś, co się dzieje?!

Do łazienki wpadł bez pukania przestraszony Julek. Zmieszał się, dostrzegłszy wylaniające się spod wody krągłe piersi Matyldy. Od lat dzieciństwa, kiedy to babcia, by zaoszczędzić wodę i czas, kąpała ich razem w jednej balii, nie widział swojej przybranej siostry nagiej. Musiał przyznać, że wyrosła na bardzo ponętą kobietę.

– Oj, przepraszam – jęknął, zaskoczony swoją reakcją. – Bałem się, że coś ci się stało.

Matylda wciąż kaszłała, starając się wykrztusić resztki wody. Machnęła tylko ręką na znak, że nic jej nie jest.

– Jak już tu wszedłeś – wychrypiała z trudem – to chociaż umyj mi plecy.

Julek namydlił gąbkę i ostrożnie przyłożył ją do karku Matyldy.

– Mocniej – ponagliła go. – Takim głaskaniem nie zmyjesz brudu. Przyłóż się trochę.

Kiedy i on wziął kąpiel, wybrali się do restauracji na kolację, bo pora obiadowa dawno już minęła. Matylda była głodna jak wilk, Julek natomiast niespodziewanie stracił apetyt. Bez entuzjazmu grzebał widelcem w jedzeniu.

– Nie smakuje ci? – zdziwiła się Matylda, kończąc swoją porcję i patrząc łakomie na jego talerz.

– Matysiu – zaczął niepewnie – czy ty naprawdę musisz jechać do tego Berlina? Proszę, zastanów się nad tym jeszcze.

– O co ci chodzi? Nie chcesz mojego szczęścia, zdrośnika? – Usiłowała go rozśmieszyć, ale Julek pozostał poważny. – Nie jesz? Mogę?

Podsunał jej swój talerz.

– Nagle dotarło do mnie, że cię stracę... siostrzyczko – dodał po chwili wahania. – Poza tym mam złe przeczucia.

Zrobił to z rozmysłem, wiedział bowiem, że czym jak czym, ale przeczuciami jest w stanie zasiać niepokój w sercu Matyldy. A coraz bardziej zależało mu, żeby jednak zmieniła zdanie co do wyjazdu.

– No chyba żartujesz – oburzyła się z pełnymi ustami. – Co się miało stać złego, to już się stało. Dawno temu. Piorun nie uderza dwa razy w to samo drzewo. Teraz zamierzam być szczęśliwa.

– Nie to miałem na myśli. – Julek pokręcił przecząco głową. – Widać, że Michał jest w tobie zakochany i nie da ci zrobić krzywdy. Tylko że...

– Przecież nie zapomnę o tobie. – Pogładziła go po dłoni. – Jesteś jedyną osobą z rodziny, jaka mi jeszcze pozostała, moim najukochańszym braciszkiem. Obiecuję, że jak tylko będzie taka możliwość, natychmiast ściągnę cię do nas.

Była zbyt zajęta jedzeniem, żeby zauważyć nagły smutek w oczach Julka.

ROZDZIAŁ 16

Ku ogromnej radości Matyldy Michał wrócił dość szybko. Przytulił ją tak mocno, że aż zabrakło jej tchu.

– Stęskniłaś się, moja maleńka?

– Tak – wyszeptała w kołnierz jego eleganckiej marynarki. – Bardzo się stęskniłam. Załatwiłeś wszystko?

– Tak – Uśmiechnął się tajemniczo. – Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się wybrali do Zakopanego. Za tydzień wyruszamy, możesz zacząć się pakować.

Matylda rzadko wyjeżdżała z Krakowa, a w górach w ogóle nigdy jeszcze nie była.

– Marna ze mnie podróżniczka, zupełnie nie wiem, co powinnam ze sobą zabrać. Doradzisz?

– Przede wszystkim weź jakieś ciepłe rzeczy, bo chociaż czerwiec, to w wyższych partiach gór może być zimno. Przecież będziemy chodzili na wycieczki. Nie wykluczam też spotkań ze znajomymi i sławnymi ludźmi, a więc zabierz także coś eleganckiego.

Matylda zaczęła się zastanawiać, co ma w szafach, a co będzie musiała dokupić. Szyście u krawcowej z powodów czasowych nie wchodziło w grę. Postanowiła poprosić Melę o pomoc, chwilowo jednak zajęła się projektem, o który myślała od pewnego czasu.

Wyjęła zapiski matki.

– Nie przeszkadzam? – W drzwiach pokoju ukazała się głowa przyjaciółki.

Matylda aż podskoczyła ze strachu. Nie lubiła takich niespodziewanych wizyt, a zwłaszcza pytania „nie przeszkadzam?”. Ludzie mieli denerwujący zwyczaj wpadania bez zapowiedzi wtedy, kiedy jest się czymś zajęty. Niestety, nikt nie umiał odpowiedzieć wprost, że owszem, nieproszony gość przeszkadza.

Nikt oprócz Matyldy.

– Prawdę mówiąc, trochę. Mogłaś dać znać, że się wybierasz.

– Joasia mnie wpuściła do mieszkania, ale jeśli ci przeszkadzam... – Mela zrobiła urażoną

minę.

– W porządku, wchodź, skoro już tu jesteś. – Matylda machnęła ręką.

Przyjaciółka natychmiast zapomniała o niefortunnym powitaniu.

– A co robisz?

– Przeglądam zapiski mamy. Przed wyjazdem do Berlina chciałabym jeszcze wznowić wytwarzanie kosmetyków w aptece. Mama zostawiła dużo receptur, szkoda, żeby miały się zmarnować.

– Robiła kosmetyki? – Duże oczy przyjaciółki stały się jeszcze większe ze zdziwienia. – Naprawdę?

– Tak – Matylda uśmiechnęła się z dumą. – Sama robiła kremy, olejki do ciała i mydełko. A nawet perfumy, wyobraź sobie. Znalazłam właśnie przepis na perfumy konwaliowe i orientalne, hinduskie.

Otworzyła zniszczony zeszyt i pogładziła z czułością kartki z rogami pozawijanymi od częstego przewracania stron. Miała wrażenie, że ze starannego kaligraficznego pisma matki spływa do jej palców ciepło i miłość.

– Posłuchaj tylko: „Garść konwalii zamoczyć w mieszaninie 16 dkg alkoholu i 5 dkg oliwy jadalnej. Po czternastu dniach gotowe”. A to perfumy hinduskie:

Olejku cedrowego – 10 g

Alkoholowej nalewki benzoesowej – 5 g

Alkoholowej nalewki różanej – 1 g

Alkoholowej nalewki ambrowej – 5 g

Alkoholowej nalewki nardowej – 10 g

Alkoholowej nalewki pomarańczowej – 1 g

– Ależ to musi pięknie pachnieć – zachwyciła się Mela. – Kocham perfumy. Ale nie bardzo mnie na nie stać... – dodała z żalem.

– Mogę jakieś dla ciebie zrobić, przy okazji sprawdzę, czy jeszcze potrafię. Pomagałam nieraz mamie, więc teraz to tylko kwestia zebrania składników i trochę pracy. Które chcesz?

– Naprawdę? To może te hinduskie. – Mela pochyliła się nad zeszytem. – Nigdy takich nie miałam, a same nazwy składników już są pachnące. Nie wiem tylko, co to jest ta nalewka narodowa.

– Nardowa – poprawiła ją ze śmiechem Matylda. – Nard jest wytwarzany z łodyg i korzeni pewnej rośliny, rosnącej wysoko w Himalajach. – Z dumą pochwaliła się swoją wiedzą. – Mama sprowadzała ją nieraz i wytwarzała z niej olejek. Pamiętam, że trzeba ją było długo gotować w mieszaninie wody, wina i oleju z oliwek, a zapach był tak intensywny, że trudno było w te dni wytrzymać w aptece.

– Sama robiła ten olejek? – Mela była pod wrażeniem.

Matylda westchnęła z nagłym smutkiem.

– Tak Moja mama była bardzo mądra i naprawdę dużo umiała. Szkoda, żeby teraz niektóre jej przepisy zostały zapomniane. Joasia po jej śmierci nie chciała się zajmować kosmetykami, mówiła, że bez tego ma zbyt dużo pracy.

Po raz pierwszy w życiu Matylda przyłapała się na myśli, że jednak to błąd, że nie zdecydowała się studiować farmacji. Czuła, że mając odpowiednie wykształcenie, mogłaby poprowadzić dalej dzieło matki. Teraz może być tylko pomocnikiem kogoś, kto by się tym zajął.

Nie mogła liczyć na obecną właścicielkę, a właściwie współwłaścicielkę apteki. Joasia była dobrą i solidną farmaceutką, jednak zupełnie brakowało jej fantazji i tej odrobiny szaleństwa, którą miała Matylda, a nawet, do czego nigdy by się nie przyznała, Wiktoria. Dziewczyna dopiero teraz zrozumiała, jak wielki zawód sprawiła matce, wyłamując się z rodzinnej tradycji. Konieczne trzeba zatrudnić jeszcze kogoś, kto zająłby się produkcją kosmetyków. Kogoś z odpowiednim wykształceniem. Ona mogłaby nad wszystkim czuwać i służyć pomocą.

– No dobrze. – Z westchnieniem zamknęła zeszyt i odsunęła notatki. – Chyba już dzisiaj nie popracuję. Powiedz, co cię sprowadza.

Mela w pierwszej chwili chciała powiedzieć, że nuda, ale to była tylko część prawdy. Joasia, nie miała ostatnio żadnego zajęcia, ale potrzebowała też nowej bluzeczki na lato i liczyła, że koleżanka pomoże jej wybrać najładniejszą.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy się wybrać razem na zakupy. – Spojrzała niepewnie na Matyldę. – Już mi się ciuszki pokończyły, przydałoby się coś nowego. A sama nie lubię chodzić...

Wiedziała doskonale, że koleżanka nie znosiła zakupów, zwłaszcza tych ubraniowych. I to nie z powodu braku pieniędzy, tylko nie lubiła niczego mierzyć i drażniła ją nachalność kupców, zdolnych wcisnąć swoim klientkom wszystko, byle tylko sprzedać towar.

– Wygląda pani zjawiskowo! – wołał sprzedawca, zachwycając się korpulentną damą w różowej sukience z licznymi falbanami, wyglądającej jak koszarne ciastko z kremem lub wata cukrowa zabarwiona sokiem z buraka.

– Wystarczy przesunąć nieco guziczki i będzie jak ulał – przekonywał inną, gdy z trudem zapinała guziki żakietu.

Na wszelki wypadek stał jednak z bólu, obawiając się, zupełnie słusznie, bombardowania owymi guziczkami.

– A wiesz, że miałam cię prosić o to samo? – Matylda spojrzała na Melę, rozbawiona. – Wybieramy się na kilka dni do Zakopanego i muszę się rozsądnie spakować, a nie mam w tym wprawy. Pewnie będę musiała coś dokupić.

– Z Michałem?

– Co z Michałem? Iść na zakupy?

– Głupia jesteś, pytam, czy z nim jedziesz.

– Nie, z księciem z bajki... Pewnie, że z Michałem. Tylko – dodała groźnie, widząc podniecenie w oczach przyjaciółki – to tajemnica i masz nikomu nie mówić.

– Zazdroszczę ci – westchnęła tamta. – Czy i ja spotkam kiedyś kogoś takiego? No, powiedz.

– Na pewno. A teraz nie marudź, tylko pomóż mi się spakować.

Pakowanie z pomocą przyjaciółki poszło sprawnie i szybko. Okazało się nawet, że wcale nie trzeba będzie kupować nowych ubrań, bo większość z tych, które Matylda miała w szafie, spełniała wymogi najnowszej mody. W innych wystarczyło tylko dorzucić jakieś modne dodatki – żabocik, falbankę czy też bukietik sztucznych kwiatów – żeby też wyglądały jak z żurnala. Matylda musiała tylko kupić buciki, bo tych nigdy nie było za dużo.

Mela, przyzwyczajona do częstych wyjazdów, wiedziała, co należy zabrać na wycieczkę. Zanim osiadła na dłużej w Krakowie, często przenosiła się z miejsca na miejsce, szukając szczęścia w coraz to innym mieście. W końcu wylądowała tutaj i zwróciła na siebie uwagę dyrektora teatru. Natychmiast się nią zaopiekował, młoda kochanka odejmowała mu lat i dodawała wigoru.

Wprawdzie szybko się zorientował, że dziewczyna nie jest zbyt zdolną aktorką, lecz i tak dawał jej jakieś mało znaczące role. Obsadzał ją w każdej sztuce, ponieważ zdawał sobie doskonałe sprawę, że tylko w ten sposób może zatrzymać Melę przy sobie na dłużej. Zresztą publiczność też lubiła patrzeć na piękną dziewczynę o długich blond włosach i ogromnych, jakby wiecznie zdziwionych, niebieskich oczach – zwłaszcza męska część widowni.

Sama Mela niechętnie mówiła o swoim poprzednim życiu. Czasami tylko wyrwały jej się strzępki zwierzeń, z których wynikało, że dość wcześnie uciekła z domu od despotycznego ojca i obojętnej matki, wiecznie zaharowanej przy gromadce dzieci. Odejście starszej córki z domu rodzice najprawdopodobniej przyjęli z ulgą.

– Nie przeszkadza ci, że to taki stary dziad? – spytała kiedyś Matylda z właściwą sobie szczerością.

– Nie jest taki najgorszy, przynajmniej czysty i nie bije. – Mela obojętnie wzruszyła ramionami. – I nikt mnie nie zmuszał, sama chciałam z nim być. Wolę już jego niż tego starego młynarza, do którego wysyłano mnie po mąkę. Albo obleśnego rzeźnika, ten to dopiero był wstrętny. Ale dla nich liczyło się tylko to, co przynosiłam do domu.

– Rodzice wiedzieli o tym? No, nie mów...

– A jak myślisz?

Obydwie z zapałem zaczęły wybierać garderobę na wyjazd. Zwłaszcza Mela, która nigdy nie miała tylu pięknych ubrań w szafie swojej skromnej kawalerki.

– Niektóre z tych rzeczy są jeszcze dziełem babci Zuzy. – Matylda z rozrzewnieniem gładziła delikatne materiały. – Zawsze szła najmodniejsze stroje dla mamy i dla mnie, miała naprawdę ogromny talent. Wszyscy nam zazdrościli takich ubiorów. A już zwłaszcza dla mnie szła tak piękne rzeczy, że w dzieciństwie wyglądałam jak mała księżniczka.

– Co za cudo!

Mela słuchała w rozróżnieniu. Chwyciła z wieszaka różową sukienkę w czarne groszki i przyłożyła do siebie. Sukienka była wyjątkowo ładna, pięknie skrojona, z paskiem i kokardą z czarnego aksamitu. I zupełnie niezniszczona.

– Piękna – przyznała Matylda. – Ale rzadko ją noszę.

– Dlaczego? Przecież jest śliczna.

– Tak, ale nie bardzo pasuje do moich rudych włosów. Zdecydowanie lepiej mi w szmaragdowej zieleni lub niebieskim. Nawet w żółtym, ale w tym różu wyglądałam tak jakoś nijako. Wisi tu, bo szkoda mi ją wyrzucić. Podoba ci się?

Zauważyła zachwyt w oczach przyjaciółki.

– Przymerz, jak będzie pasowała, jest twoja.

Meli nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Trochę ciśnie w staniku – wysapała zawiedziona. – Ale zobaczę, czy nie dałoby się popuścić. A jak nie, to najwyżej schudnę do niej, opląca się dla takiego cudeńka.

Okazało się, że spore zaszewki pozwalały na swobodne poszerzenie sukienki. Mela miała dużo większy biust.

– Świetnie – ucieszyła się. – Znam dobrą krawcową, raz-dwa mi to przerobi. Pokaż, co tam jeszcze masz niepotrzebnego.

Po dwóch godzinach spora walizka była spakowana, a uszczęśliwiona Mela miała do zabrania całe naręczce ubrań, niepasujących na Matyldę. Nie musiały już kupować żadnej bluzki.

– Zapytam moją krawcową, może jeszcze zdąży uszyć ci sportową sukienkę do tenisa. W takich towarzystwach się w to grywa, a nie możesz przecież odstawać.

– W tenisa w Zakopanem? To już raczej spodnie na wybieżki w góry.

– Zapytam o spodnie. Kiedy wyjeżdżacie?

– Nie wiem dokładnie, ale chyba za tydzień.

– Trochę mało czasu – zmartwiła się Mela – ale i tak zapytam. A teraz chodź, rozejrzyśmy się za jakimś butami. Wyczytałam ostatnio w „Mojej Przyjaciółce”, że powinno się mieć na wyjazd co najmniej trzy pary. Dwie na wysokim obcasie i jedne półbuty na niskim, na podróż.

W modnym sklepie z butami był tak ogromny wybór, że Matyldę od razu rozboleła głowa. Najchętniej wzięłaby pierwszą parę z brzegu, jednak zachwycona Mela nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Patrz, jakie cudne aksamitowe czółenka na wysokim obcasie! Musisz je mieć. Koniecznie!

– Mam podobne, daj spokój.

– A te, z czarnego aksamitu?

– Też na wysokim obcasie. Zapomniałaś, że szukamy czegoś na płaskim? Mają być na podróż, eleganckie już mam.

Niestety, nie znalazły tam nic odpowiedniego, obeznana ze sprawą Mela zaprowadziła więc Matyldę do pracowni znanego szewca, mieszczącej się w podwórzu ulicy, a jakżeby inaczej, Szewskiej.

Starszy pan w okularach w drucianej oprawce na widok dziewcząt podniósł się ze swojego zydlu.

– Czy mogę służyć pięknym panienkom?

– Szukamy pantofelków na płaskim obcasie – odpowiedziała za nie obie Mela. – Czegoś eleganckiego i wygodnego zarazem.

– Jeśli eleganckie, to tylko na wysokim. – Szewc zachnął się, jakby go obrażono. – Proszę tylko spojrzeć na te pantofelki ze złotej skóry, można je nosić zarówno do czarnych sukni wizytowych, jak i do aksamitnych.

– Ale... – próbowała zaprotestować Matylda, lecz szewc już jej wetknął w rękę ażurowe cacko uplecione ze złożonych skórzanych pasków, spiętych brylantowymi sprzączkami.

– Paryż chce, żeby je nosić na gołą nóżkę – nie dopuszczał ich do głosu – ale nasze panie mogą włożyć pończoszki. Wiadomo, w jakim stanie są niektóre stopy, niestety. Każda z pań chciałaby mieć małą stopę i znosi tortury, wkładając buty o pół numeru, a nawet o cały mniejsze, i potem mamy wykrzywione paluchy. A to szpetnie wygląda bez pończoszki. No i te splekane pięty... Zgodzą się panie ze mną?

– Tak, ale...

– Wróciłem niedawno z Paryża, drogie panie, i wiem, co się teraz nosi. Lakier, na ten przykład. Czarny z kolorowymi żyłkami. Zamsze i renifery, czarne i kolorowe. No i oczywiście krokodyle. Na szczęście tandeciarze jeszcze nie potrafią ich podrabiać, czego się nie da powiedzieć o jaszczurkach. Moje tam nigdy nie pękają – oświadczył z godnością – ale ja mam towar najwyższej klasy, a nie jakieś tanie paskudztwa. Co to za jaszczurki, ja się pytam?

– Może to nie jaszczurki, tylko kameleony i pękają przy zbyt wzorzystych toaletach? Przy szkockiej tafcie, na przykład! – Matylda nie wytrzymała. Z trudem opanowała śmiech, wyobrażając sobie kameleona, w szaleńczym tempie zmieniającego kolory.

Szewc spojrział na nią podejrzliwie, ale zrobiła niewinną minę.

– No, może kameleony – mruknął zbity z tropu. Poczucie humoru nie było chyba jego najmocniejszą stroną. – Chociaż, prawdę mówiąc, nie słyszałem...

– Dziękujemy za piękny i interesujący wykład – Matylda skorzystała z chwilowej przerwy w przemowie szewca – ale szukamy wygodnych bucików na płaskim obcasie, takich na wycieczki w góry. I jednocześnie na podróż.

– Naprawdę w góry to się zabiera profesjonalny sprzęt – odzywał szybko rezon mężczyzna – a panienka ma pewnie na myśli wycieczki w góry, tak?

– No, tak...

– A, to robi dużą różnicę. Do ubioru sportowo-podróżnego żadne płaskie obcasy. Teraz nosi się buciki na słupku.

Matylda nie miała wyjścia, musiała kupić wygodne pantofelki na słupku oraz – jednak się uparła – drugie, na płaskim obcasie.

Wyszły stamtąd pospiesznie, w obawie, że szewc zacznie opowiadać też o modzie panującej w Mediolanie, bo niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że i tam niedawno bawił.

ROZDZIAŁ 17

Nadszedł dzień wyjazdu do Zakopanego.

Od samego rana z wrażenia Matyldę bolał brzuch. Już dawno nigdzie nie wyjeżdżała, a jeśli, to tylko z rodzicami na wakacje. Ten wyjazd był jednak zupełnie inny. Miał stać się początkiem zmian w jej życiu.

Oby tylko na dobre, modliła się w duchu.

Nie zdążyła się pożegnać z Julkiem, który ostatnio rzadko się pojawiał w kamienicy przy Grodzkiej. Przygotowywał się do egzaminów, nie miał więc czasu na spotkania i pogawędki. Poza tym podejrzewała, że chyba się zakochał. Ostatnimi czasy stał się bardziej milczący, myślami zdawał się przebywać zupełnie gdzie indziej. Ale z pewnością w jakimś miłym towarzystwie, sądząc po rozmarzonym wyrazie jego twarzy.

Matylda cieszyła się, że jej ukochany brat też znalazł swoje szczęście. Zbyt była zajęta sobą, żeby go teraz wypytywać, a do tego podejrzewała, że nauczony przykrym doświadczeniem obawiał się jej ingerencji. Nie chciała już się wtrącać w jego życie, miała tylko nadzieję, że tym razem jest to jakaś piękna i mądra studentka.

O wyjeździe wiedziały więc tylko babcia Michalska i Mela. Ta pierwsza miała mnóstwo obaw, czego można się było spodziewać, druga natomiast podskakiwała z radości, jakby to ona zamierzała wyjechać z ukochanym i spodziewała się oświadczyn.

– Ależ się cieszę, Mati! – wołała, okręcając przyjaciółkę wokół siebie. – Musisz mi potem wszystko dokładnie opowiedzieć. Ze szczegółami, pamiętaj! A gdzie się zatrzymacie?

– Gdzieś w Zakopanem – roześmiała się Matylda. – Mam tylko nadzieję – dodała poważniejszym już tonem – że wcześniej coś zarezerwował, bo słyszałam, że w lecie trudno tam o wolne kwatery.

Wyjeżdżali wczesnym rankiem, żeby uniknąć największego upału.

Matylda zupełnie nie знаła się na samochodach, zauważyła jednak, że pod jej bramą pojawił

się wspaniały, nowy model mercedesa. Myny sąsiadów zerkających dyskretnie zza firanek sprawiły jej dziecięcą wręcz radość.

Dwuosobowy, lśniący czarnym lakierem mercedes stanowił też niecodzienny widok pośród wiejskich pól i lasów, gdzie spotykało się prawie wyłącznie drabiniaste wozy. Wyglądał, jakby przybył tutaj z zupełnie innego świata.

Michał miał na sobie kremowy pulower i jasne sztruksowe spodnie, był z gołą głową, słowem, wyglądał jak młody amerykański aktor, uśmiechnięty i odprężony. Prowadził spokojnie i pewnie, wyczuwało się, że jazda samochodem sprawia mu wielką przyjemność. Matylda natomiast z lekkim strachem, ale i zachwytem wyglądała przez odsuniętą szybę w oknie. Jeszcze nigdy nie jechała tak eleganckim samochodem. Ba, właściwie żadnym nie jechała, bo te kilka chwil, kiedy Michał odwiózł ją z zakupami do domu, przecież się nie liczyło. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej, no i samo auto też było inne. Przyjemny wiatr rozwiewał jej włosy i studził rozpalone z emocji policzki.

Babcia Helena przygotowała im cały koszyk jedzenia na drogę, chociaż Michał zapowiedział, że i tak będą się zatrzymywać na odpoczynek i posiłki.

– Po co macie wydawać pieniądze? – argumentowała zawsze praktyczna Michalska. – Macie tu swoje, przy najmniej nie strujecie się byle czym.

– Chyba wykarmimy pół Zakopanego! – śmiał się Michał, odbierając od niej prowiant. – Rączki za to całuję.

Babcia dość szybko przekonała się do przyszłego męża Matyldy, widać było, że zawojował ją bez reszty.

– Podoba mi się ten twój narzeczony – szepnęła Matyldzie na pożegnanie. – Tylko uważaj tam... no wiesz... – zaczerwieniła się nagle. Z trudnością przychodziła jej rozmowa na „te tematy”.

– Babciu – Matylda się roześmiała – a jeśli nawet? Przecież i tak mamy się pobrać. Ale nie martw się, będę się zachowywać, jak należy.

Cokolwiek to miałyby znaczyć, dodała w myślach. Była naprawdę w szampańskim nastroju i nic nie mogło go popsuć.

Z zachwytem oglądała przesuwane się za oknem widoki. Mijali pomalowane na niebiesko chaty, które odcinały się żywo od otaczającej je zieleni. Architektura powoli robiła się coraz bardziej góralska. Dominowały drewniane domostwa, budowane na zrąb, o dwuspadowych, krytych gontem dachach, otoczone jodłami i sosnami.

W świetle padającego ukośnie słońca lśniły białe ściany kościółków, z oddali dobiegał ledwie słyszalny dźwięk dzwonów. Przed Jordanowem musieli trochę zwolnić, bo na drodze zaczęły się pojawiać sznury furmanek wyładowanych drewnem z podgórszych okolic. Matylda z przyjemnością wdychała żywiczny zapach bali, ułożonych na wozach.

– Gdzie oni to wiozą? – spytała.

– Myślę, że gdzieś do tartaków – odpowiedział Michał, nie odrywając wzroku od drogi. – Część pójdzie na budowę domów, część na deski, a to, co niepotrzebne, na opał.

Cieszył go dobry nastrój Matyldy. Wyglądała jak mała dziewczynka i wzruszał go ten widok

Na drodze pojawiło się stadko krów popędzane przez bosego i obdartego chłopca. Musieli się zatrzymać, bo zwierzęta majestatycznie i bez pośpiechu przechodziły na drugą stronę, a i dzieciakowi zależało na tym, żeby jak najdłużej popatrzeć na piękny, lśniący czarnym lakierem samochód.

Michał oderwał dłonie od kierownicy i przeciągnął się z przyjemnością.

– Chwila przerwy, można palić.

Ale Matylda zupełnie nie miała ochoty na papierosa. Powietrze było zbyt świeże i pachnące, żeby je psuć zapachem dymu.

– Jak to dobrze, że nie urodziłam się na wsi. – Spojrzała ze współczuciem na malca, który już wręcz przystanął z otwartą buzią na środku drogi. – Te biedne dzieciaki muszą pracować od najmłodszych lat, nie to, co w mieście.

– Czy ja wiem, czy takie biedne? – Michał zrobił sceptyczną minę. – Ten tutaj nie wygląda na nieszczęśliwego, popatrz sama. Nie wie, że istnieje gdzieś inne życie, więc dla niego wszystko jest, jakbyć powinno. To jego świat.

Matylda sięgnęła za siebie do koszyka i wyjęła tabliczkę czekolady.

– Ej, mały! – zawołała, wychylając się z samochodu. – Podejź no tu tylko.

Chłopiec podszedł niepewnie, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Pewnie oberwie zaraz po larku od tej miastowej pani za to, że zablokował przejazd krowami. Ale co on na to może poradzić, że gadzina tak ślamazarnie się porusza.

– Masz czekoladę i pogoń te swoje krowy, bo nie będziemy tu czekać przez pół dnia.

Dzieciakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwytał czekoladę w jedną rękę, a drugą, uzbrojoną w krótki kijek, pogonił zwierzęta tak, że aż zaczęły podskakiwać w miejscu i wpadały jedno na drugie. Po chwili droga była wolna.

– Muszę ci się teraz czyms pochwalić. – Michał uśmiechnął się tajemniczo.

Matylda spojrzała na niego pytająco.

– Pamiętaj, mówiłem kiedyś, że nie tylko interesuję się teatrem, ale i sam coś piszę. Do tej pory było to pisanie do szuflady, jednak kilka miesięcy temu skończyłem swoją sztukę i zaniósłem ją dyrektorowi pewnego teatru.

– No i?

– No i z początku nic. Przez trzy miesiące nie było żadnego odzewu.

– Ale przy pomniłeś się, mam nadzieję?

– No tak. Choć nie poszedłem tam osobiście. Za bardzo się wstydziałem. Zatelefonowałem.

– Cała zamieniam się w słuch.

Michał odchrząknął.

– Okazało się, że dyrektor zapomniał przeczytać. Ale było mu chyba trochę głupio, bo obiecał, że zerknie na tekst jeszcze tego samego dnia wieczorem. No to zatelefonowałem nazajutrz.

– I wtedy powiedział, że jesteś geniuszem!

– Prawie. – Twarz mu się rozjaśniła. – Powiedział, że sztuka, mimo wielu wad, wydaje mu się interesująca.

– Wystawi ją?

– Poczekaj. Na razie jest wstępnie zainteresowany. Muszę przerobić drugi akt i wyrzucić pewną postać. To trochę skomplikowane, zważywszy na to, że są tylko dwa akty i w sumie tylko

pięć postaci, w tym jedna martwa, ale i tak jestem dobrej myśli. Kiedy to poprawię, będziemy, jak powiedział dyrektor, myśleć, szanowny panie autorze, o wystawieniu sztuki.

– Brawo! Tobie to wszystko się w żyć ci udaje! Aż mam ochotę cię uściskać!

– Ale chyba nie teraz! – Michał udał, że jest przerażony. – Moglibyśmy spowodować wypadek zobacz, ile tu drzew przy drodze.

Pocałowała go w policzek

– Nie omieszkałam jednak odebrać wszelkich dowodów uznania oraz gratulacji, jak tylko zajedziemy na miejsce – zaznaczył, odwracając ku niej roześmianą twarz. – Przyznam, że nie mogę się już doczekać.

– Patrz na drogę, głuptasie – powiedziała.

Zaczerwieniła się jak pensjonarka. Wiedziała, co Michał miał na myśli, i sama też nie mogła się doczekać tej chwili.

– O czym jest ta twoja sztuka? – spytała, by odegnać niesforne myśli. – O miłości?

– Jak by to powiedzieć... To taka współczesna komedia, której akcja rozgrywa się w górskim pensjonacie. Bardzo skromnie. Pewnie dlatego dyrektor może w tę sztukę zainwestować, bo naprawdę nie potrzeba na nią wielkich pieniędzy. Można by to zagrać nawet u mnie w mieszkaniu. Dawniej chciałem pisać epickie dramaty w stylu szekspirowskim, gdzie występują całe tłumy ludzi i duchów, ale wychodziło mi to strasznie pretensjonalnie.

– Mówili do rymu? – zaśmiała się.

– Niestety, cały czas i bez ustanku. Na szczęście zrozumiałem, że Szekspira nigdy nie prześcignę.

– Szkoda. To mój ulubiony autor – powiedziała Matylda. – Chciałabym kiedyś zagrać Julię albo Ofelię.

– Mój też. Szekspir i Ibsen są dla mnie bogami – zamilkł, jakby zawstydzony.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, jaki jest tytuł tej twojej skromnej komedii.

– Nad wyraz skromny, po prostu *Spotkanie*. Nie ma co się wysilać, bo wszystkie tytuły – i te dobre, i te złe – zostały już dawno wymyślone.

Zatrzymali się na krótki odpoczynek przed Nowym Targiem. Michał zjechał w wąską polną drogę, skąd rozciągał się widok na leżące poniżej szerokie łąki z pasącymi się owcami. Na horyzoncie od dłuższego już czasu jaśniały ośnieżone szczyty Tatr. Teraz lśniły w słońcu, zachwycając swym pięknem.

Michał wyjął z samochodu pled i rozłożył go na trawie.

– Zapraszam do stołu. – Udał, że nisko kłania się Matyldzie, zamiatając ziemię wyimaginowanym kapeluszem. – Wyjmiemy teraz wszystkie smakołyki twojej babci i zjemy coś przed dalszą podróżą. Przyznam, że trochę już zgłodniałem.

Matylda też była już głodna, poza tym chciało jej się siusiu, a nie bardzo wiedziała, jak ma to powiedzieć. Przy Julku nigdy aż tak się nie krępowała, ale Michał to co innego...

On jednak i to przewidział.

– A gdybyś chciała wcześniej przypudrować nosek, tam są całkiem przyjemne krzaczkę. Ja też się będę pudrował, ale damy pierwsze, proszę.

Pasące się na niewiarygodnie zielonej trawie owce pobrzękiwały dzwoneczkami, słońce przygrzewało, jedzenie było pyszne, widoki i towarzystwo wspaniałe. Matylda miała wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Na samą myśl, że może być jeszcze piękniej, czuła lzy pod powiekami.

– Koniec przerwy. – Michał klasnął w dłonie, przerywając ten błogi nastrój. – Też siedziałym tu aż do wieczora, ale musimy już się zbierać. Nie do końca jestem pewien, czy znajdziemy jakąś kwaterę, więc musimy mieć czas na szukanie.

– Myślałam, że zarezerwowałeś coś wcześniej...

– Niby tak poprosiłem o to znajomego, który jechał do Zakopanego w zeszłym tygodniu, ale ponieważ nie widziałem się z nim od tamtego czasu, nie wiem, czy mu się udało. O tej porze zwykle bywa tam tłok.

– A jeśli nic się nie znajdzie? – Matylda była zaniepokojona. Nie zniósłaby teraz myśli o powrocie do domu.

– Nie martw się, kochanie, choćbyśmy mieli nocować w jaskini, nie zrezygnuję z tych kilku dni z tobą.

Przez resztę drogi rozmawiali na temat wyjazdu do Berlina i jej przyszłej kariery filmowej.

– Obiecałem ci to, wiem – westchnął – ale przyznam, że wolałbym, żebyś tam pojechała jako moja żona, a nie przyszła gwiazda filmowa. Stracę cię w momencie, gdy tylko stryj zajmie się tobą. Zaczną się wyjazdy, próby, godziny na planie filmowym, spotkania i tym podobne rzeczy.

Zamilkł, wpatrując się ponuro w drogę przed sobą.

– Zresztą nie myślm teraz o tym. Najpierw i tak muszę cię przedstawić. A nuż mu się nie spodobaś... – Zaśmiał się z własnego żartu, spoglądając z ukosa na Matyldę. Nie był pewien, czy i ją to rozbawi, ale na szczęście miała poczucie humoru.

– Zatem musisz sprawić, żebym zaczęła się jąkać, ślinić i robić zęza przed twoim stryjem, chociaż wuj daje mi się, że bardzo ci zależy na jego opinii.

– Zgadza się, bo po śmierci rodziców jest moim jedynym żyjącym krewnym.

– To smutne... Ile miałeś lat, kiedy umarli?

– Mama bardzo wcześnie, a ojciec, jak skończyłem dwanaście. To on nauczył mnie kochać góry, przyjeżdżaliśmy do Zakopanego co roku, odłąd pamiętam. – Zamilkł na chwilę, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów. – Ojciec zmarł nagle, na atak serca. – Pokręcił głową, jakby chciał odgonić przykre wspomnienia. – Stryj był jego starszym bratem, zajął się mną i majątkiem rodziców do czasu mojej pełnoletności. Teraz jestem jego współnikiem, ale to głównie on prowadzi interesy, ja tylko pomagam.

– Dobrze się dogadujecie?

– Masz na myśli, czy się lubimy? Cóż, stryj jest bardzo wymagający i surowy. Kiedy tylko to było możliwe, wysłał mnie do szkoły z internatem, a potem na studia do Krakowa. Niewiele spędzaliśmy czasu ze sobą jako rodzina, ale troszczył się o mnie. Teraz, kiedy już jestem dorosły i przydatny w jego interesach, chyba bardziej mnie lubi. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. A co z twoimi rodzicami?

– Moi zmarli kilka lat temu, jednocześnie. Najpierw mama, po tragicznym wypadku, a kilka minut po niej mój przybrany tatko. Kochał ją tak bardzo, że serce nie wytrzymało.

– Historia miłości jak z filmu. Smutna, ale i piękna zarazem. A co z twoim rodzonym ojcem,

on też zmarł?

– Nie wiem, ale chyba nie. Zresztą nawet nie miałam jeszcze okazji poznać jaśnie pana hrabiego, bo to potomek jakiejś francuskiej arystokracji.

– Hrabianka? Fiu, fiu... co mnie tutaj, szaraczkowi...

– Przestań! – fuknęła rozzłoszczona. – Tylko przy padek sprawił, że ten człowiek został moim ojcem.

– Nie miałaś okazji go poznać czy nie chciałaś?

– I jedno, i drugie. Wybierałam się do Francji po śmierci rodziców, ale musiałam się zająć chorą babcią, a potem się okazało, że on i tak nie miał ochoty mnie widzieć, więc jakoś się to w końcu rozmyło.

Przez resztę drogi Matylda opowiedziała mu o swoim pochodzeniu, a później o okolicznościach śmierci matki.

– Do dziś mam wyrzuty sumienia, że gdyby nie wybrała się wtedy na przedstawienie, mogłaby żyć nadal. Ona i mój tatko również.

Przed nimi pojawiły się już pierwsze zabudowania Zakopanego. Podróż dobiegała końca.

ROZDZIAŁ 18

Niestety, okazało się, że w pensjonacie, do którego zajechali, nie ma już miejsca. Właściciel znalazł im pokój u swojego syna, na brzyzku, czyli pagórku, pod lasem i zaproponował, że zawiezie ich tam bryczką. Poradził, żeby zostawić samochód tu, na dole. Do domu syna trzeba było jechać pod górę, po kamienistej drodze i „ceprowski automobil”, jak go określił gospodarz, nie dałby rady.

Matylda przycupnęła na wąskim zydlu, czekając w napięciu, co dalej. Cały czas bała się, że ich pobyt w Zakopanem okaże się niemożliwy i będą musieli wracać do Krakowa jeszcze tego samego dnia.

Gazda poszedł zaprzęgać konie do bryczki, a gaździna, widząc siedzącą pod ścianą dziwczynę, przyniosła krzesło z oparciem i przetała je fartuchem.

– Niekie se tu siednom. Stołek je, widzicie, nieopieracny, to im źle przecie.

Tymczasem gazda zdążył już zaprząć konie do bryczki i wrócił po swoich gości. Matylda podziękowała gospodyni i wciąż jeszcze niepewna, ruszyła do samochodu po swoje rzeczy. Okazało się jednak, że wszystkie bagaże zostały już przeniesione do bryczki i można było ruszać.

Przez całą drogę Matylda zaciskała palce z obawy, że konie nie dadzą rady i pojazd stoczy się z góry w jakąś przepaść, chociaż żadnej dotąd nie zauważyła. Ale skąd wiadomo, czy nie kryła się w któryś z wąwozów wśród drzew?

Po półgodzinnej jeździe dotarli jednak szczęśliwie na miejsce. Uroczy domek z drewnianą werandą stał tuż pod lasem, rozciągał się stąd przepiękny widok na góry. Matylda aż westchnęła z zachwyty.

– No i jak? – Michał ścisnął jej dłoń z porozumiewawczym uśmiechem. – Zadowolona? Skinęła tylko głową, jak dziecko, które zaniemówiło z nadmiaru wrażeń.

Gospodyni, młoda, uśmiechnięta góralka z grubymi warkoczami upiętymi w koronę, zaprowadziła ich do pokoju z pięknym widokiem na oświetlone słońcem szczyty. W dole, za

szeroką łąką przeciętą strumykiem, rósł gęsty świerkowy las.

– Bedzie tu panience wygodnie i dobrze w ty izbie – zapewniła, błyskając białymi zębami, i dyskretnie wyszła, zostawiając młodych samych.

Stojąc w drzwiach, przypomniała jeszcze, że na posiłki mogą przychodzić do kuchni, kiedy tylko będą mieli ochotę i poczną głód. Mają się czuć jak u siebie w domu.

Pokój był mały, ale przytulny. Pod oknem stały piękne, zielone, malowane w czerwone i białe kwiaty skrzyńce, pod ścianą misternie wycinany kredens, na środku okrągły stół z szeroko rozstawionymi nogami, ściany zawieszane były obrazami świętych.

Matylda zerknęła na stojące pod drugą ścianą szerokie łóżko z bukowego drzewa.

Jedno łóżko, pomyślała, czując ucisk w dołku, a więc już przesądzone. To ma się stać tu i teraz.

Ale Michał zauważył jej spojrzenie i szybko wyprowadził ją z błędu.

– Tu będziesz spała tylko ty, kochanie. Bez obawy. Ja poprosiłem o wygodną kwatere na „naizbiu”, jak ją tu nazywają, czyli na strychu z pięknie pachnącym siankiem.

– Ach, tak? – Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy też zawód.

– Tak. Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem i chociaż gospodarzy nie powinno to obchodzić, muszę dbać o dobre imię mojej przyszłej żony. – Z uśmiechem przytulił ją i pocałował namiętnie w usta.

Matylda poczuła, jak miękną jej kolana. Ogarnęło ją uczucie takiej błogości, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała. Gdyby Michał jej nie podtrzymał, z pewnością osunęłaby się na podłogę. Cofnął się lekko, żeby spojrzeć na nią z bliska. Zauważył to, co chciał zobaczyć, i oczy pociemniały mu z namiętności.

– Ale Bóg mi świadkiem – dodał zmienionym głosem – że przychodzi mi to z coraz większą trudnością.

Zjedli obiad i wyszli na krótki spacer. Było już późne popołudnie i robiło się trochę chłodno. Tu, w górach, powietrze było znacznie ostrzejsze niż na dole, w Zakopanem. Matylda owinęła się w gruby sweter z owczej wełny, pożyczony przez życzliwą gaźdżinę, która wiedziała z doświadczenia, że cepry najczęściej przyjeżdżają w góry źle przygotowane.

Wdychali żywiczny zapach lasu i po krótkim czasie poczuli zmęczenie. Przysiedli na zwalonym, porośniętym mchem pniu.

– I jak? – dopytywał co chwilę Michał. – Podoba ci się tutaj?

– Bardzo. To zupełnie inny świat. O, popatrz! – Podekscytowana Matylda ścisnęła go mocno za rękę, starając się nie robić hałasu.

Na niewielkiej łące, poniżej, pasła się sarna, podnosząc co chwilę głowę na długiej szyi i wietrząc ostrożnie. Siedzieli pod wiatr, więc jeszcze ich nie poczuła.

– Nie widzi nas? To niemożliwe, przecież powinna – spytała szeptem.

– Sarny mają bardzo słaby wzrok, ale dobry węch i słuch. Zaraz... O, już nas usłyszała.

Rzeczywiście, sarna zerwała się nagle, w długich niezgrabnych podskokach popędziła w stronę drzew i po chwili zniknęła.

Ruszyli powoli z powrotem, oszołomieni górskim powietrzem. Matylda z trudem tłumiała ziewanie. Nawet nie potrafiła już się zachwycić łąką usianą bratkami, rumiankiem i jaskrami. Na chwilę tylko przystanęła przed kołyszącymi się na cieniutkiej gałązce ciemnobłękitnymi kwiatkami, usiłując bez powodzenia przypomnieć sobie ich nazwę. Niestety, nic jej nie

przychodziło do głowy. Płynący obok strumień spadał z szumem w dół, odbijając ostatnie promienie zachodzącego już słońca. Robiło się coraz chłodniej.

Nawet nie pamiętała, kiedy i jak znalazła się w łóżku. W momencie gdy tylko przyłożyła głowę do pachnącej świeżością poduszki, natychmiast zapadła w wypełniony pięknymi obrazami sen. Rano nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tak mocno przespała całą noc, nie budząc się ani razu. Nic nie przerywało jej snu, żadne stukanie końskich kopyt za oknem, żaden warkot przejeżdżającego samochodu ani nawoływanie gazeciarza.

Właściwie to obudziła ją w końcu owa niezwykła cisza. Matylda wstała, zarzuciła coś na siebie i najpierw pobiegła do wygodki na końcu korytarza, za kuchnię. Wczoraj wieczorem bała się, że będzie musiała wychodzić gdzieś na zewnątrz, na szczęście młody gospodarz był bardziej postępowy niż jego rodzice. Tam Matylda widziała drewniany ustęp za domem. Kiedy wróciła do pokoju i wyjrzała przez okno, poczuła zawód. Oprócz gałęzi ogromnej choiny rosnącej tuż obok domu niczego nie było widać. Gęsta mgła przesłaniała wszystko i aż trudno było uwierzyć, że jeszcze wczoraj widzieli stąd łąkę, las i góry.

Gospodyni zapukała do drzwi, pytając, czy Matylda chce ciepłą wodę do mycia, i usłyszawszy potwierdzenie, weszła ze sporym dzbankiem niemalże wrzątku. Za zasłonką, w rogu pokoju, stała miska i drugi dzban, z zimną wodą, czego Matylda wczoraj nawet nie zauważyła. Ze wstydem uświadomiła sobie, że poszła spać tak jak stała.

Młoda gaździna uspokoiła ją jednak, że to normalne pierwszego dnia i nie ma się czym przejmować. Za dużo świeżego powietrza, stwierdziła. Zanim wyszła, zapewniła jeszcze dziewczynę, że mają dużo szczęścia, bo pogoda „będzie piękna dzisiaj”. A jeszcze kilka dni temu ponoć nieustannie padało.

Po wyjściu gaździny Matylda z niedowierzaniem zerknęła jeszcze raz przez szybę. Przecież jak nic zapowiadało się na deszcz.

Nagle odniosła wrażenie, jakby gęsty biały obłok lekko się podniósł, odsłaniając kolejne partie obrazu za oknem. Powoli zaczął się wyłaniać najpierw płot, za nim ukwiecona łąka, strumień pieniący się na kamieniach, kilka chat i ciemna ściana lasu. Wszystko to działo się tak, jakby z wolna podnoszono kurtynę. Na zakończenie tego widowiska ukazały się pasma gór z ośnieżonymi szczytami na tle błękitnego nieba, tylko czekające na oklaski zachwyconej widowni.

Wyspany i odświeżony Michał w doskonałym humorze zszedł do kuchni na śniadanie i natchmiast rzucił się na przygotowane jedzenie.

– Matysiu – musnął dziewczynę pieszczotliwie dłonią po policzku – zaraz po śniadaniu zjedziemy do Zakopanego. Muszę się tam z kimś spotkać.

Matylda kiwnęła tylko głową na znak zgody, ale poczuła zawód i złość. Miała nadzieję, że ten czas spędzą tylko we dwoje, a tu okazuje się, że to jego kolejny wyjazd w interesach.

– Mam się spotkać z przewodnikiem, który zabierze nas jutro na wycieczkę w góry – dokończył, nieświadomy chwilowej zmiany nastroju Matyldy. Zbyt był zajęty swoim talerzem, gdzie jeszcze przed chwilą piętrzyła się góra jajecznic na bekonie.

Matylda rozpromieniła się natychmiast. A jednak to miał być naprawdę ich wyjazd, tylko ich. Postanowiła mieć więcej zaufania do swojego narzeczonego. Przyszłego narzeczonego, podkreśliła w myślach. Jeszcze się przecież nie oświadczył.

Droga do Zakopanego zajęła im znacznie więcej czasu niż wczoraj, gdy jechali bryczką pod górę. Szli, upajając się ciszą, przerywaną tylko śpiewem ptaków.

Im bliżej było do miasteczka, tym więcej mijało ich ludzi. Wymieniali pozdrowienia z obcymi wędrowcami w mocnych butach i z długimi kosturami w dłoniach, którzy podążali w góry. Szli grupkami albo parami, rzadko ktoś wybierał się samotnie. To było zbyt ryzykowne, nawet w niższych partiach i na pozornie bezpiecznych szlakach.

W samym centrum był niemal tłok. Ludzie przechadzali się po Krupówkach, zaglądali do sklepów, kupowali miejscowe wyroby na straganach, robili sobie zdjęcia z wypchany niedźwiedziem.

– Patrz, jakie cudne kuleczki! – Matylda zachwycała się puszystymi szczeniakami owczarka podhalańskiego, kłębiący mi się w tekturowym pudle. – Szkoda, że nie mogę jednego z nich zabrać do Krakowa.

Włożyła do środka dłoń, która natychmiast została dokładnie wylizana, a jeden z maluchów usiłował ją nawet ugryźć ostrymi zębami.

– Teraz są słodkie, a potem wyrastają z nich ogromne psiska, wielkości średniego cielaka – zaśmiał się Michał, odciągając ją od piszczących maluchów. – Chyba nie myślałaś o tym poważnie? Nie nadają się do miasta. Poza tym mamy przecież inne plany, chyba nie zapomniałaś?

– No tak – Matylda niemal westchnęła.

Zbliżający się wyjazd do Berlina cieszył ją, ale jednocześnie nieco przerażał. Mimo swojego zdecydowanego charakteru i odwagi czuła lęk przed nieznanym.

Spotkanie z małym ównym przewodnikiem było krótkie, rzeczowe. Miał po nich przyjść nazajutrz z samego rana. Matylda zauważyła tylko, że obaj mężczyźni dawali sobie jakieś ukradkowe znaki i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Co to za tajemnice? – nie wytrzymała, kiedy tamten już poszedł.

– Jakże? Gdzie? – Michał udawał, że nie rozumie pytania, lecz kiedy zaczęła naciskać, położył palec na ustach i zrobił tajemniczą minę.

– Ciii... to niespodzianka.

Rzuciła mu krzywe spojrzenie, jednak nie wypytywała już dłużej. Postanowiła poczekać na tę niespodziankę, mając nadzieję, że będzie miła.

Obiad, jak to wcześniej zapowiedział Michał gaźdlinie, zjedli w restauracji.

– Poznajesz tego pana? – Dyskretnie wskazał oczami przystojnego mężczyznę, siedzącego nieopodal.

– Niemożliwe... – Matylda spojrzała w tamtą stronę i z niedowierzaniem przeniosła wzrok na Michała. – Czyżby to był?...

– Tak, to Kiepura we własnej osobie.

– I nikt go nie zaczepia? Nie prosi o autograf ani żeby zaśpiewał?

– Jak by ci powiedzieć... Chyba nie jest tu zbyt lubiany za swoje ostatnie wypowiedzi na temat rodaków i większej popularności naszych artystów za granicą niż w Polsce.

Rzeczywiście, tylko ten i ów spojrzął z zainteresowaniem na stronę słynnego tenora, jacyś ludzie trącili się porozumiewawczo łokciami i tyle. Siedzące w lokalu panie chętnie podeszłyby do stolika artysty, jednak towarzyszący im panowie wyraźnie studzili te zapęły.

Po obiedzie Michał zabrał Matyldę na Gubałówkę, na krótką zaprawę przed wycieczką, czekającą ich następnego dnia. Szli łatwą trasą, powoli, odpoczywając po drodze na trawie i zachwycając się widokiem Tatr. Dziewczyna z przyjemnością wystawiała twarz do słońca.

– Proszę o piękny uśmiech! – Michał ustawił się przed nią z aparatem fotograficznym w dłoniach.

Matylda zrobiła śmieszny minę, a potem groźną, w końcu nie wytrzymała i roześmiała się w głos.

– Pięknie – pochwalił Michał. – A teraz i ja poproszę.

Oddał jej aparat i ustawił się w wystudiowanej pozie aktora dramatycznego.

– Przestań mnie rozśmieszać, bo mi się ręka trzęsie i zdjęcie wyjdzie niewyraźne.

Kiedy schodzili, zachód malował już szczyty gór na różowo.

ROZDZIAŁ 19

Ruszyli z samego rana odpowiednio ubrani i zaopatrzeni w prowiant. W górach mogli liczyć tylko na to, co ze sobą zabrali, więc gaździna przygotowała im wszystko, co powinni mieć. Wzięli też koce, grube kurtki i płaszcze przeciwdeszczowe, na wypadek gdyby zaskoczyła ich zła pogoda.

Matylda, za namową Michała, włożyła kilka warstw odzieży, tak żeby mogła coś zdjąć po drodze. Zamiast spodni, których, niestety, krawcowa nie zdążyła jej uszyć przed wyjazdem, miała na sobie wygodną spódnice. Oprócz zwykłych butów na płaskim obcasie kupiła jeszcze przed wyjazdem drugie, na grubym spodzie, przeznaczone na piesze wycieczki. Bardzo je sobie teraz chwaliła, stąpając po usianych ostrymi kamykami ścieżkach. Na głowę włożyła słomkowy kapelusik mający ją chronić od słońca.

Wyruszyli w kierunku Doliny Kościeliskiej. Zaspana z wysiłku, ale szczęśliwa Matylda podziwiała rozciągające się po obu stronach drogi piękne zielone łąki, świerkowe lasy i wyębiska pokryte świeżą zielenią. Przy stawała przed każdym niemal kwiatkiem, każdą nieznaną jej roślinką, aż Michał musiał ją w końcu ponaglić.

– Pospiesz się, Mati, przewodnik obawia się, że zacznie padać i możemy nie zdążyć wrócić przed deszczem.

– Deszcz? – zdziwiła się, spoglądając na niebieskie, czyste niebo.

– Tak, podobno Babia Góra w czepcu – Michał powtórzył słowa przewodnika, pokazując ręką widoczne na zachodzie pasmo Beskidów ze szczytem otulonym mgłą.

Wydawało się wręcz nieprawdopodobne, żeby miało padać. Słońce przygrzewało już dosyć mocno, przewodnik szedł równym tempem, spokojnie i bez zmęczenia, ale oni oboje, a zwłaszcza nieprzyzwyczajona do intensywnego marszu Matylda, byli już trochę zmęczeni. Zrobiono krótki odpoczynek na łące, tuż przy bijącym z ziemi źródle, porośniętym dookoła zieloną rzeżuchą.

Spragniona Matylda już chciała zanurzyć w nim dłonie i napić się wody, ale przewodnik ją powstrzymał.

– Zęby panience ucierpną. – Zaśmiał się na widok jej zaskoczonych miny.

– No tak – wtrącił się Michał – zapomniałem cię uprzedzić, że to Lodowe Źródło i woda

w nim jest tak zimna, że nie dałabyś rady jej wypić. Lodowato zimna, jak nazwa wskazuje. Możemy nabrać trochę do manierki i jak się ogrzeje, wypijemy po drodze albo później zaparzemy na niej herbatę. A teraz ruszajmy dalej. Szkoda czasu.

Po godzinnym, niezbyt intensywnym marszu dotarli do schroniska, gdzie przy ogromnym drewnianym stole siedzieli już inni turyści. Byli tam na pewno Francuzi, Matylda natychmiast wyłowiła z gwaru znajomą mowę, a także Niemcy i Anglicy.

Z trudem znaleźli wolne miejsce i Michał zaczął wyjmować prowiant przygotowany im rano przez gaźdźnię. W przepastnym worku znalazł się chleb, bryndza, paszтет na zimno i wino. Herbata zaparzona na źródlanej wodzie smakowała zupełnie inaczej niż w mieście, na wodociągowej.

Do schroniska weszli kolejni wędrowcy, zrobił się tłok więc Matylda z Michałem postanowili nie zatrzymywać się tu dłużej. Zbrali swoje rzeczy i wyszli za przewodnikiem, który z coraz większym niepokojem spoglądał w niebo. Teraz i dla nich widoczne było, że deszcz wisi w powietrzu. Michał zaczął się naradzać na boku z górale, Matylda widziała jego zmartwioną minę.

– Matyś! – Podeszedł do dziewczyny. – Trzeba szybko podjąć decyzję i potrzebne mi też twoje zdanie.

– Musimy wracać? – domyśliła się z żalem.

– Tak, jeśli chcemy zdążyć przed deszczem, a może i burzą. Chyba że zostaniemy tu na noc. Jeśli się zgodzisz, przewodnik spyta o miejsce w schronisku.

Zgodziła się natychmiast. Za nic w świecie nie chciała teraz wracać, za bardzo podobała jej się ta wycieczka.

Okazało się jednak, że w schronisku wszystkie łóżka są już zajęte i możliwy był tylko nocleg w większej sali na podłodze, czyli na glebie.

Michał długo naradzał się z przewodnikiem, zanim znów podeszedł do Matyldy.

– Warunki będą spartańskie – przedstawił jej pokrótce sytuację. – Jest jednak jeszcze inna możliwość, tylko nie wiem...

Nie był pewien, czy ta delikatna dziewczyna z miasta zgodzi się na jego propozycję, miał jednak nadzieję, że tak. Przyszedł mu bowiem do głowy pewien pomysł i aż się uśmiechnął do własnych myśli.

Matylda spojrzała na niego z zacięciem.

– Ja też nie wiem, dopóki mi nie powiesz. No, słucham.

– Możemy przenocować w jaskini, skoro i tak mamy spać na gołej ziemi. Może nie będzie wygodniej, ale z całą pewnością ciekawiej. Musimy się jednak szybko decydować, bo burza jest coraz bliżej.

Rzeczywiście, za oknem widać już było wyraźnie zachmurzone niebo.

Matylda od początku brała pod uwagę ewentualność noclegu w takiej sytuacji, ale jaskinia? Czy w ogóle w jaskiniach można nocować?

– Zaskoczyłeś mnie... Ale w końcu czemu nie – dokończyła, zadziwiając samą siebie. – Jak przy goda, to przy goda. Chodźmy, bo inaczej nie zdążymy do jaskini, gdziekolwiek jest.

Michał spojrzał na nią z podziwem i dumą. Musiał przyznać, że Matylda mu zaimponowała.

Przewodnik wy pożyczył ze schroniska dodatkowe derki i szybko ruszyli w drogę.

Maszerowali pod górę po usypisku drobnych kamieni, pokrytych śliską warstwą próchnicy, dla bezpieczeństwa trzymając się blisko skalnej ściany. Z daleka słychać już było pomruki zbliżającej się burzy. W końcu weszli między pionowo sterczące skały, a kilkanaście metrów dalej ciemniało wejście do groty.

Matylda odetchnęła z ulgą, teraz dopiero zdała sobie sprawę, że przez całą tę niebezpieczną drogę karczowo zaciskała pięści. Z trudem rozprostowała pobielale i ścierpięte palce. Usłyszała trzask zapalnika i zobaczyła nikiły płomyk w dłoniach przewodnika, który wszedł do środka, osłaniając od przeciągu zapaloną świeczkę. Nie było go kilka minut, aż Matyldzie przemknęło przez myśl, że ich zostawił, ale po chwili pojawił się znowu w ciemnym otworze. Dał im znać, że wszystko w porządku i mogą spokojnie wejść.

– Co on tam sprawdzał? – spytała szeptem Matylda, idąc za Michałem.

– Nie wiem, może czy nie ma gdzieś w środku niedźwiedzia.

Włosy stanęły jej dęba ze strachu. O takiej ewentualności w ogóle nie pomyślała. Zatrzymała się w miejscu, ale Michał pociągnął ją delikatnie za sobą.

– Chodź, głuptasku. Przecież gdyby niedźwiedź tam był, toby go przewodnik zauważył.

– Zauważyłyby, mając tylko taką małą świeczkę? A tak w ogóle dlaczego nie zapalił pochodni?

– Bo dym z pochodni okopciłby białe ściany groty. Sama zobaczysz, jak tam pięknie.

Wsunęli się do środka przez wąski otwór, który rozszerzał się na końcu, ukazując ogromną jaskinię z licznymi przejściami do innych, mniejszych. Było zimno, ale nie aż tak, jak Matylda się spodziewała. Przez otwór przypominający okno wpadało cieplejsze powietrze z zewnątrz. Pod jedną ze ścian leżało pozostawione tam przez poprzednich turystów siano.

Małomówny przewodnik położył na nim grube derki dla swoich ceprów, a dla siebie przygotował nocleg w jednej z mniejszych komór i przeniósł się tam, życząc dobrego wypoczynku. Zaciekawiona Matylda ze świeczką w dłoni obeszła całą grootę, zaglądając przy tym do ciemnych zakamarków. Podziwiała z bliska ściany, pokryte białymi naciekami w kształcie kwiatów i arabesk.

Nawet nie zauważyła, kiedy Michał nagle zniknął jej z oczu. Z początku pomyślała, że pewnie wyszedł na zewnątrz, bo musiał, kiedy jednak jego nieobecność zaczęła się przedłużać, pojawił się strach.

Zniknął przewodnik, zniknął Michał i nagle została sama w zimnej i ciemnej jaskini. Nawet nie umiałaby trafić z powrotem do schroniska.

– Michał?... – zawołała cicho, jakby się bała, że od głośniejszego wołania zawał się ściany groty. Wyobrażała sobie lecące na głowę kamienie.

– Michałku?... – W głosie Matyldy pojawiła się nutka paniki.

Drgnęła, gdy za jej plecami rozległ się chrzęst drobnych kamyków. Odwróciła się gwałtownie i ku swojej ogromnej uldze zobaczyła stojącego obok Michała ze świeczką w dłoni.

– Jestem, jestem. Chodź, chciałbym ci coś pokazać – powiedział z tajemniczym uśmiechem.

Poszła za nim na sztywnych jeszcze ze strachu nogach.

Mała, niska pieczara oświetlona była blaskiem kilku świeczek otaczających okrągły kamień wielkości bochenka chleba. Na wierzchu znajdowało się coś małego, co zablęskotało nagle w chybliwym świetle, kiedy podeszli bliżej. Na kamieniu leżał pierścionek z ogromnym szafirem, najwięszym, jaki Matylda kiedykolwiek widziała. Przepiękny, ciemnoniebieski owalny kamień otoczony był drobnymi brylantami, rozpraszający mi światło w blasku świec.

– Matyldo, zostaniesz moją żoną? – usłyszała ze sobą ciepły głos.

Odwróciła się, w pierwszej chwili nie widząc nikogo. Opuściła wzrok i dopiero zrozumiała. Michał klęczał u jej stóp.

– Tak – odpowiedziała tak cicho, że musiał poprosić ją, żeby powtórzyła. – Tak, Michałku.

Pragnę tego najbardziej na świecie.

Wziął pierścionek z kamienia i włożył go na jej palec.

– Pasuje jak ulań – ucieszył się. – Bałem się, że będzie za mały albo za duży.

– Czy to miała być ta niespodzianka, o której rozmawiałeś z przewodnikiem w Zakopanem? – spytała Matylda łamiącym się z przejęcia głosem, przytulona z całym siłą do Michała.

– Tak – odparł zadowolony niczym mały chłopiec. – Tylko w pierwszej wersji mieliśmy to przygotować pod krzyżem przy wylocie Kościeliskiej. Przewodnik miał tam dojść pierwszy i położyć pierścionek na kamieniu. Zmiana planów z powodu burzy sprawiła, że wyszło to bardziej romantycznie. Kocham cię, mój ty rudzielcu.

– Ja ciebie też, Michałku.

Jeszcze długo w nocy, otuleni ciepłą derką na pachnącym sianie, zapewniali się nawzajem o wielkiej miłości i snuli plany na przyszłość. Michał opowiadał o planowanym ślubie w Berlinie, na co nastawał stryj, który chciał się zająć przygotowaniem całej uroczystości. Wymógł na bratanek zgodę na swoją propozycję. W prezencie ślubnym natomiast miał przekazać Michałowi całą firmę, a sam pozostać tylko cichym udziałowcem i doradcą. Najwyższy czas, jak stwierdził, by spędzić resztę życia na podróżach i innych przyjemnościach.

Przerywając co chwilę opowiadanie, Michał całował ją czule i gorąco, pozwalając sobie na coraz śmielsze pieszczoty, nie posuwał się jednak dalej. Może krępował się śpiącego w pobliżu przewodnika, a może chciał z tym najważniejszym poczekać do ślubu.

Matylda czuła bolesny niedosyt, ale była wdzięczna Michałowi. Wiedziała, że gdyby to tylko od niej zależało, nie miałaby żadnych oporów, i ta myśl trochę ją przerażała. Michał obudził w niej coś, z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Wypełniał ją taki żar, że nawet nie czuła chłodu jaskini.

Długo nie mogła usnąć, wsłuchując się w miarowy oddech narzeczonego. Na zewnątrz szalała burza. Poziomy, poszarpany otwór w skalnej ścianie co chwilę rozjaśniały błyskawice. Głuche grzmoty odbijały się echem od nagich skał, ulewny deszcz porywał z hałasem drobne kamyki u podnóża jaskini.

Matylda wtuliła się mocniej w ciepłe i bezpieczne objęcia Michała. Usnęła, kiedy burza zaczęła już cichnąć.

Ranek wstał świeży i pogodny, w powietrzu czuło się jeszcze wilgoć po nocnej ulewie. Matylda wyszła z jaskini wypoczęta i szczęśliwa, chociaż usnęła dopiero nad ranem. Wspomnienia poprzedniej nocy wciąż wywoływały uśmiech na jej twarzy.

Przewodnik rozpałił ognisko i wraz z Michałem przygotowywał teraz śniadanie. Podeszła do nich, przywitała się z góralek i przytuliła do Michała.

– Dobrze spałaś? – spytał, obejmując ją na powitanie.

– Cudownie – odparła. – To był najpiękniejszy wieczór i najpiękniejsza noc w moim życiu.

ROZDZIAŁ 20

Przepiękny pierścionek zaręczynowy z ogromnym szafirem wzbudzał zachwyt wszystkich. Matylda pokazywała go każdemu, kto tylko nawinął jej się pod rękę.

Mela wprost piała z zachwytu i musiała natychmiast przy mierzyć to чудо.

– Jakby ci kiedyś zginął – zażartowała – to będziesz wiedziała, gdzie go szukać. Cudeńko. Prawdziwe cudeńko.

Babcia Michalska natomiast dotykała go delikatnie, opuszkami palców, jakby się bała uszkodzić drogocenny klejnot. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknego kamienia, a o szafirach tylko słyszała w bajkach z dzieciństwa. Sama też miała piękny, zaręczynowy pierścionek, ale srebrny, z koralem w pięknej ażurowej oprawie.

Obiecała go Julkowi dla jego przyszłej narzeczonej. Filip był zakonnikiem, więc ani sam nie nosił biżuterii, ani nie należało się już spodziewać żadnej kobiety w jego życiu. Teraz, kiedy babcia Helena mieszkała w Krakowie, odwiedzała często syna i czasami, gdy nie zajmowała się Martą, pomagała przy chorych.

– A wiesz, Matysiu, że w szpitalu bonifratrów kilka lat temu zdarzył się cud? Filip mi opowiadał.

Matylda odłożyła na bok rolę, której właśnie się uczyła, i spojrzała na babcię lekko nieprzytomnym wzrokiem.

– Jaki cud? Gdzie?

– No mówię, że w szpitalu, gdzie Filip pełni posługę. Jest tam taki duży obraz, portret założy ciela ich zakonu, zapomniałam nazwiska.

– Jana Grandego? – Matylda przypomniała sobie portret i to nazwisko. Oglądała go, czekając na rozmowę z Filipem, a właściwie z bratem Pawłem.

– Chyba tak. Tak, Grandego, dobrze mówisz. Podobno pewnego dnia nieuleczalnie chora zakonnica modliła się przed tym obrazem i odzyskała zdrowie. Filip mówi, że nawet Watykan uznał ten cud. Bo to ponoć było tak..

Matylda nie bardzo wierzyła w cuda, ale żeby nie sprawić babci przykrości, wysłuchała

całej historii bez żadnego złośliwego komentarza.

– I tak sobie pomyślałam – dokończyła Michalska – że jak już ja tam tak często bywam, to mogłabym też pomodlić się od czasu do czasu o jakiś cud.

– A o jaki cud, babciu, masz zamiar się tam modlić? – spytała rozbawiona Matylda.

– A choćby o to, żebyś ty nie jechała do tego Berlina, na przykład. Wojny tylko czekać, niebezpiecznie się robi na świecie, a ty prosto w ogień. Boję się tego Hitlera, jemu tak jakoś źle z oczu patrzy. I ci wszyscy ludzie, którzy tak w niego ślepo wierzą, jak w Boga.

– Babciu...

– Nie babciu, tylko zastanów się nad tym poważnie. Joasia czytała mi ostatnio w gazecie, a zresztą i w radiu o tym mówią, że nawet młodzi chłopcy w jakimś Hitler coś tam...

– Hitlerjugend – odruchowo podpowiedziała Matylda.

– Zgadza się. No więc oni uważają, że władza w Niemczech została mu nadana od Boga, więc kto nie wierzy w Hitlera, to jakby i w Boga nie wierzył. A młodzi to przecież potęga, oni będą rządzić światem.

Może nie do końca tak to było napisane, Matylda też czytała gazety, ale babcia miała rację, w świecie zaczęło być niebezpiecznie. Michał starał się bagatelizować te pogłoski i przekonywał Matyldę, że żadnej wojny nie będzie, ludzie nie są aż tak głupi, żeby znów pchać się w jakieś konflikty.

Julek natomiast nie był aż tak optymistyczny.

– On ci wszystko wmówi, żebyś tylko z nim pojechała do tego Berlina – mruczał niechętnie. – Nie można bagatelizować tego, co się dookoła dzieje. Zobacz, choćby wojna domowa w Hiszpanii. Przecież to iskra, od której może się zapalić cały świat.

– Cały świat? – Matylda zachnęła się, zniecierpliwiona. – Teraz to chyba przesadzasz.

– Ani trochę. Rewolucja hiszpańska to już sprawa międzynarodowa. Powstańcy dostają broń, amunicję i samoloty z Włoch i Niemiec, z Francji również. Sądzi się więc, że jest to tylko wojna Hiszpanów?

– Ale Michał mówił...

– Ach, Michał! – Julek nie dał jej dokończyć. – Pewnie jeszcze mówił, że jakby coś, to cię obroni. Uważaj, żeby ten twój rycerz w srebrnej zbroi nie okazał się zwykłym blaszany młotem.

Matylda aż zerwała się na równe nogi z oburzenia. Podbiegła do Julka, ale zatrzymała ją babcia Michalska.

– Dzieci, na miłość boską! – jęknęła. – Znowu się kłócicie? Dorośnijcież w końcu.

– Babciu, on jest niemożliwy! Babcia słyszy, co wygaduje? Jak tak można?

– Maty siu, Julek ma trochę racji – zaczęła dyplomatycznie babcia Helena. – No i martwi się o ciebie, jak my wszyscy. A jest niebezpiecznie, coraz niebezpieczniej, i co będzie, jak rzeczywiście wybuchnie wojna? Ja sama tym Niemcom nie wierzę, oni tylko czekają, żeby się odegrać za tamtą wojnę. A ty akurat musisz jechać do Berlina, jakby u nas filmów nie kręcili.

Matylda nie miała już cierpliwości, aby wszystkim tłumaczyć swoją decyzję. Chciała wyjechać z Michałem, pragnęła spróbować swoich sił w europejskim Hollywood, jak nazywana była wytwórnia filmowa pod Berlinem. Czy to naprawdę aż takie przestępstwo? Nie należała jej się ta szansa? Była rozczulona.

– Dlaczego wszyscy wtrącają się w moje sprawy? – Usiadła z powrotem na krześle. – Całe

życie tak było. Cokolwiek zrobiłam, było źle. Zawsze ktoś wiedział lepiej, co powinnam zrobić. Mam tego dość. Wyjadę z Michałem, czy się to komu podoba, czy nie. Zresztą mamy zamiar pobrać się właśnie w Berlinie.

– Dlaczego właśnie tam? – Julek miał się już nie odzywać, ale nie wytrzymał.

– Bo tak! – krzyknęła rozzłoszczona i wyszła z pokoju.

Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, dlaczego nie w Krakowie, tylko w Berlinie. Tak zaplanował Michał, a ona miała do niego zaufanie.

Po jej wyjściu Julek ze złością sięgnął po leżącą na stole gazetę. Z szelestem przewracał strony.

– No proszę! – Uderzył dłonią w rozpostartą przed nim płachtę. – Jak byk wszędzie piszą, że niebezpieczeństwo zawieruchy wojennej wisi nad światem, a ona udaje, że o niczym nie wie. Byle tylko zagrać w jakimś marnym filmie.

Nachylił się, żeby przeczytać podpis pod makabryczną fotografią przedstawiającą pootwierane trumny, które leżały beładnie na stopniach jakiegoś kościoła. Podpis pod nią brzmiał:

„W Barcelonie, podczas krwawych walk, tłumy rozwydrzonych anarchistów zmałyły nawet spokój umarłych, wydobywając z podziemi kościelnych zmumifikowane zwłoki karmelitów i wyrzucając je na stopnie kościoła”.

– Szlag by ich wszystkich trafił! – Julek odsunął gwałtownie gazetę na brzeg stołu, aż zsunęła się z szelestem na podłogę.

Ostatnio wszystko go drażniło. Czuł się zmęczony po ostatniej sesji egzaminacyjnej. Ponadto dziewczyna, która zawróciła mu w głowie, nagle zaczęła udawać, że go nie zauważa. Nie wiedział, czy przestał jej się podobać, czy też było to celowe działanie mające na celu zwrócenie na siebie większej uwagi, ale złościły go takie gierki.

Jakież one są dziwne, pomyślał z westchnieniem. Albo bezkrytycznie wierzą każdemu, albo też drażnią się z człowiekiem jak kot z myszką. Kto tam za nimi trafi.

Matylda zamknęła się w swoim pokoju, żeby przemyśleć wszystko, co się ostatnio działo. Nie zaprzętała sobie głowy Julkiem, wiadomo było, że nadopiekuńczy brat, przyszły prawnik, musi być podejrzliwy.

Pewnie nawet czułaby się zawiedziona, gdyby jej nie odradzał wyjazdu. Świadczyłoby to tylko, że nie obchodzi go jej los, a przecież byli ze sobą bardzo zżyci od najmłodszych lat. Matylda pamiętała doskonale, jak mama przyprowadziła do domu wystraszonego chudego chłopczyka i oznajmiła:

– To jest Julek, twój przybrany braciszek. Masz go kochać i opiekować się nim jak rodzona siostra.

– Mój Lulek!

I odtąd zawsze tak było. Lulek stał się dla Matyldy najważniejszą osobą na świecie, nawet przed obiema babciami i mamą. Odpłacał jej tym samym, a teraz, kiedy oboje dorośli, czuł się jej opiekunem. Nie, to nie Julkiem i jego reakcją się martwiła. Dotarło do niej, że będzie musiała zostawić wszystko, co dotychczas znała, kochających i kochanych ludzi, ulubione miejsca, a nawet zwykłe domowe sprzęty, do których przez lata przywykła.

Stare krzesło mamy, rozchwierutane nieco, bo Wiktoria wiecznie się na nim bujała, ku utrapieniu babci Zuzanny. Piec, gdzie na rozgrzanej blasze przypiekała sobie wieczorami kromki chleba, żeby je potem chrupać z przyjemnością, pochłaniając przy tym kolejną książkę w swoim pokoju. I zegar, wiszący dawniej w pokoju babci, przedtem należący do mamy, a teraz do niej. Stary, w pięknej, fantazyjnie rzeźbionej skrzynce fornirowanej orzechem, z ogromnym wahadłem, którego ruch od zawsze hipnotyzował Matyldę. W dzieciństwie miała wrażenie, że to miarowe kołysanie się i głośne tykanie jest szyfrem, przekazującym jej historię tego domu. Pewnie niejedno widział i niejedno mógłby opowiedzieć.

Nagle zrobiło jej się smutno. Wprawdzie już wcześniej takie myśli przychodziły jej do głowy, ale się pocieszała, że przecież w każdej chwili może wsiąść do pociągu i przyjechać tu, choćby tylko na kilka dni. Lecz co robi, jeśli spełnią się najczarniejsze scenariusze i wojna jednak wybuchnie? Nie była aż tak naiwna ani głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy z zagrożenia. Też śledziła wiadomości w prasie, trwogą przepełniały ją informacje o kolejnym konflikcie, o walkach gdzieś tam, daleko, które mogły jednak w każdej chwili przenieść się bliżej, a nawet całkiem blisko. Co zrobi sama w obcym kraju, jeśli Michał, co nie daj Boże, pójdzie na tę wojnę? Czy będzie mogła bezpiecznie wrócić do swoich?

Do pokoju zajrzał ostrożnie Julek

– Mogę? – spytał nieśmiało, widząc skuloną na łóżku Matyldę.

Mruknęła coś, co wzięła za przyzwolenie, podszedł więc bliżej i usiadł obok niej.

– Przepraszam, Matyś, jeśli sprawiłem ci przykrość. Nie miałem takiego zamiaru, naprawdę.

Ja po prostu...

Matylda podniosła się z pościeli i wtuliła w niego mocno.

– Boję się, Lulku. Tak bardzo się boję.

Siedzieli tak długo, obejmując się wzajemnie. Matylda zwierzyła się Julkowi ze swoich lęków, on starał się ją pocieszać, chociaż sam podzielał jej obawy.

– Matysiu, to zawsze jest i będzie niewiadoma. Nie mam w zasadzie żadnych zastrzeżeń do Michała, widać, że kochacie się oboje i jemu naprawdę zależy na tobie, ale zawsze pozostaje jakiś cień niepewności. Nie podoba mi się, że on chce brać ślub tam, w Berlinie, a nie tutaj. Z drugiej zaś strony może tam odbędzie się to z większą pompą i oprawą godną przyszłej gwiazdy?

– Mam nadzieję, że nie mówisz tego z sarkazmem. – Matylda wydmuchała nos w podsuniętą jej uszennie chusteczkę.

– No, może tylko odrobinę... – Julek z uśmiechem przy mrużył oko.

– Pytałam go, dlaczego właśnie tam, ale powiedział, że to warunek stryja, który osobiście

chce się zająć ślubem, weselem i całą oprawą tej uroczystości.

– Michała nie stać, żeby sam za to zapłacił?

– Stać nas na skromny ślub. Michał jest dziennikarzem, ale nie na etacie, tylko jako wolny strzelec, jak mi wiadomo. Poza tym pracuje u stryja i pewnie jest od niego zależny finansowo. – Matylda znów wytarła nos. – Mówił mi, że po ślubie chciałby się usamodzielić, to znaczy zająć własną firmą.

– Która będzie prezentem ślubnym od stryja? – domyślił się Julek

– Tak Stryj ma zamiar przekazać mu swoje interesy i przejść na zasłużoną emeryturę. Sam rozumiesz, że w takiej sytuacji trzeba przystać na jego warunki.

– No to sprawa jasna. – Julek rozłożył ręce. – Jeśli od tego zależy wasza wspólna przyszłość, a zwłaszcza twoja, nie ma co dalej roztrząsać sprawy. Chyba lepiej go teraz rozumiem.

– A ty opowiedz mi wreszcie o tej tajemniczej nieznajomej, która zaprzęta twoje myśli. – Matylda usiadła wygodnie, w pozie oczekiwania.

– Domyślała się, czarownico? – Julek zmieszał się nieco. Nie przypuszczał, że można w nim czytać jak w otwartej księdze.

– Ślepy by nawet zauważył. – Machnęła ręką. – Opowiadaj.

– A o czym tu opowiadać. – Wzruszył ramionami. – Jest, a właściwie była taka jedna...

– Ładna? – niecierpliwie przerwała Matylda.

– Nawet bardzo. – Uśmiechnął się do własnych myśli. – I bardzo mądra, koleżanka ze studiów.

– Przyszła prawniczka?

– Tak

– To pewnie strasznie nudna.

– Przestań, bo ci przyłożę! Wcale nie nudna. Mądra, wesoła, z poczuciem humoru, ale...

– Ale?...

– Ale zaczęła mnie unikać, nie wiem czemu. Z daleka udaje, że mnie nie widzi, a kiedy już na nią wpadnę, nigdy nie ma czasu na spotkanie. Za to widuję ją rozmawiającą długo i radośnie z innymi kolegami z roku.

– A całowaliście się już, a może nawet...

– Chyba oszalałaś, jakie „może nawet”? Zaraz, zaraz... – Przyjrzał się jej uważnie. – A co z wami, było już jakieś „może nawet” w tym Zakopanem?

– No co ty. Chociaż przyznam, że trochę żałuję – zaśmiała się cicho – bo gdyby to tylko ode mnie zależało, to...

– Och, ty rozpustnico!

– Dobra, dobra. No to jak całowaliście się czy nie?

– Nie, nie całowaliśmy się jeszcze.

– No to co z nią robiłeś na tych randkach?

– Rozmawialiśmy o sztuce i literaturze, chodziliśmy na wystawy, do teatru. Byliśmy nawet w kinie na jakimś melodramacie, chociaż ja akurat w tego typu filmach nie gustuję.

– A podczas seansu wzięłeś ją za rękę?

Mina Julka wystarczyła za odpowiedź. Matylda udała, że ziewa.

– O matko, to nic dziwnego, że przestała się z tobą spotykać.

– Jak to? Nie rozumiem.

– W tym właśnie cały kłopot, że nie rozumiesz. Zanudziłeś tę pannę na śmierć. Jeśli ci nadal na niej zależy – nie dała sobie przerwać – zaprosz ją na jakiś film o miłości, potrzymaj za rękę, a po kinie zaprowadź gdzieś, gdzie będziesz mógł ją pocałować bez świadków. Potem już jakoś samo pójdzie.

– Jesteś zepsuta, moja siostró – zaśmiał się Julek – Ale może masz rację.

– Mam. Posłuchaj mnie jak najszybciej, może jeszcze nie wszystko stracone.

ROZDZIAŁ 21

Samochód mknął po równej drodze lekko i płynnie, jednostajny szum pneumatyków usypiał Matyldę, co chwilę zamykała powieki i zapadała w krótką drzemkę. Była śpiąca, bo wyjechali z Krakowa bardzo wcześnie, żeby dotrzeć do Warszawy jeszcze za dnia. Przyszedł wrzesień, dni już stawały się coraz krótsze.

Michał, w końcu ulegając naciskom stryja, postanowił przedstawić mu swoją narzeczoną. Planowali, że wyjadą do Berlina pod koniec miesiąca, zostało więc już niewiele czasu.

Stary Olbrycht zadzwonił kilka dni wcześniej.

– Muszę mieć pewność, że twoja wybranka jest ciębie godna – powiedział stanowczo, nie bawiąc się w dyplomację. – Poza tym chcę zobaczyć, czy nadaje się na przyszlą gwiazdę.

– Skąd stryj ma pewność, czy któraś z przedstawianych mu kandydatek zostanie w przyszłości gwiazdą?

– Mój drogi, naiwny brataniku. – Starszy pan Olbrycht westchnął z politowaniem, aż zaszumiało w słuchawce. – Nie wiesz, że z każdej aktorki można zrobić gwiazdę? Wystarczy tylko dobra reklama, pieniądze i wpływy. A ja, jak wiesz doskonale, dysponuję tym wszystkim. Masz ją tu przywieźć jak najszybciej.

Nie czekając na odpowiedź, zakończył rozmowę gwałtownym odłożeniem słuchawki na widełki. Michał nigdy nie odważył się zwrócić stryjowi uwagi, niemniej jednak drażniło go zawsze takie zachowanie.

Matyldzie powiedział tylko, że stryj chciałby ją wreszcie poznać i zaprasza oboje do siebie, do domu pod Warszawą. Złagodził ton otrzymanego rozkazu, ale obawiał się, że Matylda nie pojechałaby z nim, wiedząc, jak naprawdę wyglądało owo „zaproszenie”. Postanowił ograniczyć kontakty ze stryjem po swoim ślubie.

Kiedy zatrzymywali się w jakimś miasteczku po drodze, żeby coś zjeść, napić się i rozprostować kości, lśniące niklem i lakierem, choć nieco już zakurzone, auto wzbudzało nieodmiennie sensację wśród gapiów. Najnowszy model mercedesa wciąż jeszcze nie był zbyt często widywanym pojazdem na tych drogach.

Mimo wcześniejszych planów do Warszawy dotarli dopiero pod wieczór. Po drodze Michał musiał jeszcze zmieniać koło, co zajęło mu trochę czasu. Teraz był już zmęczony i marzył tylko o tym, żeby w końcu znaleźć się na miejscu. Musieli jeszcze tylko przejechać przez miasto, żeby dostać się za Wisłę, do Międzylesia.

W miarę upływu czasu ruch na ulicach stawał się coraz większy. Michał musiał się zatrzymać na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Chmielnej, żeby przepuścić długi szereg samochodów i dorożek, Matylda miała więc czas, żeby przyjrzeć się migoczącym neonom reklam. Wszytko wyglądało tu inaczej niż w Krakowie, ulice wydawały jej się szersze, bardziej przestronne i czyste.

– Gdzie oni tak wszyscy jadą? – spytała, spoglądając przez szybę.

– Pewnie tam, do kina. – Michał wskazał brodą budynek po drugiej stronie ulicy, gdzie na tle ciemniejącego już nieba błyszczały kolorowe światła i ogromny pulsujący napis: „Dziś premiera filmu *Trędownata*. W rolach głównych...”.

– Premiera *Trędownatej* – z żalem stwierdziła Matylda. – Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam, moglibyśmy pójść...

– Wybacz, kochana, ja też nie wiedziałem.

– Czytałam, że główną rolę gra Elżbieta Barszczewska. Wiesz, że ona jest moją rówieśniczką? Urodziła się w tym samym roku, co ja, a już taka gwiazda – dodała z lekką zazdrością w głosie.

– Jeszcze przyjdzie czas, że tłumy będą waliły na filmy z tobą w roli głównej. – Michał starał się, żeby zabrzmiało to entuzjastycznie i wiarygodnie, ale był już potwornie zmęczony. Jedyne, o czym teraz marzył, to ciepła kąpiel i wygodne łóżko. Dlatego też jego odpowiedź wypadła blado i mało przekonująco. Matylda posmutniała jeszcze bardziej.

Policjant regulujący ruchem dał im w końcu znak, że mogą jechać.

Za Wisłą świat pogrzyżył się w ciemności. Znikły kolorowe neony i gęsto ustawione latarnie. Zostały tylko pojedyncze światła, ale dzięki nim można się było jakoś poruszać po znacznie już gorszej szosie.

Minęli przejazd kolejowy i wjechali w las. Światła samochodu omiały gęsto rosnące na poboczu wąskiej drogi drzewa, w ciemności rozjarzyła się nagle para oczu jakiegoś zwierzęcia, sądząc po wysokości, zająca albo lisa. Matyldę przeszedł dreszcz, sceneria była jak z koszmaru sennego.

Po kilkunastu metrach koła samochodu zaturkotały na niewielkim drewnianym mostku nad małym kanałem i po chwili za zakrętem drogi, w głębi, między drzewami, ukazały się światła ogromnego, piętrowego domu w parku otoczonym wysokim murem. Michał wjechał przez szeroko otwartą bramę, koła samochodu zachrzęściły na żwirze głównej alei i mercedes zatrzymał się przed szerokimi schodami frontowymi.

Drzwi otworzył rosły mężczyzna, zupełnie niewyglądający na lokaja. Zaprowadził gości do jasno oświetlonego salonu. Na ścianach wisiały portrety przodków, w rysach jednego z nich Matylda dopatrywała się podobieństwa do Michała.

– Tak to mój dziadek – uśmiechnął się do niej, wyprzedzając pytanie. – A tam – wskazał jej portret małego chłopca ze złotymi lokami, tulącego psa – mój ojciec.

Za drzwiami rozległo się tupanie ciężkich kroków i do salonu wszedł potężnie zbudowany mężczyzna o władczej postawie. Z wygładu przypominał starego szlachcica z sumiastym wąsem i rumianą, nalaną nieco twarzą. Matylda rozpoznała go od razu. Był niemal taki sam jak na

zdjęciach w gazetach.

Na widok przybyłych rozłożył ręce kordialnym gestem.

– Witajcie, kochani, witajcie!

Z całej siły uściśnął jej dłoń, aż poczuła ból od wrzynającego jej się w palce masywnego sygnetu z ogromnym rubinem. Dyskretnie roztarła dłoń za plecami.

– No, w końcu mam zaszczyt poznać wybrankę serca mojego bratanka!

Olbrycht podkręcił sumiastego wąsa, przyglądając się Matyldzie z wyraźną przyjemnością. Poczuła się niezręcznie, nie wiedząc, jak ma się zachować.

– Piękna, rasowa dziewczyna. I te włosy koloru miedzi. A nogi... – zachwycał się tymczasem pan domu. – No, no, mój drogi, trzeba przyznać, że ty to masz oko do takich ślicznotek

Poklepał zmieszanego Michała po plecach, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

Matylda poczuła się nagle jak kłacz wystawiona na sprzedaż. Już miała coś na ten temat powiedzieć, ale Michał ścisnął jej dłoń, dając do zrozumienia, że powinna milczeć.

– Stryju, jesteśmy śmiertelnie zmęczeni po podróży – ubiegł szybko dziewczynę, która chciała jednak coś powiedzieć. – Jeśli pozwolisz, pójdziemy teraz do swoich pokoi, żeby się odświeżyć.

– Oczywiście, oczywiście. – Gospodarz wciąż podkręcał wąsa. – Zaraz każę przygotować kolację, za pół godziny zapraszam do jadalni. No, no – mruzczał jeszcze pod nosem, kiedy młodzi wychodzili z salonu.

Weszli na piętro, gdzie po obu stronach korytarza znajdowały się pokoje gościnne. Służący, który otwierał im drzwi wejściowe, wskazał teraz pokój Matyldzie.

– Panicz ma swój pokój, jak zwykle – powiedział, skinąwszy lekko głową na odchodne.

– Panicz? – Kiedy mężczyzna wyszedł z pokoju, Matylda parsknęła niepohamowanym śmiechem. – Uszczytnij mnie albo powiedz od razu, że jestem na planie *Trędowatej*.

Speszony Michał wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzę, ale takie tu panują obyczaje od lat. Stryj narzuca styl temu domowi, czy mi się to podoba, czy nie. Mówiłem ci przecież, że pochodzę z trochę arystokratycznej rodziny...

– Trochę? Ale trochę mniej czy trochę bardziej? Wybacz, ale mnie to śmieszy. Poza tym nie podoba mi się sposób, w jaki twój stryj mnie traktuje. Zupełnie jakbym była towarem wystawionym na sprzedaż.

– Matysiu, błagam, wytrzymaj te kilka dni. Obiecuję, że w przyszłości nie będziemy z nim mieli zbyt często do czynienia, po prostu on już taki jest i na razie pogódź się z tym. Nie zwracaj uwagi na jego zachowanie. Zawsze taki był. Nie zapominaj, że to on zwykle wybiera młode aktorki, więc każdą pewnie traktuje jak potencjalną zdobycz. Zresztą to znany w okolicy uwodziciel i widocznie na twój widok przypomniały mu się czasy młodości. Cóż, trudno mu się dziwić. – Objął Matyldę, wciąż jeszcze sztywną, i przytulił do siebie. – Na twój widok każdy może stracić głowę.

Podczas kolacji Kazimierz Olbrycht zachowywał się już przy zwoicie. Matylda nie wiedziała, czy to był wpływ Michała, który zdążył coś szepnąć stryjowi na boku, czy też starszy pan sam doszedł do wniosku, że jednak zachował się niestosownie wobec narzeczonej swojego bratanka. Rozmawiali o przyszłym ślubie i dalszej karierze Matyldy.

– Zrobię z ciebie, moja droga, prawdziwą gwiazdę – zapewniał i jakby na podkreślenie swoich słów opróżniał kolejny kieliszek wódki. – Już ja się na tym znam, a ty masz wszelkie potrzebne atuty.

Pytał Matyldę o krewnych, których zostawi w Polsce, i czy nie będzie jej z tego powodu smutno.

– Moja najbliższa rodzina nie żyje – odparła po namyśle – ale zostawię babcię i przybranego brata. Na pewno będzie mi smutno rozstawać się z nimi, na szczęście ktoś, kto jest mi teraz najdroższy, będzie razem ze mną.

Spojrzała z miłością na Michała, który odwzajemnił jej spojrzenie.

Nastrój przy stole poprawił się i Matylda stwierdziła, że całkiem przyjemnie rozmawia się ze stryjem Michała, jeśli tylko ten nie zachwyca się jej wyglądem. Krępowały ją takie uwagi i gdy tylko starszy pan próbował nawiązać znów do niemilego jej tematu, zmieniała go natychmiast.

Olbrycht zauważył, że młodzi z trudem powstrzymują już ziewanie i z coraz mniejszym zapalem włączają się do rozmowy. Ogłosił więc koniec kolacji, dając sygnał do wstania od stołu.

– Zaprosiłem na jutrzejszy wieczór moich przyjaciół i współpracowników – oświadczył, życząc obojgu dobrej nocy. – Chętnie pochwalę się przyszłą bratanicą.

Matylda kręciła się niespokojnie w łóżku do późna w nocy. Była zbyt zmęczona, żeby usnąć. Wydawało jej się, że słyszy jakieś odległe wycie wilków i dziwne hałasy, jakby ktoś biegał po domu. Ciemny las za oknami szumiał, wiatr targał gałęziami drzew, stukał okiennicami. Zanim nad ranem zapadła w sen, pomyślała, że nigdy w życiu nie chciałaby mieszkać na takim odludziu.

Ranek wstał piękny, wrześnie słońce oświetliło rosnące za oknem wysokie sosny, las już nie wydawał się taki ponury i nieprzyjazny. Matylda zauważyła przebiegającą między drzewami sarenkę, chwilę później tuż pod oknem przekęcał zając. Napuściła ciepłej wody do wysokiej wanny i z przyjemnością zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Dzisiaj świat wydawał się znacznie piękniejszy. Postanowiła namówić Michała na długi spacer, już dawno nie była w lesie. Ostatni raz chyba z Julkiem, w Łasku Wolskim, podczas sypania kopcą na Sowińcu.

Pan domu nie pojawił się na śniadaniu, kazał im przekazać, że musiał pilnie wyjechać do miasta i wróci dopiero przed wieczorem, więc mają się rozgościć i spędzić ten dzień według własnego uznania.

Matylda nie przyznała się Michałowi, ale odetchnęła z ulgą. Mimo że do końca kolacji zachowywał się już poprawnie, wciąż jednak czuła pewne skrępowanie i cieszyła się, że nie musi na razie przebywać w towarzystwie starszego pana. Miała nadzieję, że z czasem przywyknie do tego światowego człowieka, bogacza i producenta filmowego. Widać taki styl był czymś normalnym w jego środowisku, toteż Matylda tym bardziej czuła się przy Kazimierzu Olbrychcie jak prowincjonalna gąska.

Dzień spędziła przyjemnie; w towarzystwie narzeczonego obejrzała ogromne domostwo i wybrali się razem na długi spacer po okolicy. Nawet nie przy puszczała, że otaczające je lasy są aż tak rozległe. Gdyby nie Michał, który dobrze znał te tereny, sama zgubiłaby się tu na pewno. Spacerowali przez kilka godzin, a wciąż nie było widać końca lasu. Czasami wychodzili na jakąś polanę, gdzie stały chylące się ku ziemi małe chałupki z obdartymi dziećmi przy mizernych płotach. Zajażdże kundelki, przywiązane łańcuchami do byle jak skleconych bud, obszcze kiwały przybyłych do momentu, aż obcy zniknęli im z oczu.

Matylda zbierała po drodze grzyby, znała się na nich dzięki babci Michalskiej, z którą w dzieciństwie często chodziła do lasu w Mogile. Nie była przygotowana na grzybobranie, więc zdjęty sweterek, służący za prowizoryczny koszyk, szybko zapełnił się dogodnymi okazami i nie było już więcej na nie miejsca. Michał zapewnił ją, że to, co mają, w zupełności wystarczy kucharce na zupę albo i pyszny sos.

– Jak tu pięknie i cicho – zachwycała się dziewczyna, wsłuchana w szum drzew. Od czasu do czasu odzywał się tylko jakiś ptak albo coś zaszeleściło w zaroślach.

– Czy tutaj są wilki? – przypomniała sobie w pewnej chwili Matylda.

– Nie wiem, chyba nie. – Michał spojrział na nią pytająco. – Dlaczego?

– Bo wydawało mi się w nocy, że słyszę ich wycie.

– Pewnie słyszałaś psy – uspokoił ją – sama widziałas, ile ich tu w okolicy.

– No tak, chyba masz rację.

Przy obiedzie, który zjedli tylko we dwoje, Michał opowiedział jej więcej na temat domu i samego stryja.

– Dom należał do dziadków, tutaj urodził się mój ojciec i jego brat, czyli stryj Kazimierz. Niemal od samego początku to on był tym bardziej obrotnym z synów. Mój ojciec był raczej typem romantyka, kochał podróże, wędrówki po górach i książki. A stryj sprzedałby nawet łód Eskim osom. Najczęściej klient na koniec wychodził z przeświadczeniem, że zrobił interes swojego życia. Chociaż różnie z tym bywało.

– To chyba niezbyt uczciwe... – mruknęła Matylda.

– A widziałas kiedyś uczciwy interes? W każdym jest coś, co ociera się o granice prawa i uczciwości. To próba sił, wygrywa silniejszy i sprytniejszy.

– Prawo dżungli raczej. To zdecydowanie nie jest mój świat.

ROZDZIAŁ 22

Pod wieczór dom wypełnił się gwarem. Przez bramę wjeżdżały jeden za drugim wspaniałe samochody, z których wysiadały eleganckie, obwieszone biżuterią kobiety, w narzuconych na wieczorowe suknie futerkach z kaukaskich lisów. Towarzyszyli im równie wytworni panowie.

– O cholera! Nie wierzę... – Matylda odsunęła się od okna na piętrze, skąd oglądała podjazd, ukryta za firanką. – Czyżby szykowało się jakieś wesele? Chyba stryj nie planuje teraz?...

– Nie – roześmiał się głośno Michał, który przyszedł zabrać ją na dół. – Po prostu urządził prośną kolację dla swoich przyjaciół, mówił przecież.

– Mówiłeś o przyjaciółach, ale ci wszyscy ludzie?

– To właśnie znajomi i przyjaciele mojego wuja. Prezesi, ministrowie, wiceministrowie i generałowie. Oraz ich małżonki, ewentualnie najnowsze flamy. Musisz przywyknąć.

Matylda wpadła w popłoch. Nigdy w życiu nie przebywała w towarzystwie tak wysoko postawionych osób i obawiała się, że nie będzie wiedziała, jak się zachować. Poza tym nie była przygotowana na tak uroczystą okoliczność. Wprawdzie, na prośbę Michała, zabrała ze sobą wieczorową kreację, teraz jednak, widząc tamte kobiety, stwierdziła, że będzie przy nich wyglądała jak pensjonarka w niedzielnej sukience. Piękna, jak jeszcze do niedawna uważała Matylda, sięgająca do połowy łydki kreacja z ciemnozielonego aksamitu, z doszytym bolekkiem, wydała jej się teraz zupełnie niestosowna.

– Kochanie, nie przesadzaj. – Michał starał się uspokoić Matyldę. – I tak będziesz najpiękniejszą kobietą w tym salonie. Jesteś świeża i masz klasę. A suknia jest po prostu cudna – dodał, widząc jeszcze niezdecydowanie na twarzy dziewczyny.

Przebrała się, poprawiła włosy opadające na twarz delikatnymi loczkami i pociągnęła usta czerwoną szminką. W uszy wpięła kolczyki z perełkami, na szyi zapięła delikatny złoty naszyjnik z perłą w kształcie łezki. Cały ten komplet był prezentem od cioci Zosi na jej osiemnaste urodziny. Wyglądała tak pięknie, że Michałowi aż zabrakło tchu.

– Chodźmy już – Pociągnął ją delikatnie za rękę.

Matylda wsunęła jeszcze pantofelki na obcasie, dobrane do koloru sukni, i próbując się

obejrzeć, poprosiła, żeby Michał sprawdził, czy szwy na błyszczących pończoszka ch układają się równo.

W ogromnym salonie znajdowało się już kilkanaście osób. Wszystkie twarze zwróciły się w stronę wchodzącej w towarzystwie Michała Matyldy. Panowie z bliskim w oku podziwiali piękną dziewczynę, kobiety spoglądały na nią z lekką niechęcią. Pan domu podszedł do młodych.

– Pozwólcie, moi drodzy, że kogoś wam przedstawię – zwrócił się do gości i ujął speszoną Matyldę pod ramię. – To zachwycające zjawisko jest narzeczoną mojego bratanka. Panna Matylda... – Zawiesił głos i spojrzał na nią pytająco.

– Borucka – odparła z większą już pewnością siebie. – Matylda Borucka.

Panowie skinęli głową z zadowolonymi minami, panie uśmiechnęły się powściągliwie. Wszyscy powrócili do swoich rozmów.

Matylda została posadzona między panem domu a narzeczoną. Michał dyskretnym szeptem opowiadał jej o gościach.

– Ten naprzeciwko ciebie – przekazywał jej, niemal nie otwierając ust – to minister Malicki z małżonką, dalej wiceminister Karcz ze swoją najnowszą flamą. Reżyser, prawa ręka wuja, pan Karczewski z... chyba z córką. I prezes, zapomniałem nazwiska, solo...

Wejście specjalnie wynajętych na ten wieczór kelnerów w białych kurtkach przerwało na chwilę prezentację.

– Dokończę później – szepnęła znów Michał, rozkładając haftowaną serwetkę na kolanach.

– Nie trzeba – podobnym tonem odparła Matylda, robiąc to samo. – I taknie zapamiętam.

Wokół stołu zaczęły krążyć ogromne półmiski z wędlinami i pasztetami na zimno, podany mi na przystawkę przed głównym daniem. Panowie pili wódkę, panie wino. Rozmawiano o polityce, trwającej ostatnio wojnie domowej w Hiszpanii i ewentualnej groźbie wojny ogólnoświatowej.

– Bzdura! – wymamrotał z pełnymi ustami łysawy grubas, którego Michał określił mianem „prezesa od świeżego powietrza”. – Bzdura – powtórzył, przełknąwszy z wysiłkiem kęs zimnego mięsa. – Co mają do nas brudni hiszpańscy anarchiści? Takich trzeba za mordę, niech znajdą swoje miejsce. I koniec.

Przy głównym daniu nastroje trochę złagodniały. Goście mieli coraz lepszy humor, może dzięki alkoholowi czy też pysznemu jedzeniu.

– Powiadasz więc, Kaziu, że to twoja przysła bratanica – odezwał się głośno minister Malicki, zbierając wręcz wzrokiem Matyldę. – Pochwalam wybór, pochwalam. Co za wdzięk, co za uroda! – Cmoknął zachwycony.

– Pięknie pani dobrała kolor sukni do tych rudych włosów – zachwycała się nieszczerze jego żona. – A czymże się pani zajmuje, jeśli można wiedzieć?

– Jestem aktorką, występuję w teatrze rewijowym – odpowiedziała głośno i z lekkim wyzywaniem w głosie Matylda.

Była już przyzwyczajona, że po takim oświadczeniu zwykle następowało pełne skrepowania milczenie. Tym razem jednak została zaskoczona.

– O, naprawdę? Czyżbyś, Kaziu, miał co do pani swoje plany?

Wywołany do odpowiedzi Olbrycht senior uśmiechnął się tajemniczo.

– Kto wie, moi drodzy. Kto wie...

Panowie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia i Matylda znów poczuła się niezręcznie. Z opresji uratował ją Michał.

– Plany to mam przede wszystkim ja. – Ujął jej dłoń i ucałował końce palców. – Wkrótce mamy zamiar się pobrać, a potem razem zdecydujemy, co dalej.

Panowie zareagowali niemal oburzeniem.

– Ale chyba nie będziesz stał na przeszkodzie karierze swojej przyszłej żony, Michale? Tała piękność nie może się zmarnować jako gospodyni domowa. To byłoby wprost niedopuszczalne.

– I taki talent, jeśli wierzyć świadectwu mojego bratanka – podkreślił z mocą pan domu. – Spokojnie, już ja o to zadbam.

Reżyser Karczewski, przystojny brunet w szykownym smokingu, z wielkim brylantem na palcu, wyjął złotą papierośnicę.

– Zapali pani?

– Dziękuję, nie mam ochoty.

Poczęstował papierosem swoją partnerkę, młodą blondynkę o ogromnych, nienaturalnie rozszerzonych źrenicach. Matylda słyszała o aktorkach wpuszczających sobie do oczu atropinę, żeby mieć bardziej głębokie spojrzenie.

Dziewczyna wzięła bez słowa papierosa i pozwoliła go sobie przypalić podsuniętą usznięcie zapalniczką. Wypuściła dym, wpatrując się intensywnie w Matyldę i poruszając ustami, jakby coś mówiła.

Gwar przy stole zagłuszał jej słowa. Zaintrygowana Matylda starała się odczytać coś z ruchu warg tamtej.

Ktoś coś do niej mówił, ale czuła się jak zahipnotyzowana. Nagle z całą wyrazistością dotarł do niej dziwny przekaz.

Usta dziwnej dziewczyny o zimnym, nieruchomym spojrzeniu wyraźnie artykułowały dwa słowa: „Uciekaj stąd”.

Matyldę przeszedł dreszcz. Poczuła niechęć, wręcz nienawiść bijącą od nieznanego. Być może tamta potraktowała ją jako zagrożenie dla własnej pozycji? Bała się konkurencji?

Matylda miała dość tego przyjęcia, lecz nie wypadało jej odejść od stołu.

Tymczasem rozbawieni i coraz bardziej pijani panowie przerculali się niewybrednymi dowcipami, a Michał zupełnie stracił humor. Do końca wieczoru siedział ze skwaszoną miną, odpowiadając zdawkowo na pytania gości, i całą uwagę poświęcił już tylko Matyldzie.

Okolo północy goście stopniowo zaczęli się rozjeżdżać. Dziewczyna towarzysząca reżyserowi nie próbowała już się kontaktować z Matyldą. Szywno, jak mechaniczna lalka, odebrała z rąk służącego narzutkę ze srebrnych lisów i nie żegnając się z nikim, wyszła, prowadzona pod ramię przez swojego partnera.

Na noc został tylko gruby prezes, zbyt pijany, żeby usiąść za kierownicą, a tylko on przyjechał bez kierowcy. Jak złośliwie podkreślił Michał, tamten musiał być jednak prezesem banku, bo za bardzo znał wartość pieniądza, żeby go marnować na szoferów. Gospodarz zaproponował mu jeden z pokoi gościnnych na piętrze.

– Zrobiłaś ogromne wrażenie, moja droga. – Stryj bez przerwy zacierał ręce z zadowolenia. – Czuję, że dokonałem dobrego wyboru.

Uściśnął mocno dłoń Matyldy, aż dziewczyna skrzywiła się z bólu. Ogromny sygnet znów wbił jej się w palec.

– Oj, przepraszam – zorientował się nagle Olbrycht. – Jest zbyt duży i stale zapominam, że może skaleczyć.

Z lubością pogładził wypukły rubin w grubej złotej oprawie.

– To rodzinna pamiątka. Przechodzi z ojca na najstarszego syna, podobnie jak twój – wskazał na zaręczynowy pierścionek Matyldy – z matki na córkę lub synową. Sam nie mam dzieci, więc pewnie ten sygnet dostanie kiedyś Michał.

Nie widząc zainteresowania ze strony młodych, dodał:

– Zawsze to też lokata kapitału. Przyda wam się kiedyś. Teraz muszę go dać do naprawy, bo kamień się obluźował i boję się, że go zgubię. Nie mam tylko zaufanego jubilera.

– A Goldblum, ten ze śródmieścia? – rzucił Michał, żeby stryj nie odniósł wrażenia, że bratanek zupełnie nie jest zainteresowany tematem. Co zresztą częściowo było prawdą. Nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do biżuterii. Rozumiał jeszcze fascynację kobiet klejnotami, ale mężczyźni?

– Żydek? Oszalałeś? Nie mam do nich zaufania.

Dla Michała, jak zresztą i dla wszystkich znajomych, nie było tajemnicą, że Kazimierz Olbrycht wyjątkowo nie lubi Żydów. Uważał ich za oszustów i złodziei.

– Już wiem, dam Krajeńskiemu – oświadczył w końcu po namyśle. – To porządny i uczciwy jubiler. I Polak, a taki rodaka nie oszuka.

Matylda i Michał życzyli mu dobrej nocy i poszli na piętro. Przed pokojem dziewczyny Michał się zawahał.

– Mogę do ciebie przyjść później?

Nim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli głos stryja:

– Michale, czy mógłbyś jeszcze zajrzeć do mnie na chwilę?

Matylda uśmiechnęła się zachęcająco, co odebrał jako zgodę. Pocałował ją szybko i obiecując wrócić jak najprędzej, zbiegł po schodach na parter.

Po godzinie znużona oczekiwaniem Matylda zasnęła. Śniły jej się jakieś koszmary, uciekała gdzieś, ktoś ją gonił, nagle znajdowała się sama w obcym i nieprzyjaznym miejscu. Zanim obudził ją jakiś hałas, zobaczyła we śnie matkę z wyraźnie zaniepokojoną miną.

W pokoju było ciemno, z trudem rozróżniała zarysy mebli. Gałka przy drzwiach przekreśliła się cicho i ktoś wszedł do środka, ostrożnie stawiając kroki na trzeszczących deskach podłogi. Matylda uśmiechnęła się do siebie; wiedziała, kto mógł tak się do niej skradać.

– Nareszcie – szepnęła uszczęśliwiona. – Tak długo czekałam...

Tajemniczy незнаjomy zatrzymał się przed łóżkiem i nagle rzucił się na nią z głuchym stęknięciem. Poczula odór źle przetrawionego alkoholu, wilgotne usta wpijały się żarłocznie w jej wargi.

– Czuję, że ci się podobam, cipciulko. A to dopiero bestyjka z ciebie! – wysapał. – A niech mnie...

Do przerażonej Matyldy dotarło nagle, że to nie Michał przyszedł do jej pokoju, lecz wciąż

jeszcze pijany prezes nie wiadomo czego. Rozpaczliwie usiłowała zrzucić go z siebie, ale postawny, silny mężczyzna przygniatał ją coraz mocniej swoim ciężarem.

– Ra... Ratunku! – udało jej się w końcu krzyknąć na cały głos. – Na pomoc! – Szarpała głową na wszystkie strony.

Zrzucona podczas szamotaniny nocna lampka przy łóżku rozbiła się z głośnym brzękiem na podłodze.

Chciwe łapska przesuwały się pod koszulą nocną Matyldy, zaciskając się boleśnie na udach i piersiach dziewczyny. Matylda czuła, że traci siły, kiedy nagle do pokoju wpadł na wpół przytomny Michał, a za nim zasapany od biegu stryj, w jedwabnym szlafroku narzuconym na pizamę.

Po krótkiej szarpaninie obaj mężczyźni zdołali oderwać pijanego mężczyznę od Matyldy. Rzucony na podłogę napastnik spoglądał z urazą i zdziwieniem na Kazimierza Olbrychta.

– O co ci znowu chodzi? – wykrzusił, ocierając usta z krwi. Dziewczyna, broniąc się, zdołała go ugryźć.

Nie doczekał się odpowiedzi, bo zanim doskoczył do niego Michał, stryj z furią chwycił swojego gościa za kark i siłą wyprowadził z pokoju. Głuchy stukot świadczył o sposobie, w jaki delikwent został sprowadzony po schodach na dół.

Matylda długo jeszcze nie mogła się uspokoić w ramionach narzeczonego.

– Miałeś do mnie przyjść... – szlochała. – Myślałam, że to ty. Dlaczego się nie pojawiłeś?

Michał bezradnym ruchem potarł czoło.

– Kochanie, wybacz, ale sam nie wiem, co się ze mną stało. Omawialiśmy jeszcze z wujem pewne sprawy, wypilem kieliszek wódki, a może i dwa, i zupełnie nie wiem, kiedy i w jaki sposób znalazłem się w swoim łóżku. Obudził mnie dopiero twój krzyk

– A co było aż tak ważnego, żeby jeszcze omawiać to po nocy?

– Nie pamiętam. Zupełnie nic nie pamiętam...

Następnego dnia rano Matylda była tak obolała po nocnej szarpaninie, że z trudem zeszła na śniadanie. Myjąc się, zauważyła na swoim ciele ogromne, ciemniejące już siniaki i zadrapania. Miażdżone wielkimi łapskami piersi bolały przy każdym dotknięciu. Czuła się zbrukana i chciała uciec stąd jak najszybciej.

Wciąż jeszcze zdenerwowany stryj poderwał się z miejsca na jej widok

– Wszystkie w porządku? – spytał ze szczerą troską.

– Nie, nic nie jest w porządku. – Matylda nie miała zamiaru udawać, że nic się nie stało. – Zostałam napadnięta i niemal zgwałcona w pańskim domu, nie czuję się już tu bezpieczna, dlatego postanowiłam natychmiast wrócić do Krakowa. Jeśli Michał ma ochotę zostać – spojrziała zimno na narzeczonego – jego wola. Ja poproszę o odwiezienie mnie na stację kolejową najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Skoro ty wracasz, to ja również. – Michał zacisnął usta w wąską kreskę. – Czuję się

odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Moim obowiązkiem było cię chronić, ale zawiodłem. Wyjeżdżamy zaraz po śniadaniu.

Kazimierz Olbrycht milczał ponuro. Zdawał sobie sprawę, że niewiele może powiedzieć. Sam czuł się najbardziej winien i to on tracił na tym najwięcej. Przecież miał poważne plany co do tej dziewczyny.

– Wiem, że pewnie już nie zmienisz zdania. – Odchrząknął z trudem, zwracając się do bladej Matyldy. – Ale chcę, żebyście oboje wiedzieli, jak mi przykro. Czuję się winien, tak, ale tylko dlatego, że zaprosiłem to bydło do siebie jak przyjaciele. Już nim nie jest. Wyrzuciłem go jeszcze tej nocy na zbity pysk z ostrzeżeniem, żeby nie pokazywał mi się więcej na oczy.

Na nic zdały się jego prośby, żeby Matylda jeszcze się zastanowiła, dziewczyna była nieugięta.

– Właściwie to nie mam do pana pretensji – przyznała niechętnie. – Ale nie czuję się tu dobrze i wolałabym wrócić do domu. Nie nadaję się do życia w wyższych sferach, jestem zwyczajną dziewczyną, córką aptekarki. Ale moi rodzice, zwłaszcza mama, mieli więcej klasy i godności niż pańscy znajomi.

– Nie powinnaś tak osądzać ludzi po wybruku jednego chama.

– Widziałam spojrzenia i słyszałam uwagi pozostałych wczorajszych gości. Proszę mi wybaczyć, ale wcale nie czułam się jak pańska przyszła bratanica. Miałam wrażenie, że patrzą na mnie jak kupcy na piękny przedmiot. Zupełnie bezosobowo.

Pan domu westchnął ciężko, podnosząc się od stołu.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko uszanować twoją decyzję. A mojemu bratankowi gratuluję wyboru tak mądrej i inteligentnej kobiety. Życzę wam, kochani, dużo szczęścia i mam nadzieję, że ten godny pożalowania incydent nie zmieni waszych małżeńskich planów.

Po śniadaniu spakowali się i wyruszyli w drogę powrotną do Krakowa. Przed wyjazdem stryj podarował Matyldzie na przeprosiny srebrną broszkę w kształcie rajskiego ptaka. Skrzydła i ogon wykonane były z ręcznie malowanej emalii w różnych kolorach, tułów zdobiły drobne kryształki. Olbrycht senior nie chciał słyszeć o odmowie, twierdząc, że będzie mu lżej, kiedy dziewczyna przyjmie ten drobiazg.

– Ty też jesteś takim rajskim ptakiem. – Przypiął broszkę do jej bluzki. – Weź, nie rób staremu przykrości.

Matylda podziękowała z powściągliwym uśmiechem. Broszka nie wyglądała na zbyt drogą, dziewczyna nie miała więc wyrzutów sumienia, że ograbia Olbrychtów z rodzinnych klejnotów.

– Oczywiście sprawa kariery filmowej w Berlinie jest nadal aktualna. – Producent uścisnął Matyldę na pożegnanie. – Twoje dzisiejsze wystąpienie było tak pełne ekspresji, że pozwoliło mi to rozpoznać w tobie prawdziwy talent. Tym bardziej nie pozwolę go zmarnować, jakem Olbrycht.

ROZDZIAŁ 23

Po powrocie do Krakowa Matylda rzuciła się w wir pracy. Wodewil, w którym grała jedną z głównych ról, odnosił sukcesy i na każdym niemal przedstawieniu były prawdziwe tłumy. Michał znów wyjechał na kilka dni, podejrzewała, że wrócił do stryja, żeby się z nim rozmówić. Był wściekły z powodu całej tej sytuacji, czuł się niezręcznie w stosunku do narzeczonej i obawiał się, że Matylda straciła do niego zaufanie. Ale ona nadal go kochała, coraz poważniej zastanawiała się tylko, czy wyjazd do Berlina i ewentualna kariera gwiazdy filmowej w tamtejszej wytwórni to dobry pomysł. Obawiała się, że będzie tam jedną z tysięcy młodych aktorek, „towarem” traktowanym tak, jak została potraktowana przez przyjaciół Olbrychta. Wciąż nie miała pewności, czy jest na to gotowa.

Tym bardziej że zadowolony dyrektor artystyczny teatru miał w stosunku do niej ciekawe plany. Pewnego wieczoru po spektaklu wezwał ją do siebie.

– Słuchaj, Matyldo – zaczął bez zbędnych wstępów, kiedy, potykając się o zwoje kablów i sznurów na zakurzonym korytarzu, w końcu dotarła do jego gabinetu. – Postanowiłem zrobić z ciebie gwiazdę.

– Ja... jak to?... Mnie? W jaki sposób? – Zazwyczaj Matyldę nie tak łatwo było zbić z tropu, ale teraz zaczęła dukać jak wywołana nagle do odpowiedzi uczennica.

– Normalnie. Masz aparycję, talent i długie nogi, znaczy, nadajesz się. Damy twoje zdjęcia do wszystkich gazet. Zrobimy afisze i okleimy nimi całe miasto. Już widzę te krzyczące zewsząd napisy: „Nadzwyczajna Matylda B.!", „Najnowsze odkrycie sceny!", „Niezwyczajny talent!". Swoją drogą trzeba ci będzie wymyślić jakiś porządny pseudonim. Ta Borucka brzmi jakoś tak pospolicie. Mata Bora – co ty na to? Albo Matylda Boro – o, tak chyba lepiej.

– Mata Boruc – odpowiedziała odruchowo. Taki pseudonim wymyśliły kiedyś z Melą.

– O, całkiem nieźle brzmi – uznał dyrektor. – Prawie jak Mata Hari. Masz głowę, dziewczyno. Jeszcze będą z ciebie ludzie, tylko się mnie trzymaj. No.

Ale Matylda wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć. Dyrektor nigdy jej nie wyróżniał, miała nawet wrażenie, że w ogóle jej nie zauważa, aż tu nagle taka niespodzianka.

– Przyznam, że mnie pan zaskoczył. Przecież są lepsze ode mnie.

Dla nikogo w teatrze nie było tajemnicą, że dyrektora i jedną z aktorek łączy coś więcej niż zwykłe relacje zawodowe. Obawiała się, że jego obecne zainteresowanie jej osobą spowodowane jest chęcią zemsty albo utarcia nosa kochance.

– Ale ty się najbardziej z nich wszystkich nadajesz. Która lepiej wygląda na zdjęciach, Staszka Murakówna? A może Tola Michalak? – Przy tym drugim nazwisku parsknął pogardliwie. – Nie rozśmieszaj mnie. One są dobre w grupie, a tu potrzebny ktoś, kogo można pokazać samego. No, i co ty na to?

Matylda obiecała, że się zastanowi i da mu odpowiedź za kilka dni.

– A, rozumiem... masz już inną propozycję... Podkupili cię tamci z Komedii? Ja dam więcej, powiedz tylko ile.

Na korytarzu rozległ się nagle rumor, jakby ktoś zrzucił piętrzące się w nieładzie elementy dekoracji. Kiedy dyrektor wybiegł, żeby sprawdzić, co tam się dzieje, zastał tylko wiszący w powietrzu kurz. Zrolowana wcześniej płachta, przedstawiająca błękitne niebo z białymi obłoczkami, leżała teraz rozwinięta aż do drzwi wspólnej garderoby dziewcząt z baletu.

– Wszędzie podsłuchują, psiajuchy – sapał zdenerwowany. – Człowiek nawet głośno myśleć nie może. No to jak? – wrócił do tematu, nadal spoglądając w stronę korytarza. – Podkupili cię?

Matylda uspokoiła go, że nie ma na razie zamiaru przechodzić do konkurencji tu, w Krakowie, a w grę wchodzi wyłącznie sprawy osobiste, które musi przedtem uregulować. O planach kariery w Berlinie na wszelki wypadek nie wspominała.

Zgoda na propozycję dyrektora oznaczałaby rezygnację z wyjazdu, a wciąż jeszcze nie miała pewności, czy naprawdę tego właśnie chce. Coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że była jednak niesprawiedliwa w stosunku do Michała. Nie mógł przecież odpowiadać za postępowanie stryja ani tym bardziej jego znajomych. Zresztą sam Olbrycht senior był tym zajęciem oburzony i przeproszał ją wielokrotnie. Może jednak przesadziła, reagując tak ostro?

Julek też nie pomógł jej podjąć decyzji, chociaż, co było do przewidzenia, skłaniał się raczej do propozycji dyrektora teatru.

– Matyś, postąpisz, jak będziesz uważała, jednak moim zdaniem równie dobrze możesz tutaj zrobić karierę. Jeśli zapewnią ci prawdziwą reklamę, do teatru będą waliły tłumy i wcześniej czy później ktoś z filmu cię zauważy. I przynajmniej będziesz u siebie. A tam? Jedna wielka niewiadoma.

– Tu raczej też – Matylda nie miała wątpliwości. – Obawiam się, że ta wspaniałomyślna propozycja była efektem jakiejś kłótni między dyrektorem a jego ulubienicą, Tolą Michalak. Wszyscy wiedzą, że stary się za nią ugania, widocznie chce w ten sposób wzbudzić zazdrość swojej faworytki. Jeśli ona odchodzi do innego teatru, to mam jakieś szanse, jeśli zaś to była zwykła kłótnia między kochankami, sytuacja szybko może się zmienić. Pogodzą się, a ja zostanę na lodzie.

Matylda opowiedziała Julkowi o wizycie w domu Olbrychtów, pomijając jedynie próbę gwałtu. Znała nastawienie brata do swojego narzeczonego i obawiała się, że ta sprawa już całkowicie przekreśliłaby szanse na ich poprawne stosunki w przyszłości. Obwiniałby Michała o to, że nie zadbał dostatecznie o jej bezpieczeństwo.

Sama wciąż nie miała jeszcze pewności, jak owa przyszłość będzie wyglądała. Na pytanie Julka, dlaczego wyjechała wcześniej, odpowiedziała, że nie czuła się dobrze w domu producenta

i że rozczarowało ją trochę tamto środowisko. Tak zwany wielki świat nie bardzo jej przypadł do gustu.

– Ten Olbrycht zrobił na tobie niekorzystne wrażenie?

– Nie wiem, raczej nie on, tylko jego znajomi. Patrzyli na mnie jak na towar, ale on sam zachowywał się w stosunku do mnie poprawnie. Nawet wyglądało na to, że mnie polubił.

– Cóż chcesz, każda aktorka jest trochę takim właśnie towarem. Każdemu producentowi zależy, żeby ją dobrze sprzedać i jak najwięcej na niej zarobić. Nie dziw się więc tak bardzo.

Opowiedziała mu o dziwnym zachowaniu dziewczyny towarzyszącej reżyserowi, wyraźnie wrogo do niej nastawionej. Julek słuchał w milczeniu, przerywając rzadko tylko jakimś pytaniem.

– Nie podoba mi się to wszystko – stwierdził na koniec. – Chyba nie będziesz miała łatwego życia w tym środowisku. Jeszcze w nie za dobrze nie weszłaś, a już potraktowano cię wrogo. Tam obowiązuje prawo dżungli, nie zapominaj. Przemyśl to wszystko jeszcze raz, nie spiesz się z podejmowaniem decyzji. Zastanów się, czy naprawdę jesteś taka silna, żeby utrzymać pozycję, kiedy ją w końcu zdobędziesz.

– Jezuuu... – jęknęła Matylda. – Przemawiasz jak jakiś sztywny prawnik podczas swojej mowy końcowej. A tak bardziej od serca? Normalnie?

– Normalnie to ja bym wołał, żebyś została w Krakowie.

Mela, co zresztą było do przewidzenia, absolutnie stawiała na Berlin.

– Byłabyś głupia, gdybyś zrezygnowała. Ta buda tutaj padnie lada chwila i nie pomogą jej żadne gwiazdy, konkurencja jest zbyt duża. A tam, z pomocą znanego producenta, masz przed sobą przyszłość. Poza tym – dodała z żalem – tak liczyłam, że mnie ze sobą zabierzesz...

Wątpliwości rozwiązał w końcu sam Michał. Wrócił, jak słusznie podejrzewała Matylda, od stryja i natychmiast przybiegł na Grodzką.

– Matyś, kochana, tak bardzo za tobą tęskniłem. – Tulił dziewczynę, nie dając jej dojść do głosu. – Nawet sobie tego nie jesteś w stanie wyobrazić.

Wyzwoliła się z jego objęć, chociaż serce wyrywało jej się do ukochanego.

– Po co tam wróciłeś?

– Musiałem rozmówić się ze stryjem. Chciałem mu powiedzieć, że zrywam naszą współpracę i zostaję w Krakowie. Postanowiłem też zrobić podział majątku, spora część należy mi się po rodzicach.

– I co on na to?

– Niemal się załamał. Prosił, żebym nie rezygnował z rodzinnego interesu, i zapewnił o swoich uczciwych intencjach w stosunku do ciebie. Naprawdę zamierza poważnie zająć się twoją karierą i wykreować cię na wielką gwiazdę filmu. A ma takie możliwości, uwierz mi, kochanie. Wygląda też na to, że szczerze cię polubił.

– A co z tamtym prezesem?

Michał roześmiał się z satysfakcją.

– Stryj poszczał go wtedy w nocy psami. Ten pijak błąkał się aż do rana po lesie, nie mogąc wrócić do swojego samochodu. Znaleźli go chłopci i odstawili furmanką do Warszawy.

– Należało mu się – mruknęła mściwie Matylda. – I tak miał szczęście, że go wilki nie zagryzły.

– Tam nie ma wilków, już ci przecież mówiłem. Ale mniejsza o tego drania. Wybaczysz stryjowi? Pojedziesz ze mną do Berlina? Wyjdziesz za mnie?

– O, „wyjdziesz za mnie” pojawiło się na samym końcu. – Matylda się rozchmurzyła. – Czyżby spadło na ostatnie miejsce?

– Nie, mój ty niewierny Tomaszu w spódnicy. Jest na trzecim miejscu, bo zależy od dwóch pierwszych. A więc?

– Nie wiem jeszcze. – Postanowiła trochę się z nim podroczyć. – Zastanowię się podczas pakowania...

– Czyli tak?

– Czyli być może.

Michał chwycił ją w objęcia i okręcił się wraz z nią dookoła.

– Tak się cieszę, skarbie! Tak się cieszę!

– Zostaw, bo mnie udusisz, wariacie.

– A, jeszcze jedno – przypomniał sobie Michał. – Na dowód, że stryj ma naprawdę dobre intencje, prosił, żebyś popytała wśród koleżanek z teatru, czy któraś nie ma ochoty spróbować swoich sił w berlińskiej wytwórni. Akurat robi nabór i brakuje mu jeszcze jednej kandydatki. Na razie ma to być tylko statystowanie w jakiejś większej produkcji filmowej, ale jeśli ta dziewczyna na się sprawdzi, to kto wie, co będzie dalej.

– O, to się dobrze składa – ucieszyła się Matylda. – Mam nawet kogoś, kto by się nadawał.

– Ta twoja przyjaciółka? – domyślił się Michał. – Możesz ją polecić z czystym sumieniem?

Matylda nie była zbyt pewna co do zdolności aktorskich Meli, ale nie mogła jej sprawić zawodu. Niech i ona ma swoją szansę, a już właśnie w Berlinie się na niej poznają?

– Jestem pewna, że sobie poradzi – odparła dyplomatycznie.

– No to zapytaj ją jak najszybciej. Stryj wyjeżdża do Berlina na dniach, więc mógłby ją zabrać razem z innymi dziewczynami.

– Nie mogłaby jechać z nami? Po co ten pośpiech?

– Bo prace nad filmem rozpoczynają się w tych dniach i statystki będą potrzebne już teraz. Ty i tak nie będziesz w nim grała, a już na pewno nie jako statystka. Dla ciebie stryj szykuje inną, znacznie ważniejszą rolę.

– Skąd wiesz? – Matylda nie mogła opanować uśmiechu zadowolenia.

– Bo trochę mi uchylił rąbka tajemnicy, ale na razie nie mogę nic mówić... Bądź cierpliwa, kochanie. Wszytko w swoim czasie.

Mela szalała z radości. Nie mogła wprost uwierzyć we własne szczęście i co chwilę kazała się Matyldzie szczytać, by sprawdzić, że nie śni.

– A dajże już spokój. – Matylda opędzała się od niej ze śmiechem. – Chcesz tam jechać posiniaczona?

– A mogę się pochwalić dziewczynom? Niech zzielenieją z zazdrości.

– Możesz, to już pewne. Za kilka dni wyślemy cię do Warszawy, tam dołączysz do grupy zebranej przez stryja. Spotkamy się już w Berlinie.

– A nie mogłabym jechać z wami?...

– Nie marudź. Podobno zdjęcia do filmu, w którym masz statystować, zaczynają się lada dzień, stąd ten pośpiech. My niedługo dojedziemy.

Kilka dni później Matylda wraz z Michałem odprowadzili Mełę na dworzec i wsadzili w pociąg do Warszawy.

– Podbijemy świat, zobaczysz – szepnęła zapłakanej przyjaciółce, obejmując ją na pożegnanie. – Jeszcze wszyscy o nas usłyszą. I czego ry czysz?

– Ze szczęścia. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Konduktor dał znak do odjazdu, przenikliwy sygnał gwizdka aż zaświdrował w uszach. Lokomotywa sapnęła i powoli ruszyła w kłębach pary. Matylda jeszcze długo stała na peronie, machając przyjaciółce na pożegnanie, aż ostatni wagon pociągu zupełnie znikł jej z oczu.

Wprawdzie niedługo miały się przecież zobaczyć, ale i tak było jej dziwnie smutno. Kończył się jakiś okres w ich ży ciu, a zaczynał nowy. Zupełnie niezmany.

ROZDZIAŁ 24

Na efekty chwalenia się Meli Matylda nie musiała długo czekać. Nastrój panujący tego dnia w teatralnej garderobie daleki był od przyjaznego.

– No proszę, jak to się nasza gwiazda ukrywała! – rzuciła któraś z przygotowujących się do występu dziewcząt. – Koleżankom nawet słowem nie wspomniała o swoim producencie filmowym...

– O czym niby miałam wam mówić? Jeszcze do niedawna sama nie byłam pewna, co zrobić.

– Ale Meli załatwiłaś angaż.

– Brakowało tylko jednej osoby i trzeba się było decydować natychmiast. Poza tym chyba się nie dziwicie, że wybrałam przyjaciółkę?

Była zła na gadulstwo Meli, chociaż dała jej na to przyzwolenie. Nie pomyślała jednak o konsekwencjach i czuła się teraz niezręcznie. Miała zamiar sama o wszystkim powiedzieć koleżankom, tuż przed wyjazdem, pożegnać się przyjaźnie, tymczasem wyszło inaczej.

W garderobie zrobiło się duszno, nie tylko z powodu unoszącego się w powietrzu pudru i zapachu potu. Niechęć tamtych była wręcz namacalna. W drzwiach pojawił się inspicjent, pan Bolek

– Panna Borucka do dyrektora. Natychmiast!

Odłożyła na półkę pod lustrem pędzel, którym nakładała puder na twarz, i odprowadzana ironicznymi spojrzeniami koleżanek, wyszła na korytarz.

Jak się spodziewała, rozmowa nie należała do przyjemnych. Dyrektor nawet nie chciał jej dopuścić do głosu, krzyczał, że go oszukała, a on, głupi, chciał z niej zrobić gwiazdę. Tymczasem ona, w tajemnicy przed nim, podpisała umowę z kimś innym.

– Przykro mi, że tak to wyszło – udało jej się w końcu powiedzieć, kiedy zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. – Dzisiaj po przedstawieniu miałam zamiar sama pana zawiadomić, ale widzę, że życzliwe dusze już mnie ubiegły. Przede wszystkim wychodzę za mąż i przenoszę się do Berlina i to jest najważniejszy powód, dla którego muszę zrezygnować z pańskiej

wspaniałomyślniej propozycji. Natomiast co do ewentualnej kariery filmowej, są to jeszcze odległe plany i nikt mnie nie podkuł ani z nikim nie podpisywałam żadnej umowy.

– A ja już zacząłem starania!

– Ale dlaczego? Dał mi pan przecież kilka dni do namysłu, na nic się jeszcze nie zgodziłam. Jak powtarzam, właśnie dzisiaj miałam panu oznajmić swoją decyzję.

Matylda obiecała dyrektorowi, że zostanie jeszcze do końca przyszłego tygodnia. Przedstawienie i tak już schodziło z afisza, nie trzeba więc było szukać w ostatniej chwili zastępstwa. Planowane miłe i uroczyste pożegnanie z koleżankami nie doszło do skutku mimo starań Matyldy. Tamte nie mogły jej darować nie tyle milczenia, ile ewentualnej kariery i bogatego kandydata na męża. Po raz kolejny zatęskniła za prawdziwą i szczerą przyjaciółką. Od Michała dowiedziała się, że Mela zajechała na miejsce cała i zdrowa, stryj zapewnił go o tym przez telefon. Powiedział też, że lada dzień mają wyruszyć do Berlina.

Julek wpadł do mieszkania Matyldy błądy i zdenerwowany.

– Matyś, musisz ze mną gdzieś pojechać. – Chwycił ją za rękę i ścisnął tak mocno, aż zabolalo. – Na krótko, jeszcze dzisiaj wrócimy.

– Ale o co chodzi? Widzisz przecież, że się pakuję, za dwa dni wyjeżdżamy z Michałem do Berlina. Nie mam czasu na wycieczki.

– Właśnie dlatego to takie ważne...

– Dlatego że nie mam czasu na wycieczki?

– Och, nie denerwuj mnie jeszcze i ty! – warknął zirytowany. – Dlatego że wyjeżdżasz do Berlina. Zanim wyjedziesz, musisz kogoś poznać. Przysięgam, że jeśli nie pójdziesz teraz ze mną, zrobię wszystko, by nie dopuścić do twojego wyjazdu. Nawet gdybym miał wykoleić pociąg.

– Ale gdzie, do licha, mam się z tobą wybrać?!

– Do Kobierzy na.

Matylda aż otworzyła usta ze zdziwienia. Rzuciła niepewne spojrzenie w kierunku Julka, ale oprócz wyraźnego zdenerwowania nie wykazywał żadnych oznak szaleństwa.

– Do szpitala psychiatrycznego?! Po co, na Boga... – Z wrażenia aż usiadła na krześle.

– Opowiem ci wszystko po drodze. Zbieraj się, za pół godziny mamy autobus.

Na dworcu w Rynku Podgórskim stało już kilka autobusów gotowych do odjazdu. Matylda i Julek podeszli do długiego niebieskiego pojazdu z błyszczącymi lampami z przodu i dużymi kołami na grubych oponach. Nad przednią szybą miał tabliczkę z napisem: „Kobierzyn – Szpital”. Wsiadli szybko, bo szofer już zapuszczał motor. Zdażyli dosłownie w ostatniej minucie.

Wnętrze było zaskakująco obszerne, zupełnie na takie nie wyglądało z zewnątrz. Szerokie

skórzane siedzenia z jasnobrązowej skóry zapewniały wygodę podczas jazdy po zniszczonych wiejskich drogach. Matylda zajęła miejsce przy dużym oknie, Julek usiadł obok. W autobusie nie było zbyt wielu pasażerów, mogli więc oboje spokojnie porozmawiać. W drodze na dworzec Julek zdążył tylko powiedzieć, że mają się spotkać z jedną z pacjentek, która opowiada dziwne rzeczy na temat pewnego producenta filmowego z Warszawy.

A konkretniej spod Warszawy, dodał z naciskiem.

– Nie gniewaj się, Matysiu, ale jej historia za bardzo przypominała mi twoje opowiadanie o wizycie u stryja twojego Michała, żeby mi mógł tę sprawę zlekceważyć.

– Przerażasz mnie...

Julek wpatrywał się przez chwilę bez słowa w przesuwany się za szybą autobusu krajobraz, jakby nie wiedział, od czego najpierw zacząć. Wreszcie oderwał wzrok od okna i wciąż zasępiony spojrzął na Matyldę.

– Dzisiaj rano zupełnie przypadkiem spotkałem dawnego kolegę. Może go nawet pamiętasz? To Staszek Karwał.

– Ten z Mogiły? Syn starej Karwałowej, od młynarza?

– Tak, to on. Wyobraź sobie, że jest teraz policjantem i mieszka w Warszawie. Przyjechał służbowo na kilka dni do Krakowa.

– Ale co to ma wspólnego...

– Poszliśmy na piwo i pogadaliśmy – przerwał jej w pół zdania – jak to starzy kumple. Staszek spytał też o ciebie, więc mu opowiedziałem o twoich planach wyjazdowych i szykującej się karierze filmowej, a wtedy jego, proszę ja ciebie, zatkało. Opowiedział historię, od której żyje mi się włos na głowie.

Matylda poprawiła się niespokojnie na fotelu. Miała złe przeczucia.

– Otóż policjanci warszawscy od jakiegoś czasu śledzą szajkę handlarzy żywym towarem, w tę aferę wplątani są podobno ludzie wysoko postawieni, ale nikł nie ma na nich nic konkretnego.

– Jakim żywym towarem? Chcesz mi wmówić, że teraz, w dwudziestym wieku, kwitnie jeszcze handel niewolnikami?

– Gorzej. Kwitnie handel młodymi kobietami, które są sprzedawane do domów publicznych w Niemczech i Argentynie. Naganiacze, zwykle jakieś płotki, wabią marzące o sławie dziewczyny, obiecując im karierę filmową, nierzadko też i małżeństwo, a potem ofiara ląduje w burdelu.

– Jezus Maria... chyba nie myślisz?... Jak w ogóle możesz w ten sposób? Boże...

Matylda zatkała dłońmi uszy, kręcąc głową na znak, że nie chce tego dalej słuchać.

Julek delikatnie oderwał jej rękę od głowy.

– Matysiu, a masz całkowitą pewność? Proszę, posłuchaj dalej.

– Nie, nie chcę. Zatrzymaj ten autobus.

– Jeśli ci powiem, że pacjentka, do której jedziemy, była więziona w jakimś domu pod Warszawą, a człowiek, który ją tam trzymał, nazywa się Kazimierz Olbrycht, to mi w końcu uwierzysz?

Pełne grozy oczy Matyldy były jedyną odpowiedzią na to pytanie. Dziewczyna czuła się tak, jakby ktoś zadał jej cios pięścią w splot słoneczny.

– Skoro policji znane jest jego nazwisko, to dlaczego ten człowiek nadal jest na wolności? Coś mi tu nie pasuje – wykrztusiła w końcu.

– No właśnie, kłopot w tym, że dziewczyna zwiariowała i nikt nie traktował jej słów poważnie. Niby prowadzono jakieś tam śledztwo, ale nieudolnie. Olbrycht i jego współpracownicy są zbyt wysoko postawiony mi ludźmi, żeby uwierzone w zeznania jakiejś wariatki, jak ją nazwano, więc sprawie ukłęczono łeb. Musisz wiedzieć, że zamieszany jest w to nawet jeden z ministrów.

– Jezu... to może być jednak prawda... – Matylda przypomniała sobie nagle ministra z małżonką i zimny, taksujący wzrok tej kobiety. – Ale jak ta dziewczyna znalazła się w Kobierzynie? Przecież to daleko od Warszawy. A w ogóle zgodnie z tym, co mówisz, powinna być teraz raczej w Berlinie albo... gdzie tam jeszcze?

– W Argentynie.

– No właśnie, w Argentynie.

– Podobno udało jej się uciec z tego domu pod Warszawą. Błąkała się po lesie, w końcu wyszła na jakąś drogę, prowadzącą do stacji kolejowej, i wsiała do pierwszego lepszego pociągu.

Mijałoby jakiś przejazd kolejowy, Boże... – myślała gorączkowo Matylda.

– Dojechała do Warszawy – kontynuował Julek – a stamtąd, dzięki pomocy jakiegoś przypadkowego pasażera, który się nad nią ulitował, udało jej się dostać do Krakowa.

– Dlaczego akurat do Krakowa? – spytała, chociaż sprawa miasta nie miała tu najmniejszego znaczenia. Matylda chciała jednak zyskać czas, by zebrać myśli. Była coraz bardziej zszokowana.

– Bo akurat na taki pociąg trafiła. Kiedy tu dojechała, zgarnęła ją patrol policji na dworcu, bo była brudna i półprzytomna. Poza tym nie miała dokumentów i nie potrafiła sensownie wyjaśnić, co się stało.

– I nie próbowała opowiedzieć o tym, co jej się przydarzyło?

– Ależ tak. Tylko że nikt jej nie uwierzył. Kazimierz Olbrycht jest znanym producentem filmowym, uznano więc, że po prostu musiało gdzieś usłyszeć to nazwisko i podała je, żeby wybronić się z zarzutu włóczęgostwa i prostytucji. Kiedy się zorientowała, że nikt nie daje wiary jej słowom, zaczęła się zachowywać jak osoba chora psychicznie, była agresywna wobec siebie i innych, a potem zamknęła się w sobie i przestała w ogóle reagować na otoczenie, jakby nagle się wypaliła. Tak więc uznano, że najlepszym wyjściem będzie zamknięcie jej w Kobierzynie. Zwłaszcza że nie miała tu żadnych krewnych, a adresu we Lwowie, który podawała, nikt nie znał. Zresztą mówiła wcześniej, że jest sierotą.

– A śledztwo pewnie umorzono?

– Tak. Według Staszka ktoś bardzo się o to postarał. Ktoś, kto ma tyle pieniędzy, że może kupić każde sumienie. O sprawie zapomniano i dopiero teraz, kiedy Staszek usłyszał o twoich relacjach z Olbrychtem, zainteresował się nią na nowo. Ma nadzieję, że może wreszcie nastąpi zwrot w śledztwie. Będzie już tam na nas czekał, wcześniej musi uzyskać zgodę dyrektora szpitala na tę wizytę.

– Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Jak mogę pomóc, przecież nie wiadomo, czy ta dziewczyna w ogóle zechce ze mną rozmawiać.

– Nie wiem. Może uda ci się wyłowić z jej beczadnej gadaniny coś konkretnego, coś, co ci się skójarzy albo naprowadzi cię na trop. A może ta biedaczka właśnie przed tobą w końcu się otworzy?

Zamilkli oboje. Za szeroką szybą widać było wiejskie chaty ze skromnymi ogródkami, krowy na łąkach i psy, które obszczekiwały zajadle zniechędzone, hałaśliwy i zostawiający za sobą

chmurę pyłu pojazd. Autobus zatrzymywał się na przystankach przy wiejskiej drodze, pasażerowie wsiadali i wysiadali, taszcząc ze sobą bagaże. Jakaś starsza kobieta usiłowała wejść do środka z małą, zapierającą się na postronku kózką, ale kierowca stanowczo się temu sprzeciwił.

– Widzicie, babciu, jakie tu eleganckie fotele? – huknęła tubalnym głosem. – A jak mi się to bydlę zesra? Mowy nie ma.

Staruszka została na drodze, wygrażając autobusowi pięścią.

W innych okolicznościach Matylda z przyjemnością patrzyłaby na przesuwające się za oknem ogrody i sady. W mieście nie miała zbyt wiele okazji do podziwiania drzew owocowych, może tylko w ogrodzie botanicznym, ale tam bywała raczej rzadko. Teraz jednak patrzyła na to wszystko, niczego tak naprawdę nie widząc. Myśli kłębiły jej się w głowie jak szalone.

Przecież to wszystko jest jakieś chore. Może Kazimierz Olbrycht miał z tym coś wspólnego, ale Michał? Jej Michał, którego kochała i za którego miała wyjść za mąż? To musi być jakieś nieporozumienie, koszmarny zbieg okoliczności. Zaraz sprawa się wyjaśni i wszystko wróci do normy. Ona będzie z radosną niecierpliwością czekała na wyjazd z narzeczonym do Berlina, słońce znów zaświeci, ptaki zaczną śpiewać, Kobierzyn zniknie, a wszystko okaże się koszmarnym snem, z którego z ulgą się obudzi.

– Koniec jazdy! – zawołał kierowca, odwracając się do kilku siedzących w autobusie pasażerów. – Szpital w Kobierzynie!

Weszli przez bramę w kamiennym murze opasującym teren szpitala. Wewnątrz miało się wrażenie, że to ogromny ogród. Ginące w masie zieleni małe pawilony wyglądały jak prywatne wille.

Matylda zatrzymała się za bramą.

– Nigdzie nie idę – oświadczyła, z trudem opanowując łzy. – Boję się. Wracam do autobusu.

– Matyś! – jęknął Julek – Chcę wierzyć, że Michał nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, naprawdę cię kocha i ma w stosunku do ciebie uczciwe zamiary, ale błagam, spotkaj się z tą kobietą. Może okaże się, że to wszystko bzdura, historia wyssana z palca przez jakąś wariatkę. Wtedy odetchnę z ulgą i przysięgam ci, że więcej się nie wtrączę. Jeśli zaś, co nie daj Boże, okaże się, że to prawda, pomóżesz też innym dziewczynom. Pomyśl o tym.

Szli, mijając po drodze pracujących na małych poletkach pacjentów. Nadzorowani przez swoich opiekunów, okopywali grządki, wrywali chwasty i zbierali plony. Minął ich wysoki mężczyzna w szarym szpitalnym ubraniu, przy ciskającym do piersi olbrzymi bukiet kwiatów. Szedł powoli, sztywnym krokiem, w nieruchomych oczach miał pustkę i zubożenie. Nawet nie zwrócił uwagi na przechodzącą parę młodych ludzi. Kierował się w stronę widocznego zza drzew małego kościółka.

Praca na roli była jedną ze stosowanych tu terapii. Wysiłek fizyczny i świeże powietrze dobrze wpływały na pacjentów. Tylko ci najbardziej niebezpieczni dla siebie i innych przebywali w zamkniętych pomieszczeniach szpitalnych, nierzadko w kaftanach bezpieczeństwa ze związanymi na plecach rękawami.

Staszek czekał już na nich przed głównym budynkiem szpitala. Przywitał się z Matyldą, dziękując jej za przyjazd.

– Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe – powiedział cicho – ale jesteś jedyną osobą, która może nam teraz pomóc. Jeśli to wszystko prawda, to właśnie ty możesz ją potwierdzić albo też zaprzeczyć opowiadaniu dziewczyny. Choćby jej opis otoczenia domu i samego wnętrza.

– Dlaczego ja? Przecież mnie nikt tam nie więził, nikt mi nie zrobił krzywdy... – Zawahała się na moment, przy pominięciu sobie tamtą noc. – Byłam tam mile widzianym gościem.

Staszek zauważył wahanie Matyldy.

– Coś się wtedy wydarzyło, prawda?

Julek spojrzał zaskoczony na siostrę.

– Matyś, ty czegoś mi nie powiedziałaś?

Matylda niechętnie opowiedziała im o nocnej wizycie jednego z pijanych gości stryja w swojej sypialni.

– Ale obaj przybiegli z pomocą – zapewniła pospiesznie. – Michał niemal chciał go zabić, a wuj wyrzucił w środku nocy do lasu. Oni nie mieli nic wspólnego z tym wypadkiem. Jestem tego pewna.

– Można to też interpretować inaczej. – Staszek pokręcił głową bez przekonania.

– Nie rozumiem.

– Może po prostu byli wściekli, że chciał im zepsuć towar...

Początkowo dyrektor nie chciał się zgodzić na spotkanie z pacjentką. Powoływał się na tajemnicę lekarską, kiedy jednak usłyszał od policjanta, o co chodzi, wyraził zgodę na krótką rozmowę z chorą w obecności siostry zakonnej, opiekującej się oddziałem kobiecym. Znał historię młodej Michaliny Kowalik ze Lwowa, która trafiła tu do nich ponad pół roku temu.

– Nie lubię i z reguły nie zgadzam się na takie rzeczy – oświadczył poważnie dyrektor, zwracając się bezpośrednio do policjanta. – Ale ma pan rację, jeśli kolejnej kobiecie grozi podobne niebezpieczeństwo, lepiej temu zapobiec w porę. Nie chciałbym, żeby ich następną ofiarą została kiedyś moja pacjentka. Albo żeby przydarzyło jej się coś jeszcze gorszego.

Na końcu wysadzonej drzewami alei stał budynek oddziału kobiecego, mieli się tam spotkać z doktorem Malinowskim, opiekującym się Michasią, jak ją tu nazywano. Uprowadzony przez portiera starszy, szpakowaty lekarz zszedł natychmiast do swoich gości i przywitał się uprzejmie.

– Józef Malinowski. Bardzo mi miło.

Matylda z lekką rezerwą podała mu rękę. Wciąż jeszcze nie ochłonęła, nie była też pewna, czy rzeczywiście chce się spotykać tutaj z kimkolwiek. Obawiała się tej rozmowy, podświadomie czując, że może ona wyrzucić całe jej dotychczasowe życie do góry nogami.

– Proszę się niczego nie obawiać. – Malinowski był przekonany, że po prostu przestraszyła się tego miejsca. – Najbardziej niebezpieczni pacjenci są zamknięci w specjalnych oddziałach, gdzie nie musi pani wchodzić. Osoba, z którą pani zaraz się spotka, to najłagodniejsza istota pod słońcem.

– To dlaczego się tu znalazła, skoro nie jest groźna?

– Niektórzy pacjenci są groźni dla samych siebie, usiłują na przykład popełnić samobójstwo

– wyjaśnił spokojnie lekarz. – Jeszcze inni wpadają w stan, który może nawet doprowadzić do ich śmierci. Przeszają jeść, nie wstają z łóżka, nie reagują na otoczenie, są obojętni i apatyczni. Albo też zaczynają żyć we własnym, urojonym świecie, wypełnionym potwornymi wizjami, które biorą za rzeczywistość. W takich wypadkach pomóc im może tylko specjalnie dobrana terapia. I opieka szpitalna. W prawdziwym życiu sami już nie potrafią sobie dać rady.

– Co zatem da mi rozmowa z taką osobą? Skąd będzie wiadomo, czy to, co mi ewentualnie powie, będzie prawdą, czy tylko jej urojeniem?

– Liczymy na to – wtrącił się Staszek, ubiegając lekarza – że sama rozpoznasz, co jest prawdą, a co nie. W końcu ty też tam byłaś.

– Ale przecież wcale nie ma pewności, że...

– Nie ma. Stąd właśnie to spotkanie.

ROZDZIAŁ 25

Michalina Kowalik wysła z pracowni krawieckiej wraz z siostrą zakonną, opiekującą się chorymi. Dziewczyna na poruszała się powoli, drzwi były przez chwilę szeroko otwarte, Matylda zdążyła więc zauważyć jasne pomieszczenie z szeregiem maszyn do szycia i siedzące przy nich kobiety. Jedne z zapalem pochylały się nad swoją pracą, wymieniając uwagi z sąsiadkami, inne apatycznie, mechanicznym ruchem wyjmowały fastrygę z materiału, skupiając uwagę wyłącznie na tej jednej czynności.

– Tylko proszę nie zdenerwować naszej Michasi – ostrzegła pozornie łagodnym głosem zakonnica.

Widać było jednak, że nie jest zbytnio zadowolona z tego spotkania pacjentki z obcymi ludźmi.

Matylda przyszła na piętro sama; początkowo Julek i Staszek chcieli być przy tej rozmowie, ale lekarz uprzedził, że dziewczyna boi się mężczyzn i ich obecność może tylko zaszkodzić.

– Możemy porozmawiać w ogrodzie? – Matylda nie bardzo wiedziała, do kogo ma się zwracać. Dziewczyna nie zareagowała nawet na jej powitanie.

– Lepiej tu – odpowiedziała zakonnica. – W ogrodzie są też mężczyźni, Michasia nie jest jeszcze gotowa na spotkanie z nimi.

Przeszły do pomieszczenia będącego najprawdopodobniej świetlicą dla chorych, o czym świadczyły liczne kolorowe obrazki na ścianach. Niektóre z nich, jak zauważyła Matylda z zaskoczeniem, były naprawdę udane i świadczyły o talencie autorów. Przez szeroko otwarte, ale okratowane okna wpadało ciepłe, pachnące powietrze z ogrodu. Śpiew ptaków słychać było tak wyraźnie, jakby siedziały na drzewach z wiszących tu obrazów.

Dostrzegłszy zachwyty Matyldy, zakonnica złagodniała.

– Prawda, że piękne? Mamy tu prawdziwe artystki. Michasia wprawdzie nie maluje, ale za to potrafi haftować jak anioł. Jeśli pani ma trochę czasu, proszę koniecznie zajrzeć do naszej kaplicy, wszystkie serwetki i kapy to jej dzieło.

Pacjentka siedziała bez ruchu, omijając spojrzeniem gościa. Mimo nieobecnego wyrazu

twarży i wyraźnego zaniedbania widać było, że jest to nadal śliczna, młoda dziewczyna. Obcięte czyjaś niewprawną ręką włosy przypominały teraz zmatowiałą słomę, lecz kiedyś musiały mieć piękny, pszeniczny kolor. Wyblakłe niebieskie oczy były niemal białe, a pełne, ładnie wykrojone usta wykrzywiły się w gorzkim grymasie.

– Dzień dobry. Nazywam się Matylda Borucka. – Matylda z wahaniem wyciągnęła dłoń do dziewczyny.

– Masz coś dla mnie? – usłyszała w odpowiedzi.

Niemal zapomniała, że lekarz wręczył jej czekoladę, ulubiony smakołyk Michaliny. Każdego, kto tylko przyjdzie, pacjentka od razu wypytuje o słodycze, powiedział. Robi się nerwowa, kiedy ich nie dostanie od razu.

– A, tak – ocknęła się – mam, oczywiście.

Tamta złapała czekoladę, odwinęła od razu ze sreberka i odgryzła spory kęs. Przez chwilę delektowała się smakiem, w końcu spojrzała na Matyldę.

– Nie mogę dziś, brzuch mnie boli.

Zrobiła minę, jakby miała się rozpłakać. Zaraz jednak uśmiechnęła się porozumiewawczo, pokazując ciemne, sklejone czekoladą zęby.

– Zawsze trzeba tak mówić, to cię nie ruszą. Nie lubię dziewczynskich słabości. Chociaż są tacy, co to lubią... To grzech... straszny grzech... nie powiem nikomu...

Matylda spojrzała spłoszona w kierunku zakonnicy, która usiadła na krzeselku w drugim końcu świetlicy. Teraz skinęła głową, że wszystko w porządku.

– Jak... jak się pani czuje? – spytała Matylda, byle tylko przerwać ciche mamrotanie chorej.

– Taki ładny dzień dzisiaj!

– Noo... – Michasia pokiwała głową, zadowolona. – Dopiero co stąd wyszedł. Jego to lubię, on nie jest taki zły.

Korytarzem przebiegła zaferowana drobna staruszka. Na chwilę wsunęła głowę do świetlicy.

– Przyjechali już?

Nie czekając na odpowiedź, popędziła dalej.

Michalina siedziała bez słowa, uśmiechając się łagodnie. Z czekolady zostały już tylko drobiniki, które spadły na jej kolana. Dokładnie zebrała je poślinionym palcem i spojrzała przytomniejszym wzrokiem na Matyldę.

– Kim pani jest? – spytała ostrym tonem. – To on panią tu przysłał? Nigdzie nie idę! Zostaw mnie, ty wydro!

Zakonnica wstała z krzeselka i podeszła do chorej.

– Spokojnie, Michasiu, ta pani jest dobra. Nie musisz jej się bać. Ale pani – zwróciła się do Matyldy – niech już lepiej idzie.

– Ja też byłam u Kazimierza Olbrychta – powiedziała nagle Matylda, powstrzymując zakonnice ruchem dłoni. – Opowiesz mi o nim? Razem ukarzymy tego drania.

Dziewczyna obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem, ale widać było, że dobrze rozumiała te słowa. Zrobiła przebiegłą minę.

– Nasłali cię. Chcą mnie złapać, wiem.

– Nie, ja też stamtąd uciekałam. Uwierz mi, to ja chcę go złapać. Pomożesz mi?

Michalina złożyła ręce na kolanach i zaczęła się kiwać na krzesle w przód i w tył. Coś tam do

siebie szeptała, ale trudno było wyłowić choć jedno sensowne słowo z tego mamrotania. Matylda nachyliła się nad nią.

– Odejdź! – wrzasnęła chora, odpychając ją z wściekłością od siebie.

Nagle drgnęła i zdziwiona podniosła dłoń na wysokość oczu. Na jednym z palców ukazała się kropla krwi. Zaintrygowana odsunęła poję swetra Matyldy, odsłaniając na wpół rozpiętą broszkę w kształcie ptaka. Dotknęła go delikatnie.

– Rajski ptak.. To prawda. Mówiłaś prawdę. – Spojrzała całkiem przytomnym wzrokiem na Matyldę. – Ty też jesteś jego rajskim ptaszkiem...

– Czy... – Matylda z trudem opanowała drżenie głosu. Już nie miała żadnych wątpliwości. – Czy ty też masz taką samą, Michasiu?

– Tak – odparła niemal radośnie tamta. – Przecież wszystkie miałyśmy. Gdzieś tu jest... – Zaczęła się rozglądać po świetlicy.

Zaskoczona obrotem sprawy zakonnica powiedziała ściszym głosem:

– Jeśli rzeczywiście ją miała, broszka będzie teraz w depozycie. Chorym na naszym oddziale nie wolno mieć przy sobie żadnych ostrych przedmiotów.

Tymczasem Michalina znów wpadła w odrętwienie i trudno było cokolwiek z niej wydobyć. Siedziała sztywno na krześle, kiwając się nieznacznie, wpatrzona w przeciwległą ścianę. Matylda zrozumiała, że to koniec rozmowy.

Na korytarzu minęła ją zdyszana od biegu starszka.

– Przyjechali już?...

Musiała poczekać, aż przyjdzie ktoś z kluczem od drzwi wyjściowych. Stała przed nimi z niemiłym wrażeniem, że kręcący się po korytarzu ludzie patrzą na nią nieprzyjawnym wzrokiem. Gdzieś z daleka dobiegło przeraźliwe wycie, ale żaden z przechadzających się po korytarzu chorych nie zareagował. Matylda chciała stąd wyjść jak najprędzej.

W końcu pojawił się jakiś ponury mężczyzna, nie wiedziała, czy to pielęgniarz, czy pacjent, najważniejsze jednak było, że miał klucz i otworzył jej drzwi. Jeszcze długo czuła na sobie jego spojrzenie.

Wybiegła, zeskakując po kilka schodów, aż znalazła się przed pawilonem. Rozejrzała się wokół, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest główny budynek, i próbując złapać oddech.

Na ławce, po drugiej stronie alejki siedział Julek. Na jej widok wstał i podszedł niepewnym krokiem.

– I jak Matysiu? – spytał, usiłując ją przytulić, lecz w pierwszej chwili mu się wyrwała.

– To było straszne. – Rozplakała się, instynktownie tuląc się do niego. – Straszne, koszarne, przerażające. I wygląda na to, że wy wszyscy mieliście rację. To najgorsze, Lulku. Nie poradzę sobie z tą świadomością.

Wyjęła mu z butonierki chusteczkę i wydmuchała w nią głośno nos.

– Chodź, usiądziemy na chwilę i wszystko mi opowiesz. – Julek otoczył ją delikatnie ramieniem. – A jak już się uspokoisz, wrócimy do doktora Malinowskiego i Staszka, żeby się zastanowić, co dalej.

Przeszli do szpitalnego ogrodu i usiedli na nagrzanym od słońca ławce. Miejsce było oddalone

od głównej ścieżki, mogli więc spokojnie porozmawiać bez niepożądanego towarzystwa. Między gałęziami mignęła ruda wiewiórka, podbiegła i stanęła przed nimi słupka, poruszając czarnym jak guziczek nosem. Zawiedziona, że nie mają dla niej nic do jedzenia, machnęła rudą kitką i zniknęła za drzewem. Chwilę później widać ją było, jak wspina się spiralnym ruchem po pnium, przystając czasujnie co jakiś czas.

Matylda opowiedziała Julkowi przebieg dziwnej rozmowy z Michaliną, robiąc od czasu do czasu przerwy na wytarcie nosa i oczu. Łzy płynęły strumieniem po jej twarzy. Kiedy dotarła do broszki, głos całkiem jej się załamał. Nie mogła uwierzyć, że padła ofiarą tego samego przestępcy, który skrzywdził tamtą biedaczkę. Przecież stryj Michała miał takie dobre intencje, a broszka była prezentem na przeprosiny. To nie mogła być prawda. Matylda bała się nawet pomyśleć, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim jej ukochany. Michał... serce drgnęło jej boleśnie na samo jego wspomnienie.

– Teraz pozostaje nam tylko sprawdzić, czy podobna broszka naprawdę znajduje się w depozycie dziewczyny – podsumował tymczasem Julek – Jeszcze istnieje możliwość, że Michalina ją też sobie wymyśliła. Ale to bardzo niska możliwość – dodał zgnębionym głosem.

Wrócili do gabinetu doktora Malinowskiego, gdzie czekał zdenerwowany Staszek, paląc papierosa za papierosem.

– Depozyt? – zastanowił się lekarz po wysłuchaniu opowieści Matyldy. – Zaraz poproszę, żeby go tu przyniesiono.

– Czyli właściwie niczego konkretnego się od niej nie dowiedziałeś? – Staszek potrzebował konkretnych dowodów, a tu znowu niczego takiego nie było.

– Nie, poza tą broszką.

– No tak – Zniechęcony machnął ręką. – Ale jeśli to sobie wymyśliła, bo spodobała jej się twoja, nadal leży my.

– Co wiadomo o tej Michasi? – Matylda chciała wiedzieć jak najwięcej o nieszczęśliwej dziewczynie. Czuła coś w rodzaju więzi z tą biedaczką. – Od początku taka była?

– To znaczy jaka?

– No, taka nieobecna, bez kontaktu. Chwilami wydawało mi się, że rozumie, co mówię, a potem sprawiała wrażenie, jakby nic do niej nie docierało.

Lekarz wydał polecenie, by przyniesiono prywatne rzeczy pacjentki, i czekając, aż ktoś dostarczy depozyt, chętnie udzielał wyjaśnień. Z trudem też krył zdenerwowanie. Zapomniał o pytaniu Matyldy, przejęty tylko jedną myślą.

– Mój Boże, handlarze żywym towarem? Więc to prawda? Te wszystkie opowieści nieszczęsnej dziewczyny? Nie mogę uwierzyć!

– Czy li coś wam opowiadała?

– Tak, z początku nie była tak oszołomiona, łatwiej więc było z nią się porozumieć. Potem, kiedy nikt jej nie wierzył, stała się agresywna. Cały czas jest na lekach uspokajających. – Rozłożył ręce, jakby się z tego tłumaczył.

Staszek niecierpliwie postukał paznokciem w blat biurka, patrząc przy tym znacząco na lekarza.

– No tak – doktor Malinowski zrozumiał to nieme napomnienie. – Przywieziono ją tutaj z informacją, że błąkała się brudna po dworcu kolejowym i opowiadała niestworzone rzeczy. To policjanci, którzy ją przesłuchiwali, tak mówili – dodał szybką, spoglądając na Staszka.

– Ja jej nie przesłuchiwałem – zastrzegł się natychmiast młody policjant. – To koledzy z Krakowa. Ale dali nam znać i to my później prowadziliśmy śledztwo na miejscu. Które niczego nie wykazało, nawiasem mówiąc. Olbrycht był czysty, chętny do współpracy i zbulwersowany oskarżeniami.

– Zawieźliście ją do niego?!

– Nie. Wprawdzie przyjechałem do Krakowa w tym celu, ale nie udało mi się już niczego od niej wydobyć, więc nie miało to sensu. Mogłem mu tylko przeczytać jej wcześniejsze zeznania.

– Co powiedziała?

– Że uciekła z domu Kazimierza Olbrychta, gdzie była wykorzystywana przez niego i innych mężczyzn. Było to gdzieś pod Warszawą, jednak nie umiała podać nazwy tej miejscowości. I że błądziła po lesie przez dwa dni, aż wreszcie dotarła na piechotę do stacji kolejowej, która jest tam w pobliżu, i wsiadła do pierwszego pociągu. Potem ktoś jej pomógł dostać się do Krakowa.

– Biedna dziewczyna, tyle przeszła, a nikt jej nie uwierzył...

– No nie. Zresztą trudno się dziwić, Olbrycht jest znaną postacią, mogła o nim przeczytać w jakiejś gazecie. A ona, nikomu nieznaną dziewczyną, zaniebdaną, w dodatku zdradzającą objawy choroby psychicznej. Kiedy zobaczyła, że nikt jej nie wierzy, załamała się. Była agresywna, chciała wyskoczyć przez okno w komisariacie, więc przewieziono ją do szpitala psychiatrycznego.

– Pewnie nie miała żadnych dokumentów?

– Nie. – Teraz włączył się lekarz. – Powiedziała nam tylko, jak się nazywa i że pochodzi ze Lwowa. Przyjechała do Warszawy, mając nadzieję na znalezienie jakiejś pracy. Nie ma rodziny, w jednym z pośredniaków zaczęła ją nieznajomy przystojny mężczyzna, podający się za reżysera filmowego. Podobno twierdził, że zrobi z niej gwiazdkę, a może nawet się z nią ożeni...

Matylda skuliła się jak od uderzenia. Najchętniej uciekaby stamtąd, lecz zatrzymało ją spokojne spojrzenie Julka. Poczuli się bezpiecznie, wiedząc, że nie jest tu sama.

– Mężczyzna zawiózł ją do Olbrychta, gdzieś pod Warszawą. Podobno była więziona, razem z innymi dziewczynami, w piwnicy pod domem. Niektóre z nich wykorzystywano... Oszczędzę pani szczegółów... Tamci mieli je stamtąd gdzieś wywieźć, ale Michasi udało się uciec. I to cała historia, którą nam opowiedziała. Niestety, to wszystko brzmiało tak nieprawdopodobnie, że nikt jej nie wierzył. Nawet my. Zwłaszcza że nie takich rzeczy tu wysłuchujemy. Gdyby pani słyszała opowieści tych wszystkich Napoleonów... – Lekarz zamilkł pod spojrzeniem Matyldy.

– A sprawie ukłono łeb, bo były w nią zamieszane zbyt wysoko postawione osoby – odezwał się milczący do tej pory Staszek.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i do środka wszedł mrukiwy pielęgniarz, ten sam, który wypuszczał Matyldę z oddziału.

Lekarz odprawił go, sam zaś otworzył pudełko ze skromnym dobytkiem Michasi. Na samym wierzchu leżała, połykając drobny mi kryształkami, kolorowa broszka w kształcie rajskiego ptaka. Wszyscy spojrzeli na identyczną ozdobę, przypiętą do bluzki Matyldy.

– Mamy dowód! Mamy w końcu dowód! – Staszek uniósł pięść w geście zwycięstwa. – Teraz już pan Olbrycht nam się nie wywinie.

– Jeżeli Michalina nie będzie w stanie zeznawać, sama broszka na niewiele się zda. – Julek nie był tak dobrej myśli. – Ale zawsze to jakiś ślad. Ja nie mam żadnych wątpliwości w tej sprawie,

wy, mam nadzieję, też nie, ale to za słaba poszlaka, by kogokolwiek oskarżyć.

– Odezwał się prawnik... – mruknęła Matylda. Nagle pobladła i zabrakło jej tchu. Zachwiała się, a gdyby Julek nie podtrzymał jej w ostatniej chwili, upadłaby na podłogę. – Jezusie!

Wszyscy trzej popatrzyli na nią, nic nie rozumiejąc.

– Co się stało, Matysiu?! – spytał Julek

– Mela...

– Jaka Mela? O co chodzi?

– Kilka dni temu wysłałam do Olbrychta moją przyjaciółkę... Co ja najlepszego zrobiłam...

Co ja narobiłam!

W drodze powrotnej do Krakowa Matylda popadła w stan podobny do tego, w jakim znajdowała się dziewczyna ze szpitala. Julek bez powodzenia próbował ją z tego wyrwać.

– Matysiu, na miłość boską! – Ścisnął jej palce, aż się skrzywiła z bólu. – Najważniejsze, że odkryłaś to w porę, jeszcze przed wyjazdem. Pomyśl, co by było, gdyby...

– Właśnie myślę – odparła głucho. – Wysłałam do nich Melę. Ja sama.

Prosto z dworca w Podgórzu pojechali tramwajem do centrum miasta. Matylda wiedziała, gdzie mieszka Michał, bo pokazywał jej kiedyś kamienicę na rogu ulic Świętego Krzyża i Świętego Tomasza. Julek za to wiedział dokładnie, bo zrobił wcześniej wywiad, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o wybranku siostry.

Niestety, w mieszkaniu nikogo nie było. Zagadnięty dozorca, wyraźnie trzeźwiejący po wczorajszym picu, nie umiał udzielić żadnej konkretnej informacji na temat swojego lokatora.

– Ja tam nic nie wiem. Jest albo go nie ma, co mnie do tego. Porządny człowiek, kielicha nieraz postawi, klucze zawsze pod swoją nieobecność mi daje, na wszelki wypadek

– A teraz też zostawił?

– Nie zostawił.

– No to może wyszedł gdzieś tylko na chwilę? – powiedziała z nadzieją Matylda.

– E tam! Po mojemu to on się gdzieś spieszył.

– Czyli jednak gdzieś wyjechał?

– Ja tam nic nie wiem. Może wyjechał. A może i nie.

Julek miał ochotę zadusić niechętnego do współpracy dozorcę.

– To w końcu wyjechał czy nie wyjechał?! Coś tu kręcisz, człowieku. Jak się okaże, że to poszukiwany przez nas przestępca, będzie pan odpowiadał za współudział. – Julek powiedział to z tak poważną miną, że aż sam uwierzył w swoje słowa. Przez chwilę poczuł się jak policjant z filmu kryminalnego.

Dozorca wytrzeźwiał w jednej chwili.

– No co też pan, panie szanowny... Jaki znowu przestępca? Jaki współudział? To co ja mam zrobić? – dokończył płacziwym głosem. – Chcecie tam wejść?

Julek, który miał już zamiar odejść z kwitkiem, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Matyldą. Wejście pod nieobecność lokatora było zwykłym włamaniem, skoro jednak okazja sama się nadarzyła...

– Ma pan jednak klucze?

– No, mam – przyznał niechętnie dozorca. – Zawsze są zapasowe.

O których pewnie lokatorzy nawet nie wiedzą, pomyślał Julek, ale w tej chwili było mu to zupełnie obojętne. Wiedział, że mogą liczyć na dyskrecję najwyraźniej mającego coś na sumieniu dozorca.

W niewielkim, ale przyjemnym wnętrzu było czysto, aż za czysto jak na kawalerskie gospodarstwo, i nic nie wskazywało na to, żeby właściciel opuszczał mieszkanie w pośpiechu. Poza stojącą na stole filiżanką z niedopitą kawą, która mogła jednak świadczyć, że zamierzał niedługo wrócić.

Matylda odetchnęła z ulgą. Michał nie uciekł, a to było dla niej najważniejsze. Za chwilę wróci i wyjaśni wszystkie wątpliwości.

Na komodzie pod oknem stało oprawione za szkłem zdjęcie. Podeszła bliżej i ze łzami w oczach rozpoznała siebie, wystawiającą roześmianą twarz do słońca na Gubałówce. Miała podobne, ale nie przyszło jej do głowy, by je oprawić. Przypomniała sobie ów moment i Michała, który robił miny, pragnąc ją rozśmieszyć. Lecz ona wtedy i bez tego cały czas miała ochotę się uśmiechać. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa jak w tamtych dniach.

Wrócili na Grodzką, nadal nic konkretnego nie wiedząc. Matylda miała jeszcze nadzieję, że Michał dzwonił podczas jej nieobecności albo był u nich w domu i zostawił jakąś wiadomość. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło.

Dziewczyna chodziła od okna do okna, wyglądając co chwilę na ulicę, aż w końcu zapadł mrok i niewiele już mogła zobaczyć. Zajrzała też do apteki, żeby sprawdzić, czy telefon działa, jak należy. Próbowała dodzwonić się do Michała, ale nikt nie podnosił słuchawki. Kiedy w końcu rozległ się dzwonek telefonu, podskoczyła, o mało nie strącając aparatu z lady.

Niestety, to nie był ten, na którego czekała. Dzwonił Julek z wiadomością, że przełożeni Staszka w Warszawie uznali broszkę za niewystarczający dowód, niedający im prawa do nachodzenia i przepytывania Olbrychta w jego willi. Potrzebne były zeznania ewentualnych ofiar, czyli zwabionych tam i więzionych kobiet. Niestety jedynym świadkiem, jakim na razie dysponowano, była Michalina Kowalik, pacjentka szpitala psychiatrycznego.

– Ten drań znów się wywinie sprawiedliwości! – Julek nie krył zawodu.

Na drugi dzień jeszcze raz poszli do mieszkania Michała, ale skłonny dziś do współpracy dozorca powiedział im, że lokator nie pojawił się już od tamtego czasu. Zniknął też jego samochód, stojący zwykle na ulicy.

Kiedy minął termin wyjazdu do Berlina, a Michał nadal się nie odzywał, Matylda straciła już wszelką nadzieję. Zyskała za to pewność, że została oszukana i w ostatniej chwili uniknęła niebezpieczeństwa.

Lecz nawet to nie było już w stanie jej pocieszyć.

Spis treści

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1. KRAKÓW, LISTOPAD 1931

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 1. KRAKÓW, MARZEC 1933

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

